



ROSEMARY ROGERS

Słodycz zemsty

(Słodką zemsta)

Celia St. Remy Sinclair od lat nienawidzi lorda Northingtona, angielskiego szlachcica, który przyczynił się do śmierci jej ukochanej matki, po czym uciekł do Anglii. Od tego momentu dziewczyna żyje tylko jedną myślą – musi pomścić matkę. Gromadzi pieniądze na podróż i w końcu wyrusza z Ameryki do Londynu. Zatrzymuje się u swojej kuzynki, która wprowadza ją na londyńskie salony.

Obracając się w barwnym towarzystwie z wyższych sfer, Celia szuka okazji do realizacji planu zemsty. Niespodziewanie na jej drodze staje lord Colter Northington – syn mężczyzny, na którym pragnie wziąć odwet. Wbrew sobie zaczyna odczuwać nieodparty pociąg do tego przystojnego arystokraty. Jednak czy może być coś bardziej kuszącego niż zniszczyć znienawidzonego wroga, wykorzystując jego potomka?

Celia intryguje Coltera. Podoba mu się wdzięk i cięty język amerykańskiej piękności. Jednak im bardziej zbliża się do niej, tym mocniej niepokoją go jej powiązania z rewolucjonistami, którzy walczą o wprowadzenie reform społecznych w Anglii. Jeszcze większy niepokój budzą w nim diabelskie machinacje jego ojca, które próbuje pokrzyżować.

Czy tych dwoje pozna prawdę o sobie i odkryje, że łączy ich wspólny cel? Czy po tak wielu latach zemsta może mieć słodki smak? Czy Celia znajdzie w sobie siłę, by nie patrzeć na syna przez pryzmat nienawiści do ojca? I czy w chwili, gdy nad Anglią rozpęta się burza rewolucji, Colterowi uda się ochronić Celię przed śmiertelnym niebezpieczeństwem?

CZEŚĆ PIERWSZA

*„Serce zna powody,
o których rozsądek nic nie wie”.*

Pascal, Prowincjałki

PROLOG

Georgetown, Okręg Columbia, 1810 rok

Obcy nosił elegancki płaszcz i miał wielkopańskie maniery. Zjawił się zimnego jesiennego wieczoru. Najpierw zapukał głośno, a kiedy dwunastoletnia Celia Sinclair otworzyła drzwi, spojrzał na nią z góry i oznajmił:

- Chcę się zobaczyć z madame.

Był wysoki i miał ostre, niemal orle rysy. Mówił opryskliwym tonem, z wyraźnym angielskim akcentem.

Celia nie od razu odpowiedziała, wpatrując się ze zdumieniem w nieznanego.

- Czy to dom Leonie St. Remy? - spytał szorstko.

Dziewczynka wytarła dłonie w fartuszek. Nagle zdała sobie sprawę ze swojego nędznego wyglądu.

- Madame Sinclair - powiedziała z naciskiem - jest w tej chwili zajęta, proszę pana. Może zostawi pan wizytówkę i...

- Wizytówkę? Chyba żartujesz. Spójrz tylko na siebie, dziecko. Lepiej idź i czym prędzej sprowadź tu swoją panią! - Celia usiłowała zamknąć drzwi, ale mężczyzna zdecydowanym ruchem odsunął jej rękę i wszedł do środka. - Przekaż, że przyszedł lord Northington.

Ze spojrzenia piwnych oczu biła wzdarda. Twarz lorda pokrywała sieć ledwie widocznych blizn, pewnie po ospie. Miał pełne usta, wystające kości policzkowe i czarne krzaczaste brwi, które kontrastowały ze szpakowatą czupryną.

A zatem to właśnie był lord Northington, o którym matka mówiła, że drzemie w nim okrutna bestia.

- Przestań się na mnie gapić, mała! Zobaczysz, że wystarczy jedno moje słowo, żebyś stąd wyleciała z hukiem! Sprowadź tu natychmiast panią!

- Nie jestem służącą, milordzie. - Celia skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie może mi pan rozkazywać. Proszę zostawić swoją wizytówkę. Gdy madame wróci, na pewno powiem jej o pańskiej wizycie.

- Ty bezczelna smarkulo! - krzyknął. - Wiem, że jest tutaj, bo za nią szedłem.

- Nawet w półmroku korytarza widać było, że oczy ma jak w gorączce. - Rób, co mówię, bo jak nie... to gorzko tego pożałujesz!

Celia nagle straciła odwagę. Zdobyła się jedynie na przypomnienie:

- To nasz dom!

- Nie zamierzam dłużej z tobą rozmawiać! - wrzasnął lord Northington i nie zważając na jej zduszony okrzyk, odepchnął ją i wszedł głębiej do mieszkania.

Głośne kroki zadudniły echem po deskach podłogi.

Najpierw zajrzał do małego gabinetu madame Sinclair i pogardliwie wydał usta.

Celia widziała, jak z politowaniem patrzył na proste drewniane meble. Nawet obrus nie leżał na okrągłym stole, a pojedyncze krzesło, stojące przed od dawna wygasłym kominkiem, wyglądało na zapomniane. Po śmierci ojca rodzina z wolna popadała w nędzę. Pani Sinclair sprzedała już cały dobytek, żeby związać koniec z końcem.

Northington ruszył dalej.

- Nie wolno! - krzyknęła Celia, kiedy pchnął drzwi do kuchni. Pomyślała z przerażeniem, że matkę może spotkać coś złego. Chwyliła lorda za rękaw, ale wyrwał jej się jednym ruchem.

Sień była krótka, więc pokonał ją zaledwie w trzech krokach i stanął w progu.

- Ach! Tu pani jest, madame!

Błyskawicznie zapomniał o pogardzie. Jego głos nabrał uwodzicielskich tonów.

Celia, drżąc ze strachu, zatrzymała się tuż za nim. Pani Sinclair z pozornym spokojem zerknęła na intruza, ale jej mocno zaciśnięte usta zdradzały, że jest

wzburzona. Odgarnęła z wysokiego czoła jasne włosy. W spojrzeniu zielonych oczu widniał strach, a może pogarda.

- Lord Northington? Co za niespodzianka...

- Mam nadzieję, że w pełni przyjemna.

- A jeśli nie? Co to za różnica?

Mówiła niby od niechcienia, lecz lodowatym tonem. Stary Peter z poszarzałą twarzą bez słowa stał obok pieca.

Maman i nieproszony gość rozmawiali, rzecz jasna, po francusku, dzięki czemu Celia mogła wyczuć nawet najdrobniejsze niuanse ich słownego pojedynku.

- Moja droga... - Lord parsknął urywanym śmiechem. - Przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz.

- Chciałabym w to wierzyć, milordzie. Co cię tu sprowadza?

- Jeszcze pytasz?

Maman splonęła rumieńcem.

- Nie przy mojej córce, jeśli mogę prosić!

- Córce? To ta śliczna mała dziewczynka? - Odwrócił się w stronę Celi. - Od razu powinienem się domyślić. Te jasne włosy i zielone oczy... Drugich takich na pewno nie ma na całym świecie. Chodź do mnie, dziecko. Jak ci na imię?

Celia nie zrobiła najmniejszego ruchu, ale matka i tak stanęła przed nią, jakby chciała jej zagrozić drogę. Popatrzyła na lorda Northingtona z jawną niechęcią.

- Zostań tutaj, kochanie - powiedziała do córki. - Peter za chwilę poda ci kolację.

- Poczekam na ciebie, mamo.

- Dobrze. Niedługo wrócę.

Stary Peter położył dłoń na ramieniu Celi, uciszając jej protesty. Pani Sinclair i lord Northington wyszli z kuchni. Zabrząca pokrywka na garnku stojącym na ogniu.

Po chwili Peter odezwał się cicho:

- Ma tupet. Przyszedł tutaj po tym, co się stało...

- Nie lubię go. - Celia strząsnęła z siebie rękę Petera i dała krok w stronę drzwi. Była niespokojna. - Nie podoba mi się jego zachowanie. *Maman* też go nie lubi. -

Odwróciła się w stronę starego sługi. - Nie boisz się, że ją skrzywdzi?

Peter wprawdzie pokręcił głową, ale Celia zauważyła, że zupę do talerza nalewał drżącą ręką. W powietrze uniósł się obłoczek pary.

- Nie odważyłby się, owieczko. Nawet angielski lord nie umknąłby przed prawem. Chodź, siadaj. Tu masz zupę i ulubione jabłka. Chleb, chleb... - Rozejrzał się po kuchni. - Przyniosłaś z sieni torbę z zakupami?

- Och... zapomniałam. Zaraz to zrobię. Zostawiłam ją przy frontowych drzwiach, kiedy on przyszedł.

- Nie, nie. Siedź. Sam po nią pójde. Zaczynaj już jeść, kochanie.

Celia usadowiła się na długiej ławie, stojącej za mocno pokierszowanym dębowym stołem, zastawionym - jakby dla kontrastu - delikatną porcelaną, przy której połyskiwały srebrne sztuce. Pamiątka lepszych czasów.

Dziewczynka nie była głodna. Nie kusily jej nawet jabłka.

W ponurym milczeniu siedziała przed stygnącą zupą i czekała na Petera. *Maman* kupiła chleb, wracając z lekcji francuskiego, udzielanych dzieciom bogatych rodzin. Czas mijał. Celia zaczęła się niepokoić. Dlaczego to tak długo trwa? Gdzie jest Peter? Gdzie mama?

Wreszcie ogień przygasł i w cieplej zazwyczaj kuchni powiało chłodem. Celia zostawiła nietkniętą zupę na stole i wstała. Kiedy przechodziła przez sień, oddzielając kuchnię od reszty domu, wiatr, wiejący przez szpary w deskach, potargał jej włosy, wymykające się spod białego czepka, i szarpnął niebieską sukienką. W powietrzu już wyraźnie czuć było zime.

Dziewczynka weszła do domu i przystanęła, niepewna, co począć. Wokół niej panowała przeraźliwa cisza. Tylko stojący zegar miarowo tykał w korytarzu. Z małego gabinetu padała wąska smuga przyćmionego światła.

Dziewczynka z bijącym sercem wyciągnęła rękę w stronę uchylonych drzwi. Dlaczego tu jest tak cicho? - pomyślała. Ogarnął ją strach.

- *Maman?* - Lekko pchnęła drzwi. Nawet nie drgnęły. Przecisnęła się więc przez szczelinę i weszła do gabinetu. Smętny blask lampy naftowej rzucał na ściany widmowe cienie. Celia uważnie spojrzała w dół, chcąc się przekonać, co zablokowało drzwi - i zamarła z przerażenia.

Stary Peter leżał na podłodze. Miał otwarte usta i zamknięte oczy. Celia uklękła przy nim, lecz nie odpowiedział, kiedy szeptem wymówiła jego imię. Ani jeden mięsień nie drgnął na pomarszczonej twarzy. Rozejrzała się z rosnącym przerażeniem.

Podniosła się i pomału, krok za krokiem, podeszła do stojącej poza kręgiem światła kozetki. Deski skrzypiały jej pod stopami. W innych okolicznościach nie zwróciłaby na to uwagi, ale teraz nawet najmniejszy trzask brzmiał w jej uszach niczym huk armaty.

- *Maman?*

Usłyszała cichy jęk pełen bólu i zaleknienia. Powiodła dłonią po wysokim oparciu kozetki i ostrożnie wyjrzała zza krawędzi. Zobaczyła bezkształtny skulony tłumok. Kiedy podeszła bliżej, tłumok drgnął i rozległo się ciche szlochanie.

- *Maman! Maman!*

Pani Sinclair wyciągnęła do niej drżącą rękę. W tej samej chwili Celia ujrzała, że matka ma gołe nogi i suknię podwiniętą aż do pasa. Odruchowo pociągnęła suknię w dół i przycupnęła obok kozetki.

- *Maman...* Wiem, że cię boli... a stary Peter nie chce się obudzić. Pobiegnę po lekarza.

- Nie... - z trudem wyszeptała pani Sinclair.

- Nie chcę, żebyś umarła... Peter leży zupełnie nieruchomo. Boję się o ciebie i nie wiem, co zrobić! - Ostatnie słowa dziewczynka wypowiedziała z płaczem. Po chwili poczuła na policzku kojący dotyk matczynej dłoni.

- Idź, pomóż... Peterowi. Nic mi nie będzie... Naprawdę. Idź do Petera.

Staremu Peterowi nikt już nie mógł pomóc. Zginął od potężnego ciosu w skroń.

Przez następne tygodnie Celia chodziła jak otepiała. Pani Sinclair zawsze słabowała, a teraz, po brutalnym gwałcie, z dnia na dzień traciła siły. Lord Northington skrzywdził nie tylko jej ciało. Spojrzenie Leonie było puste, pozbawione blasku. Tymczasem Celia dławiła w sobie bezsilny gniew.

Leonie próbowała wrócić do dawnego życia. Zwłokła się z łóżka i usiłowała na nowo zająć się szyciem, aby tak jak przedtem utrzymać rodzinę. Nie miała już do tego serca. Northington zniszczył w niej coś, o czym Celia jeszcze nie wiedziała.

- To nie ma najmniejszego sensu, *petite* - powiedziała ze smutkiem do córki. Celia niemal bez przerwy domagała się, żeby iść na policję. - Przecież już byłam. Nawet nie chcieli ze mną rozmawiać. Nie muszą. Poza tym nic to ich nie obchodzi.

Northington wrócił do Anglii.

- A dokumenty, mamo? Pozew...

- Wobec człowieka, który jest parem Anglii i ma wystarczająco dużo pieniędzy na to, żeby zapewnić sobie nietykalność? Nie, kochanie. Nie uda nam się nawet pomścić śmierci Petera, a co dopiero mówić o mojej krzywdzie. Niestety, dobrze znam potęgę władzy, *petite*. Wiem, jaka jest jej siła. Dalsza walka jest skazana na przegraną.

- Nie! - zawołała Celia tak straszliwym głosem, że matka drgnęła i popatrzyła na nią ze zdumieniem. - Ten łotr zapłaci za to, co się stało. Musi być ukarany! Gdzie sprawiedliwość? Kto mu pozwolił uciec...

Leonie ze łzami w oczach przytuliła córkę.

- W tym życiu nie należy szukać sprawiedliwości - powiedziała po chwili, głaszcząc dziewczynkę po jedwabistych włosach. - Uwierz mi, że za wiele już widziałam w życiu, aby myśleć, że każda zbrodnia zostanie na pewno pomszczona.

Celia chciała jej coś na to odpowiedzieć, ale w porę ugryzła się w język. Lepiej nie przypominać mamie tego, co niedawno się stało. Pewnego dnia, przyrzekła sobie, lord Northington zapłaci za wszystkie swoje nieczne czyny!

CZEŚĆ DRUGA

*„Nieważne niebo nad mą głową,
W sercu gotowym na spotkanie losu”.*

Lord Byron

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, Anglia, wrzesień 1819 roku

Celia podróżowała pod nazwiskiem St. Clair. Oparła się o reling i z zadumą spojrzała na wody Tamizy, z szumem rozgarniane przez dziób statku. Rejs minął bez większych zakłóceń, jeśli nie liczyć sztormu, który pewnej nocy runął na nich z taką siłą, iż Celia była przekonana, że już wszystko stracone. Jednak w końcu dopięła swego. Była w Londynie. Nareszcie! Zacisnęła w dłoniach aksamitną torebkę, w której przechowywała pewien dokument - przepustkę do Starego Świata. Był to list do kuzynki matki, pani Jacqueline Fournier Leverton. Jacqueline i Leonie uciekły z Paryża w krwawych dniach francuskiej rewolucji. Jacqueline wyszła później za angielskiego barona, a Leonie poślubiła przystojnego amerykańskiego kapitana Samuela Sinclaira i na zawsze wyjechała z Anglii.

Być może dręczyły ją złe przeczucia, bo napisała list do Jacqueline wtedy, kiedy Celia była jeszcze bardzo mała. Wkrótce potem dostała odpowiedź. Kuzynka zapewniła ją, że chętnie podejmie się roli chrzestnej matki, jeżeli tylko los sprawi, że będzie mogła zobaczyć się z dziewczynką. Od tamtej pory papier żółkł i atrament wyblakł, ale Celia wciąż liczyła na to, że list spełni swoje zadanie. Teraz czekało ją spotkanie z nigdy niewidzianą krewną.

Wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. Po tylu nieprzespanych nocach, dniach pełnych żalu i obaw... Do tej pory udało jej się pokonać wszystkie przeszkody. Nie mogła się już zatrzymać. Nie teraz. Nie po tylu latach.

Przyjazd do Anglii był dla niej nie tylko początkiem nowego życia, ale też pierwszym krokiem na drodze dawno zaplanowanej zemsty. Już niemal dziesięć lat

tłumiła w sobie zapiekłą nienawiść do lorda Northingtona. Bywały dni, że tylko to powstrzymywało ją od samobójstwa.

Celia mocniej zacisnęła dłonie na twardym relingu. Przed nią, w szarej mgłę, zamajaczyły budynki Londynu i chwiejny las wysokich masztów, wyrastający u nadbrzeża. Z tej odległości wyglądały jak kępa sitowia. Statek powoli płynął w gęstym kożuchu śmieci, unoszącym się na powierzchni wody. Rozpraszająca się mgła odsłaniała wieże kościołów i posepne kamienne baszty.

Tak blisko... Tak blisko. Jestem w Anglii, pomyślała Celia. *Maman* zawsze chciała mnie tutaj przysłać.

Maman...

Dziewięć lat minęło od jej śmierci. Dziewięć lat, odkąd Leonie wykrwawiła się na śmierć podczas porodu. Syn żył zaledwie kilka minut dłużej od matki. Dziecko Northingtona. Pochowano ich razem, w ubogiej mogile w kącie cmentarza, litościwie oddanym biedakom na wieczność.

Trzynastoletnia Celia została sierotą. W Ameryce nie miała krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować. Trafiała więc do zakonnicy. Później, tak jak jej matka, uczyła francuskiego. Przez cały czas odkładała każdy zarobiony cent. Skończyła osiemnaście lat, lecz nie ruszyła oszczędności. Wszystko w jej życiu zmierzało do określonego celu - zemsty.

Po śmierci matki chciała odnaleźć Northingtona i - gdyby nie mogła sobie pozwolić na nic więcej - przypomnieć mu dawne zbrodnie. Dlaczego miałby żyć w spokoju, nie pamiętając o kobiecie, którą zhańbił, i o zamordowanym starcu? Celię codziennie prześladowały te wspomnienia. Oczami wyobraźni widziała wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Tak, tak, milordzie... Wkrótce cień Nemezis stanie na twoim progu.

W jej torebce, prócz listu do lady Leverton, znajdował się dokument, wyliczający przewinienia Northingtona. Jedyne dowód - na szczęście opatrzony pieczęcią sędziego pokoju w Georgetown. Mimo upływu lat zarzut zabójstwa nie

uległ przedawnieniu, chociaż śmierć wyzwolenca nie była aż tak ważna, żeby przeszkodzić mordercy w ucieczce.

Dla mnie jest ważna, pomyślała Celia, patrząc na zbliżające się miasto. Nie zapomniała o starym Peterze. Nie potrafiła o nim zapomnieć. Lord Northington oświadczył władzom, że służący na niego napadł. Mówił to suchym, niemal beznamiętnym tonem, jakby był świadom swojej bezkarności. „Przecież musiałem się bronić...”. Przesłuchanie zamieniło się w farsę, parodię sprawiedliwości. Celia zamierzała ujawnić zbrodnię Northingtona i pociągnąć go do odpowiedzialności nie tylko za to, co zrobił z Peterem, ale też za śmiertelną krzywdę wyrządzoną Leonie i nowo narodzonemu dziecku.

Zakonnice nauczyły ją, czym powinno być zadośćuczynienie za wszelkie grzechy popełnione teraz i w przeszłości. Postanowiła podzielić się tą wiedzą z Northingtonem. Chciała zawstydzić go przed społeczeństwem, z którego się wywodził, i postawić pod pręgierzem opinii publicznej. Mam nadzieję, że nadal żyje, pomyślała z gniewem. Oby ucierpiał jak najbardziej.

Nad pokładem powiała chłodna bryza, ale Celia nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Nie patrzyła także w stronę marynarzy i dokerów, którzy przyglądali jej się spod oka. Większość pasażerów przy płynęła tutaj wraz z nią z Ameryki, ale wczoraj „Liberty” na krótko zawinął do portu w Liverpoolu i tam dosiadło się kilku nowych podróżnych. Przeważali wśród nich mężczyźni. Jak dotąd, żaden z nich jej się nie narzucał, chociaż jeden z nich praktycznie nie musiał nic robić, żeby zwrócić na siebie powszechną uwagę.

Wysoki, ciemnowłosy i arogancki. Za bardzo przypominał Celi Northingtona.

Teraz stał z dala od innych, dotrzymując towarzystwa jedynie kapitanowi.

Wyglądało na to, że się dobrze znają. Celia nie mogła się powstrzymać, żeby nie rzucić na niego okiem, choć za nic w świecie nie przyznałaby się nawet przed sobą, że wzbudził w niej coś więcej niż przelotne zainteresowanie.

Był ubrany w obcisłe eleganckie spodnie, wysokie buty do konnej jazdy i rozpięty płaszcz, spod którego widać było białą koszulę. Wyglądał na bogatego wiejskiego dziedzica. Wyczuwało się w nim jednak coś groźnego. Był człowiekiem stworzonym do rozkazywania i od swoich podwładnych bez wątpienia żądał ślepego posłuszeństwa.

Właśnie w tej chwili, spokojnie oparty o nadbudówkę, wdał się w rozmowę z przechodzącym obok pierwszym oficerem. Nagle napotkał spojrzenie Celi. Uśmiechnął się z lekką drwiną, a potem pochylił głowę w zdawkowym ukłonie. Celia spłonęła rumieńcem i popatrzyła w bok, udając, że tego nie widzi. Zachowywała się tak, jakby szukała kogoś znajomego.

Na szczęście w porę zjawił się pan Carlisle, który także wszedł w Liverpoolu, ale zdążył się przedstawić Celi. Teraz z szerokim i przyjaznym uśmiechem stanął obok niej przy relingu.

- Panna St. Clair! - zawołał wesóło. - Wygląda na to, że grubo przed wyznaczonym czasem znajdziemy się w Londynie.

- W rzeczy samej, panie Carlisle.

Statek zbliżał się do przystani. Na pokładzie zapanował rejwach; zaświszczały liny i rozległ się głośny łopot refowanych żagli.

Ostry powiew szarpał suknią Celi i niemal zerwał jej kapelusz z głowy. Ciaśniej zawiązała wstążkę i z uśmiechem spojrzała na swego towarzysza. Potraktowałaby go znacznie chłodniej, gdyby nie wcześniejsza przygoda z nieznanym. Pan Carlisle, od czasu gdy się znalazł na pokładzie „Liberty”, wręcz prześladował Celię swoją obecnością. Łaził za nią krok w krok, kiedy tylko wyszła z kajuty. W tej chwili jego uśmiech był aż nadto przymilny. W ogóle zachowywał się z przesadną serdecznością.

- Czekają na panią krewni albo przyjaciele?

- Trudno powiedzieć, panie Carlisle. W gruncie rzeczy nikt z nas, łącznie z kapitanem, nie znał dokładnej daty przybycia.

- Tak, tak... Święte słowa. Tak jest, zwłaszcza gdy rejs trwa krócej, niż przewidywano. - Zawahał się. Piwne oczy spoglądały na nią z wyraźnym zachwytem. - Londyn to wielkie, tętniące życiem miasto. Bardzo łatwo zgubić się w tutejszej plątaniu ulic i zakamarków. Jeśli wolno, to z chęcią odprowadzę panią do miejsca, którego pani szuka na czas pobytu...

- Dziękuję panu, ale to całkiem niepotrzebne, panie Carlisle. Sama dotrę do domu krewnych. Dam sobie radę.

- Skoro nigdy przedtem nie była pani w Londynie...

- Niepotrzebna mi znajomość miasta, żeby w porcie wynająć powóz lub dorożkę. Carlisle wzruszył ramionami.

- To prawda, chociaż dorożka nie pasuje do kobiety z pani prezencją i urodą. Przynal się trochę bliżej. Mówił teraz ściszym, niemal uwodzicielskim tonem, jakby spodziewał się, że Celia pojmie jego intencje i zgodzi się skorzystać z innego środka transportu. Na pewno sam miał powóz, czekający gdzieś w porcie.

- Chyba pan mnie źle zrozumiał, panie Carlisle. Nie spieszo mi pozostać samej w pańskim towarzystwie.

Uśmiechnął się, niespeszony.

- Zupełnie sama przepłynęła pani przez ocean. Cóż za odwaga! Czego pani teraz się obawia? Przecież będziemy wśród tłumu londyńczyków. Lecz skoro pani nie chce...

- Nie chcę, panie Carlisle. Prawdę mówiąc, zupełnie się nie znamy. Wspólna podróż - w dodatku jednodniowa - to nie najlepszy sposób na zawarcie bliższej znajomości. Nie zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni.

Skłonił się.

- Proszę wybaczyć, jeśli w jakiś sposób panią uraziłem. Może w zamian doradzę pani, jak dotrzeć we wskazane miejsce. Niektórzy dorożkarze bezczelnie żerują na ludzkiej niewiedzy. Chyba nie chce pani przepłacić za przejazd?

Uśmiechnął się rozbrajająco na widok jej wahania.

- Mam siostrę, której też życzę jak najlepiej, panno St. Clair. Proszę mnie więc zrozumieć. Nie chcę od pani nic w zamian za moją pomoc.

- No dobrze. Jestem wdzięczna za pańską troskę. Co dalej?

- Tu jest mapa Londynu. Proszę spojrzeć. Tu mamy Tower, tu gmach parlamentu... - Wodził palcem po kartce. - Gdybym tylko wiedział, dokąd pani jedzie, pokazałbym pani jak najkrótszą drogę.

- Rozumiem - odpowiedziała. - Och... Ta mapa jest tak szczegółowa... Nie wiem, czy znajdę właściwą ulicę. Tyle tu drobnych napisów...

- A co to za ulica? - zainteresował się Carlisle. - Nie musi pani mi podawać pełnego adresu. Wystarczy nazwa. Londyn to wielkie miasto - powtórzył.

- Właśnie - przytaknęła. - Chodzi o Bruton Street.

- Ach! Proszę powiedzieć woźnicy, żeby zawiózł panią na Mayfair. Tutaj. Najlepiej niech jedzie główną... o, tędy. Dotrze pani na miejsce względnie szybko. - Pokazał jej całą trasę, a potem złożył mapę. - Na razie proszę ją zatrzymać. Później może ją pani zwrócić pocztą lub przez posłańca pod adresem: Carlisle, Shoreditch. To dom mojego brata.

- Dziękuję panu za uprzejmość - odparła Celia i schowała mapę do torebki. Może byłam zbyt podejrzliwa, pomyślała, ale kobieta, której przyszło wybrać się w samotną podróż, nie powinna zwracać na siebie szczególnej uwagi.

Choćby z tego powodu większą część drogi spędziła w kajucie pod pokładem, w ciasnej przestrzeni, nie większej od wychodka i zalatującej nieprzyjemną wonią. „Liberty” dobijał do celu podróży. Na pokładzie zgromadził się całkiem pokaźny tłum. W ogólnym zamieszaniu Celia stwierdziła nagle, że James Carlisle zniknął. Było to dziwne. Najpierw jej się narzucał, a potem tak po prostu odszedł, nie odprowadziwszy jej nawet na molo.

Dorożka zatrzymała się przed wspaniałą kamienną fasadą domu lorda Levertona w Mayfair. Celia zdążyła już zapomnieć o panu Carlisle. Ze zdumieniem patrzyła na imponującą czteropiętrową budowlę.

W takich domach mieszkali raczej ludzie pokroju Northingtona.

Wpuszczono ją do przestronnego westybulu i kazano czekać. Chudy lokaj popatrzył na nią z góry, jakby miał do czynienia z niezdolnym natrętem.

- Obawiam się, że lady Leverton dziś nie przyjmuje - rzekł oficjalnym tonem. -
Może pani zostawi wizytówkę.

Celia nie dała się tak łatwo odprawić.

- Zaczekam w gabinecie - odparła równie oschle. - Proszę mnie tam wprowadzić.
Jestem przekonana, że lady Leverton ucieszy się na mój widok.

Chyba nikt nie potrafi okazywać ludziom tyle lekceważenia, co angielska służba, pomyślała. Lokaj obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem, jakby niechcący spostrzegł robaka lub mrówkę, ale po chwili z godnością skinął głową. Ruchem ręki przywołał młodą pokojówkę.

- Hester, pokaż pannie... - Urwał i z powagą przestudiował bilecik, który mu podała Celia. - Pannie St. Clair drogę do małego gabinetu. Niech tam poczeka.

Pokojówka otworzyła podwójne drzwi i poprowadziła Celię do wielkiego pokoju po drugiej stronie korytarza. To ma być „mały gabinet”? Jak wygląda „duży”? Celia do tej pory nie widziała większej komnaty.

Wokół niej pyszniły się wspaniałe meble. W kominku płonął ogień, a podłogę zaścielał gruby dywan. Na barokowych stołach z mahoni polerowanego na wysoki połysk stały bogato zdobione wazony i figurki z drezdeńskiej porcelany. Kryształ były pełne świeżo ściętych kwiatów.

Celię ogarnęła panika. Co będzie, jeżeli nie zdoła zachować incognito? Jak długo uda jej się ciągnąć maskaradę? Trudno, pomyślała. Nie mam wyboru. Nie pisnę słówka lady Leverton o moich planach. Nie przyznam się, że jestem biedna i

wychowana w sierocińcu. Wiedziała, że nie może postąpić inaczej, jeśli chce wejść do środowiska, w którym obracał się Northington.

Przecież po to tu przyjechała. Nie zamierzała rezygnować z zemsty.

Na dobrą sprawę wszystko zależało od tego, jak ją przyjmie Jacqueline Leverton.

Celia czuła, jak rośnie w niej napięcie. Co będzie, jak mi tu nie pozwolą zostać?

Przecież nie znała swojej chrzestnej matki. Nawet korespondencja, jaką kiedyś prowadziły, szybko i nagle się urwała.

Za drzwiami rozległ się cichy śmiech. Do gabinetu weszła ładna drobna brunetka.

- Celia Sinclair? Niemożliwe! - zawołała, podchodząc szybkim krokiem. - Wprost

nie mogę uwierzyć! Nareszcie przyjechałaś. Och, ogromnie przypominasz matkę.

Moją piękną Leonie - dodała, obejmując Celię, która poczuła, że ma łzy w oczach.

W zachowaniu Jacqueline nie było nic z powściągliwości, jaką cechowały się jej

listy. Zanim Celia zdążyła się obejrzeć, obie siedziały w wygodnych fotelach przed

kominkiem, pograżone w szczerej rozmowie. Jacqueline - „Mów mi po prostu

Jacque, kochanie, tak jak wszyscy moi przyjaciele” - wypytywała ją przede

wszystkim o okoliczności śmierci Leonie.

Celia pominęła drastyczne szczegóły. Wyjaśniła, że matka zmarła na gorączkę.

Niewiele brakowało, żeby się popłakała, wspominając *maman*. Jacqueline od razu

pokazała, że jest o wiele trzeźwiej myślącą osobą, niż można było się spodziewać po jej egzaltowanym powitaniu.

- Śmierć jest nieodwracalna - powiedziała - a życie musi iść naprzód. Czasami

doświadczamy dramatycznych przeżyć. - Mówiła po angielsku z wyraźnym

francuskim akcentem. - Biedna Leonie. Zawsze była taka pełna energii, taka

piękna... Kochałam ją. Ciebie też już kocham. Jej małżeństwo okazało się takie

romantyczne... A twój ojciec? Co za przystojny chłopak! - zawołała z uśmiechem.

-Z miejsca zakochał się po uszy. Wcale mu się nie dziwię, bo każdy, kto choć raz

spojrzał na Leonie, musiał ją pokochać. Kiedyś, zanim poznała twojego ojca, zwierzyła mi się, że jej uroda nie jest błogosławieństwem, lecz przekleństwem. Cieszę się, że to nieprawda.

Celia mimo woli mocno zacisnęła usta. Słowa matki okazały się prorocze. Leonie Sinclair zginęła z powodu swej urody. Zapewne żyłaby do dzisiaj, gdyby nie wpadła w oko Northingtonowi.

- Moja droga - ciągnęła Jacqueline - niedługo staniesz się atrakcją Londynu. Jestem tego pewna. Popatrz tylko na siebie. Zielone oczy, jasne włosy... W mig podbijesz serca wszystkich kawalerów. Na koniec pewnie wyjdiesz za jakiegoś hrabiego, a kto wie, może nawet za księcia!

Roześmiała się i lekko przekrzywiła głowę niczym ptaszek. Celia nie umiała powstrzymać się od uśmiechu.

- Chodź - powiedziała Jacqueline i wyciągnęła do niej rękę. - Pokażę ci twój pokój. Mam nadzieję, że zdołasz się tu zdomowić jeszcze przed kolacją. Jutro zaczniemy zwiedzać Londyn.

- Dziękuję, milady.

- Nie, nie - Jacque. Nie znoszę wielkopańskich manier i tytułów. Och, przecież musisz poznać mojego męża i córkę. W tym roku będzie miała debiut. Ależ to ekscytujące! Teraz będę musiała przedstawić w towarzystwie aż dwie piękne młode panny.

Przestronny pokój na drugim piętrze okazał się o wiele większy, niż przypuszczała Celia. W pierwszym momencie nie wierzyła, że tylko ona będzie go zajmować. U zakonnic mieszkała w ciasnej izbie pospołu z grupą dziewcząt.

- Jest twój - potwierdziła Jacqueline w odpowiedzi na jej nieśmiałe pytanie. - Jeśli chcesz, możesz w nim wszystko pozmieniać według własnego uznania. Powiedz Lily, żeby sprowadziła silnego chłopaka do przenoszenia mebli. Pokojówka zaraz rozpali ogień... Ale, ale... Gdzie masz bagaże? Przecież wiem, że nie przyjechałaś z jedną małą walizką. Reszta została w porcie?

Celia zaczerwieniła się.

- Straciłam cały bagaż podczas podróży - skłamała. - Nic mi nie zostało...

Początkowo było mi szkoda tych wszystkich pięknych sukni, biżuterii, ale teraz niczego nie żałuję. Najważniejsze, że wreszcie mogliśmy się poznać. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się aż tak ciepłego przyjęcia - dodała szczerze.

Lady Leverton okazała się przemiłą osobą, uczuciową i serdeczną. Celia odniosła wrażenie, że w jej obecności jest jakby bliżej matki. To było niezwykle odczucie, lecz powodowało zarazem pewne komplikacje. Jak można okłamywać kogoś, kto jest tak szczerzy i otwarty?

- A służąca? Niemożliwe, żebyś sama podróżowała.

- Niestety, tak. Biedna Mabel nagle zachorowała, a już nie było czasu, żeby znaleźć drugą... - Jeszcze jedno kłamstwo. Za łatwo mi to przychodzi!

- Co ty powiesz?! Aż dziw bierze, że po drodze nie spotkałaś rzezimieszków.

Samotna dama zdana jest na łaskę i niełaskę ludzi częstokroć najniższego autoramentu. U nas na pewno będziesz miała wszystko, czego ci potrzeba. Siadaj. Lily przygotuje pokój, a ty w tym czasie opowiesz mi o swoich najbliższych planach.

- Planach? Cóż, chyba nie mam żadnych. Po śmierci mamy byłam zupełnie załamana. - Celia się rozplakała. Nie musiała udawać. Myśl o matce budziła w niej poczucie ogromnej straty. - Oprócz ciebie nie mam żadnej rodziny. Bałam się, że mnie nie przyjmiesz pod swój dach.

- Ależ skąd! Moje biedne dziecko, jak mogłaś tak pomyśleć! Dziwię się, że dopiero teraz do nas przyjechałaś. Przecież twoja mama nazywała się St. Remy, czyli tak jak moja. Jesteśmy krewnymi. Przyznam się, że byłam zaskoczona, kiedy Jarvis powiedział „St. Clair” zamiast „Sinclair”, ale od razu domyśliłam się, że chodzi właśnie o ciebie. Tak nazywał się twój ojciec.

- Teraz jestem St. Clair - odparła Celia. Musiała wyjaśnić, dlaczego tak się stało, a nie chciała ujawnić sprawy Northingtona. - To był pomysł mamy.

Zmieniłyśmy nazwisko tuż po śmierci taty, bojąc się, że angielskie władze będą nas prześladować za jego postawę w czasie ostatniej wojny. Stracił wszystko - dodała po krótkim milczeniu - majątek, krewnych, a sam zginął w bitwie morskiej. Jego okręt wpadł w ręce wroga i potem został sprzedany. *Maman* mi powtarzała, że trzeba wiedzieć, jak i kiedy przywyknąć do odmiennych warunków życia. Pod tym względem byłam jej posłuszna.

- Leonie miała więcej rozsądku ode mnie. Tutaj możesz swobodnie używać nazwiska ojca, kochanie. Niebezpieczeństwo, o którym wspomniałaś, dawno minęło.

- Wiem, ale przywykłam do St. Clair. W końcu minęły całe lata... Zresztą nie obrażam pamięci taty, bo słyszałam, że tak brzmiało nazwisko jego przodków. Zmienili je na Sinclair dopiero w Ameryce. Tam nikt nie przywiązuje do tego większej wagi.

- To prawda. Trudno... *C'est la vie!* W życiu ciągle trzeba się czegoś nowego uczyć.

- Jacqueline się uśmiechnęła. - Zapewne wiesz, że bardzo wczesnie poznałyśmy tę gorzką prawdę. Mówię o sobie i Leonie. Wiele razy, zmuszone przez niesprzyjające okoliczności, zmieniałymy imiona i nazwiska. Jednak pamiętałyśmy, skąd się wywodzimy. To ważne, żeby nie odcinać się od swoich korzeni.

- Kiedy mówisz o niej, to mam wrażenie, że wciąż żyje.

- Wcale ci się nie dziwię, *petite*. Wczesna młodość, którą spędziłyśmy we Francji, upłynęła nadzwyczaj przyjemnie i beztrudnie. Niestety, potem przyszły czasy terroru. Świat wokół nas zmienił się nie do poznania. Cóż, takie jest życie. Jutro poznasz moją córkę. Syna niestety nie, bo studiuje w Oksfordzie. Carolyn jest mniej więcej w twoim wieku, może troszeczkę młodsza, lecz już zaręczona. Zobaczymy, co pod tym względem zdołamy dla ciebie.

- Nie... Błagam... - odparła Celia wesołym tonem. - Tak się cieszę, że tutaj jestem. Niczego więcej mi nie potrzeba.

- Teraz tak mówisz. - Jacqueline zrobiła tajemniczą minę. - Niedługo zmienisz zdanie. Och, jest już Lily z twoimi nowymi sukniami i szlafrokiem. Służba zaraz ci przygotuje gorącą kąpiel. Potem odpocznij. Wyglądasz na mocno zmęczoną. A może wolisz zjeść kolację w swoim pokoju?

- Jeżeli tylko się nie obrazisz. Padam z nóg po podróży.

- Na pewno się nie obrażę. Dziś będziesz miała dzień leniuchowania. Wiem, że Leonie zrobiłaby dokładnie to samo dla mojej Caro.

Po wyjściu Jacqueline Celia odruchowo przycisnęła rękę do skroni. Czowała się przytłoczona biegiem wydarzeń. Nieoczekiwanie poproszono ją do rozgrzanej izby, przyległej do jej sypialni, gdzie czekała już wielka miedziana wanna pełna gorącej wody. Obok kominka leżał stos suchych ręczników. Pokojówka czekała cierpliwie, żeby pomóc Celi się rozebrać.

- Nie, dziękuję... Lily, prawda? Dam sobie radę sama.

To było dla niej coś całkiem nowego. Znow pomyślała o zmarłej matce.

Przypomniała sobie jej opowieści o życiu w pięknym niewielkim *chateau* na francuskiej prowincji. Leonie była rozpieszczoną córką pary arystokratów. Zły los zabrał jej wszystko, co знаła i kochała, ale później na krótko znow odnalazła szczęście. Nic nie trwa wiecznie. Wszystko się zmienia.

Weźmy na przykład moje własne życie, pomyślała Celia. W nim też zachodzą gwałtowne zmiany. Przez długie lata patrzyłam na bogaczy, w pełni bezpiecznych we własnym, uprzywilejowanym świecie. Teraz sama stałam się częścią tego świata. Po tylu przygotowaniach, planach i nadziejach... Czy dam radę? Czy wytrwam przynajmniej do czasu, aż znajdę sposób, żeby zemścić się na Northingtonie? Jeden Bóg wie, ile czekałam. Miała dług wobec *maman* i starego Petera. Chciała ich pomścić.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Na pistolety? I to w Chalk Farm? Moim skromnym zdaniem gra niewarta świeczki.

- Robert George Colter Hampton, lord Northington, z uśmiechem spojrzał na Harveya, lecz w jego zimnych niebieskich oczach nie było ani śladu wesołości.

- Tak myślałem. - Sir John Harvey wciąż patrzył na niego z nadzieją. -Niestety, w odróżnieniu od ciebie nie jestem zbyt dobrym strzelcem. Pistolety dla dwóch, śniadanie dla jednego. Taki mój los... - Westchnął. - Pomyśleć, że sir Skeffington rzucił mi wyzwanie z powodu zwykłej dziewczki. Zostaniesz moim sekundantem?

- Tylko po to, żebyś mógł nagle zachorować? - Colter leniwie rozparł się na krześle.

- Nie, nie, mój kochany. Już raz się za ciebie strzelałem. Nie zamierzam wstawać bladym świtem i ganiać po zagajnikach. No, chyba że mi podsuniesz piersiastą panienkę w przewiewnej sukience i z czułym uśmiechem.

Harvey znów westchnął.

- Tego się obawiałem.

- Dobrze wiedziałeś, że odmówię. Nie lubię wtrącać się w cudze sprzeczki.

-Northington sięgnął po szklaneczkę i jednym haustem wychylił ostatni łyk brandy, dając tym samym znać, że zamierza zakończyć wizytę w klubie.

Właściciel „White's”, niejaki Raggett, podszedł do nich, żeby zmieść ze stolika popiół i okruszyny. Przy okazji sprawdzał, czy gdzieś w okolicy nie leżą zgubione drobniaki. Zawsze był na to łasy - i czujny jak czapla.

Northington stłumił ziewnięcie. Było późno... lub wcześnie. Zależy od punktu widzenia. Nudził się już od kilku godzin, ale nie przerywał partii, zanim nie dał przeciwnikom choć najmniejszej szansy odegrania się. To nieładnie ograbić kogoś i odejść.

A zarobił raczej niemało. Harvey i młody Wharton stracili razem kilka tysięcy funtów. Harvey był niepoprawnym hazardzistą. Przyjdzie dzień, że przegra ostatnią koszulę, pomyślał Colter.

Wharton to inna sprawa... Prawie szczeniak, z młodzieńczym meszkiem na twarzy. Zielony w kartach, zielony w życiu. Wciąż ich przybywa i z roku na rok są coraz młodszy. Ja też kiedyś byłem taki? - zadał sobie w duchu pytanie Northington.

Owszem, młody, ale nie aż tak głupi.

Raggett podsunął mu na nowo napełnioną szklanę. W kryształowym szkłe migotał bursztynowy trunek. Colter podniósł szklanę do ust i nad jej brzegiem popatrzył na Whartona.

- Wchodzi pan?

Wharton drgnął i gwałtownie uniósł głowę. Ciemny rumieniec wstydu zabarwił blade policzki.

- Sam nie wiem, milordzie. - Bezskutecznie próbował się uśmiechnąć. - Zdaje się, że już zabrakło mi gotówki. Przyjmie pan weksel?

Northington pochylił się i niespiesznym ruchem zagarnął całą pulę w swoją stronę.

- Dżentelmen nie powinien się zakładać ani grać, jeśli nie ma czym płacić, Wharton. Zdziwiony Harvey przestał bujać się na krześle i usiadł wyprostowany.

- Co się stało, że nagle wygłaszasz kazania? Dobry Boże, chyba się przesłyszałem! Northington spojrział na niego z ukosa.

- Bierz ze mnie przykład. Zawsze płacę.

- Tak, tak. Przyznaję. Zwłaszcza po śmierci dziadka, czyli od chwili, gdy sam stałeś się wicehrabią. - Harvey się skrzywił. - Niestety, moi krewni nie są tak życzliwi, żeby umrzeć i pozostawić mi tytuł i majątek. Nawet nie wspomniałbym o tej drobnej sumie, którą do ciebie dziś przegrałem.

- Wierzę. - Colter ponownie zerknął na Whartona. Im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej widział w nim zadatki na niepoprawnego utracjusza.

- Sam nie wiem - powtórzył Wharton, sięgając po karty. Przetasował je niemal rozpaczliwym ruchem. - Ma pan diabelne szczęście, milordzie.

- Tak, to prawda. - Uśmiech zniknął z twarzy Northingtona, ustępując miejsca wzmożonej czujności. Wicehrabia niecierpliwym ruchem przesunął palcami po włosach. Wyciągnął rękę po talię kart aż śliskich po ostatniej nocy.

- Jedno rozdanie, Wharton.

Młodzieniec spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Wątpię, czy zdołam spłacić wszystko to, co już przegrałem. Jeśli pan. wygra, moje życie nie będzie warte nawet szylinga.

Z lekkim wahaniem wcisnął karty w dłoń Cottera. Wicehrabia potasował je płynnie i z lekkim, przyjemnym szelestem, jak przystało na wytrawnego gracza. Wharton wiercił się niecierpliwie.

Wreszcie nie wytrzymał.

- Wszystko jedno, czy mnie powiesz za owcę, czy za jagnię... Gramy.

- Ale inaczej. Wyższa karta zabiera wszystko. - Colter spokojnym ruchem położył karty pośrodku stołu. Lekko puknął w nie jednym palcem. -

Jeśli wygram, złożysz solenną przysięgę, że nigdy więcej nie siądziesz do stolika. Wtedy twój dług uznam za spłacony.

- Pan żartuje!

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. Nie rób urażonej miny. Mam pełne prawo zażądać spłaty wedle uznania.

Wharton zrobił się czerwony jak burak. Zacisnął usta. Teraz wydawał się nieco starszy.

- Tylko niech pan nie próbuje mnie ośmieszyć, Northington - powiedział..

- Przełóż karty albo idź do banku, żeby wypłacić mi to, co przegrałeś. Proste, prawda?

Wharton przez chwilę zmagał się ze sobą. W końcu gwałtownie kiwnął głową.

- Dobrze. Przekładam. Wyższa karta wygrywa.

Drżącą ręką podniósł część kart, odwrócił je i położył na stole. W bladym świetle błysnęła czwórka pik. Wharton powoli uniósł głowę i z wymuszonym spokojem spojrzał na Coltera.

- Zdaje się, że ma pan wymarzoną szansę, żeby wygrać, milordzie.

- Też tak myślę. Lubię wygrywać. To o wiele miłsze niż przegrana. Wharton zbladł jeszcze bardziej, lecz próbował zachować niewzruszoną minę.

Colter przełożył pozostałe karty.

- Siódemka kier! - z przejęciem szepnął ktoś za nim.

Colter dopiero teraz spostrzegł, że wokół nich zgromadził się spory tłumek widzów.

- Northington wygrał!

- Owszem - powiedział Colter i odsunął krzesło. Spod oka spojrzał na Whartona. - Umarzam dług, ale pod warunkiem, że dotrzymasz przyrzeczenia. Jeśli usłyszę, że znów grałeś, będzie to dla mnie znak, że nosisz z sobą więcej pieniędzy niż potrzeba. Wierz mi, że wtedy upomnę się o zapłatę razem z odsetkami.

Młodzieniec trząsnął się jak osika. Mimo wszystko wykrzesał z siebie tyle siły, żeby wstać z krzesła.

- Ja... ja...

- Tak, wiem - mruknął Colter i dodał: - Jeśli panowie pozwolą, to się pożegnam.

Dość mam na dzisiaj.

Harvey podniósł się także i odprowadził go do drzwi klubu. Po drodze zerknął na niego z ukosa.

- Do tej pory nigdy nie widziałem, żebyś oszukiwał w kartach. Northington włożył płaszcz, strzepnął pyłek z rękawa i popatrzył na swego towarzysza.

- W przeszłości nieraz domagałem się satysfakcji za dużo mniej obraźliwe słowa, Harvey.

- Bez wątplenia. Wiem też, że znakomicie strzelasz. Znam kilka karcianych sztuczek i nie byłem na tyle pijany, żeby nie widzieć, skąd się wzięła ta siódemka. Dlaczego?

- Dlaczego dałem mu nauczkę czy dlaczego kantowałem?

- Jedno i drugie. Wharton jest na tyle dorosły, że nie potrzebuje niańki.

- Nie, ale czasami w życiu potrzebna jest dobra rada. Jedni to rozumieją szybciej, inni wolniej.

- Nie sądziłem, że jesteś filantropem. Co dzisiaj piłeś?

- Jedną brandy za dużo. A może najzwyczajniej w świecie nie lubię ogrywać żółtodziobów? Wharton tu nie pasuje.

- To można powiedzieć praktycznie o każdym - sucho zauważył Harvey.

- To prawda. - Wyszli na zewnątrz. Colter zamrugał powiekami, oślepiony zimnym blaskiem wstającego słońca. Było później, niż podejrzewał. Przez St. James Street ciągnęły wozy dostawców. Panował wzmożony ruch. Jakiś wóz, po brzegi wyładowany beczkami piwa, omal ich nie ochlapał rozmiękłym błotem.

- Wkrótce rozejdzie się po Londynie, że wyrzuciłeś Whartona z „White's”. -Harvey z trudem dotrzymywał kroku Northingtonowi. - Nie za dobrze, mój drogi. Już lepiej było go zrujnować.

- Nie zwykłem iść na łatwiznę.

Po ostatnich deszczach na chodniku wciąż stały kałuże wody. W powietrzu unosił się smród. Colter przeskoczył przez najgorsze błoto i poszedł dalej, nie czekając na Harveya, który szerokim łukiem omijał kałuże.

W ten sposób doszli do rogu St. James Street i skręcili w przecznicę.

Colter myślał już tylko o gorącym posiłku i kojącej drzemce. Drgnął więc, kiedy Harvey złapał go za rękaw i przytrzymał.

- A niech mnie kule biją! Mówię ci, pierwszorzędna! Kto to? Znasz ją? Tę drugą chyba gdzieś widziałem...

Colter niecierpliwym ruchem odsunął jego rękę. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty na pogawędki z kobietami. Wszystkie znajome Harveya były bardzo ładne, ale na ogół nie grzeszyły rozsądkiem ani moralnością.

- Leverton - przypomniał sobie Harvey. - Tak się nazywa! Żona najmłodszego syna lorda Sharptona, Julesa Levertona. To finansowy geniusz. Ale jej towarzyszka...

- Jeśli chcesz zaspokoić ciekawość, zrób to sam. - Colter zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Otworzył drzwi, postawił nogę na stopniu i odwrócił się w kierunku Harveya. - Podwieźć cię czy zostajesz?

- Zostaję. - Sir John nie spuszczał wzroku z nadchodzących kobiet. - Myślę, że najwyższa pora odnowić znajomość z lady Leverton.

Colter odruchowo podążył za jego spojrzeniem i uniósł brwi ze zdumienia. Mimo upływu lat Jacqueline Leverton zdołała zachować urodę. Dama idąca obok lekko pochyliła głowę, więc w pierwszej chwili nie mógł zobaczyć jej twarzy, ale nie wątpił, że jest bardzo piękna. Nie zamierzał jednak trwonić czasu na amory.

- Zawsze byłeś łasy na ładne dziewczęta, Harvey. Idź, działaj. Tylko proszę, oszczędź mi szczegółów, kiedy następnym razem się spotkamy. Woźnico! Na Curzon Street. Tylko najkrótszą trasą, nie najdroższą.

Woźnica z trzaskiem zamknął drzwi dorożki, a Harvey cofnął się o dwa kroki. W dalszym ciągu spoglądał na kobiety.

- Pierwsza klasa - powiedział i zerknął na Coltera. - Co się tak spieszysz? Przecież wystarczy, że się przedstawisz. To nie boli.

- Co ty powiesz? Wyobraź sobie, że słyszałem to już wiele razy od straceńców, zmierzających prostą drogą do zagłady. Trzymaj się. - Colter machnął mu ręką na pożegnanie. Był już za stary na flirty. Bezsenne noce są dobre dla młodzieży.

Harvey był ulepiony z innej gliny. Colter wciąż widział go przez okno pojazdu. O, przystanął, przywitał się... W świetle poranka wreszcie było wyraźnie widać twarze obu kobiet.

Northington zmarszczył brwi. Rozpoznał damę stojącą obok lady Leverton. Niedawno widział ją na statku. Na „Liberty”. Początkowo popatrywała na niego, a potem wdała się w rozmowę z Jamesem Carlisle'em. A zatem była krewną Levertonów? Ciekawy zbieg okoliczności. On jednak nie wierzył w przypadki. Z przyjemnością patrzył na nieznajomą. Naprawdę była bardzo ładna: delikatna, jasnowłosa, dość wysoka i obdarzona naturalną gracją. Z uśmiechem zwróciła się w stronę Harveya, ale jej twarz nie wyrażała niczego więcej poza uprzejmym zainteresowaniem. Colter spoglądał na nią z zadumą. Jak na kogoś, kto zaledwie przed kilkoma dniami przybył do Londynu, obracała się doprawdy w dziwnym towarzystwie. Carlisle na pewno nie był niewiniątkiem. Jak dobrze go znała? Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, śledził Carlisle'a i to on naprowadził go na trop tej dziewczyny.

Teraz mieszkała w domu Julesa Levertona, żarliwego torysa, a zatem człowieka, który stanowił przeciwieństwo Carlisle'a. Być może kryło się za tym coś więcej... Colter uznał, że trzeba to zbadać. Ta sytuacja wymagała jego interwencji. Wzorem Harveya postanowił bliżej poznać tę damę, ale z odmiennych powodów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Celia patrzyła na sir Johna z rozbawieniem podszytym jednak pewnym niepokojem. To prawda, że był przystojny, pełen młodzieńczej energii i elegancki, ale zalatywało od niego cygarami i brandy. Nie zamierzała zbytnio z nim się spo-ufalać.

Nieznacznym ruchem lekko ścisnęła ramię Jacqueline na znak, że chce iść dalej. Kuzynka w lot pojęła, o co chodzi, i zrećźnie skończyła rozmowę.

- Bardzo mi było miło znów pana zobaczyć, sir. Proszę zostawić swój bilecik. Teraz jednak, za pańskim pozwoleniem, musimy pędzić do krawcowej. Przecież pan wie, że nie lubię się spóźniać.

- Oczywiście, lady Leverton - szybko zapewnił ją Harvey. - Chciałbym tylko powtórzyć, że nasze dzisiejsze spotkanie uważam za naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności. Planuję małe *soirée* i w tej sprawie potrzebuję fachowej porady. Pani wieczorki są słynne w całym Londynie, jeśli mi wolno tak powiedzieć. Chętnie wysłucham każdej sugestii... Przerwał z nadzieją w głosie. Celia z trudem powstrzymała się od śmiechu. Od początku wyczuła prawdziwe intencje sir Johna. Podczas rozmowy nie odrywał od niej spojrzenia. Teraz też, chociaż mówił do lady Leverton, to rozplomienionym wzrokiem patrzył na Celię.

- Pochlebia mi pan, sir Johnie - odpowiedziała Jacqueline. - Może pan liczyć na moją pomoc. Kiedy to będzie?

- Kiedy? Och... tak daleko moje plany jeszcze nie sięgają. Może odwiedzę panią choćby jutro, abyśmy mogli nieco spokojniej o tym porozmawiać? Jestem pewny, że panna St. Clair także dorzuci kilka cennych uwag.

- Bardzo pan popędliwy, młody człowieku. - W głosie Jacqueline słychać było nutę nagany.

Harvey drgnął i popatrzył na nią ze zdumieniem. Potem jednak uśmiechnął się szeroko, z rozbrajającą szczerością.

- Nie zawsze. Tylko wtedy, gdy na swojej drodze spotykam piękną damę, którą chciałbym poznać.

- Rozumiem - z przekazem odparła Jacqueline. - Próbuje pan zrobić jak najlepsze wrażenie.

- Coś w tym rodzaju.

- Niestety, to się panu zupełnie nie udało. Moja *pétite cousine* raczej stroni od zbyt natrętnych dżentelmenów.

Wzięła Celię pod rękę i pociągnęła ją za sobą, żeby odejść. Harvey odezwał się zboliałym głosem:

- Mogę przyjść jutro z krótką wizytą?

- Tylko wtedy, jeśli przemyśli pan swoje zachowanie, sir.

Harvey został sam na środku ulicy, spoglądając za nimi z niedowierzaniem.

- Boże! - szepnęła Celia, kiedy uszły kilkanaście kroków. - Byłaś dla niego wręcz bezwzględna!

- Tak myślisz? Przynajmniej będzie wiedział, że nie wolno przekraczać pewnych granic. Zwłaszcza w rozmowie z tobą. Przy okazji rozpowie o tym po całym Londynie. Wierz mi, taka nauczka ma swoje dobre strony. Od tej pory Harvey jest naszym sojusznikiem. Szkoda tylko, że nie wziął ze sobą Northingtona.

- Northingtona? - Celia odruchowo ścisnęła torebkę w rękę. Zimny wiatr powiał nad ulicą, niosąc ze sobą odór gnijących śmieci. Szybko zakryła dłonią nos i usta, żeby tego nie czuć, ale także dlatego, że chciała ukryć zdenerwowanie.

- Tak. Widziałam go, jak pożegnał się z Harveyem i wsiadł do dorożki. Szkoda. Powinnaś go koniecznie poznać.

Celia poczuła mdłości. Szybko wysupłała z torebki perfumowaną chusteczkę, żeby przytknąć ją do nosa. Northington! Był tak blisko, a ona nawet o tym nie wiedziała...

- Harveya dużo łatwiej podejść niż lorda Northingtona - paplała Jacqueline, zupełnie nieświadoma, co przeżywa Celia.

- Dlaczego?

- Northington zapewne ma serdecznie dość niezamężnych kobiet, które się za nim uganiają. - Jacqueline zaśmiała się cicho. - Ma reputację lekkoducha, lecz stanowi dobrą partię. Sama pomyśl: kawaler, wicehrabia... Rzadkość w naszych czasach. Będziesz zdumiona, gdy zobaczysz, ile londyńskich dam zabiega o to, żeby pojawił się na wieczorku lub przyjęciu. Wyraźnie nie spieszy mu się do żeniaczki. Cóż, jako jedyny dziedzic i kandydat do tytułu hrabiego może sobie na to spokojnie pozwolić. Celia ominęła stertę nieczystości leżącą na chodniku.

- Pewnego dnia zostanie hrabią? - spytała chłodno.

- Pewnie prędzej, niż nam się wydaje. Jego ojciec od kilku lat jest poważnie chory. Ogromnie niemiły człowiek. Patrz pod nogi, *ma petite*. Uważaj, gdzie stąpasz. O czym to ja mówiłam? Ach, tak. Northington na swój sposób przyjaźni się z Harveyem. Można powiedzieć, że mają podobne zainteresowania.

- Naprawdę? Mimo to chcesz, żeby u ciebie bywał?

- Jedynie w celach towarzyskich. Nic się nie martw, podejmę odpowiednie kroki, żeby zdobyć jego przychyłność. O... jesteśmy już na miejscu. Madame Dupre nade wszystko ceni punktualność. To chyba najślynniejsza modniarka w Londynie. Jej suknie na pewno ci się spodobają. Och, Celio! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że do nas przyjechałaś. Dzięki tobie świat nie będzie nudny nawet teraz, kiedy już zadbałam o przyszłość Carolyn.

Celia uśmiechnęła się. Przez dwie godziny przymierzała rozmaite suknie, wysłuchując zdumionych okrzyków krawcowej, która nie mogła się nadziwić jej kształtom i proporcjom ciała.

- Ależ pani jest wysoka, mademoiselle! Jakie długie nogi! Rzadko widuje się kobiety tak zbudowane. Zaraz z ochotą wezmę się do pracy. Angielki są na ogół płaskie jak deski. Niskie, o chłopięcej figurze. Za to pani... Cudo! Po prostu cudo! Speszona Celia tylko wymruczała coś w odpowiedzi i popatrzyła w lustrze na roześmianą Jacqueline.

- Dziewczyna nie przywykła do takich pochwał, madame Dupre - odezwała się lady Leverton.

- Proszę się tym nie przejmować. Musi wiedzieć, ile jest warta. Celia dumnie uniosła głowę.

- Wiem - powiedziała cicho. Jacqueline wybuchnęła śmiechem.

- Tak, wierzę! To bardzo dobrze. Nie cierpię fałszywej skromności. Madame Dupre ma rację. Jesteś bardzo zgrabna, moja droga. Będziesz sensacją tego sezonu.

- To takie ważne? Sprawiam ci tylko kłopot. Ciągłe wizyty, prezentacje...

- Nie tylko, moja droga. Przede wszystkim należy zadbać o to, żeby wyszukać ci odpowiedniego męża. Musi być bogaty, tak jak narzeczony Caro. Oczywiście jej zaręczyny już się odbyły, ale to nic nie szkodzi. Chcę, żeby skorzystała z życia, zanim wyjdzie za mąż. A ciebie czeka świetlana przyszłość. Sama widziałas, jakie wrażenie wywarłaś na sir Johnie. O mało się nie przewrócił, tak się spieszył, by do nas podejść i chociaż chwilę z tobą porozmawiać. Pamiętaj, że ma duże znajomości w różnych kręgach. Tu, w Londynie, to jest najważniejsze. - Jacqueline przerwała, spojrzała na madame Dupre i dokończyła nieco zamyślona: - We Francji było całkiem tak samo. Może tylko trochę mniej martwiliśmy się o nasz wygląd.

- Uśmiechnęła się. - Wszyscy wiedzieli, że i tak są piękni i ubrani według najnowszej mody.

Madame Dupre zawtórowała jej cichym śmiechem. Tymczasem Celia rozmyślała nad tym, co jej przed chwilą powiedziano. Nie powinnam unikać

sir Johna, skoro jest bliskim przyjacielem Northingtona, uznała. Od niego dowiem się dużo o Northingtonie. Ciekawe, czy on mnie pamięta? Czy rozpozna we mnie dziewczynkę, którą widział przed wieloma laty? Czy w ogóle kiedyś myślał o Leonie Sinclair? Przecież od tamtej pory bez wątpienia miał wiele innych kobiet. Zapłaci za to, pomyślała. Za krzywdę mamy i za śmierć Petera. Wszyscy w Londynie się dowiedzą, do czego jest zdolny. Jeśli się uda, to na końcu nawet zawisnie za morderstwo. Nie... To najmniej prawdopodobne. Muszę być realistką.

- Stoisz sztywno, jakbyś kij połknęła, moje dziecko! - odezwała się madame Dupre z zafrasowaną miną. - Nie bój się, że cię ukłuję.

Celia zmusiła się do śmiechu.

- Przepraszam, madame. Zamyśliłam się. Opadły mnie wspomnienia.

- Chyba smutne, sądząc po twojej minie.

- Tak. Bardzo smutne.

- Biedne dziecko... - wtrąciła Jacqueline - wiele wycierpiałaś w życiu.

- Ale na pewno mniej od innych.

- Masz rację. - Jacqueline zapadła w ponure milczenie. Madame Dupre także umilkła, bo była jedną z wielu paryskich emigrantek, które szukały schronienia w Anglii w latach rewolucji.

To były okropne dni, pomyślała Celia. Nic więc dziwnego, że *maman* nie chciała o nich opowiadać. Wolala inne, lepsze wspomnienia. Często mówiła o ukochanym mężu albo o ich pierwszym spotkaniu w Londynie.

- Cóż, lepiej o tym nie myśleć. - Madame Dupre pierwsza otrząsnęła się z zadumy. To tylko przeszłość, a nas za chwilę czeka nowy sezon. Książę Walii rozpoczął przygotowania do tegorocznego wielkiego *fete*, które rozmachem ma przyćmić wszystkie poprzednie wydarzenia...

I tak dalej. Madame Dupre plotkowała z Jacqueline po francusku, a Celia posłusznie podnosiła ręce, obracała się i wciągała brzuch, bez sprzeciwu wypełniając wszelkie polecenia. Wkrótce rozmowa zesła na sprawy mody. Panie

zastanawiała się, czy na wieczór nie będzie najlepsza satyna z jedwabiem i jak głęboki powinien być dekolt, żeby nie wywołać skandalu.

- Przy tym wzroście dziewczyna musi być ubrana zgodnie z modą - oznajmiła madame Dupre. - Niższa talia i dekolt wcięty na tyle, żeby przyciągnąć oko, ale na pewno niezbyt *risque* Obcisły stanik, nagie ramiona... i długie rękawiczki. Nawet do łokcia. Żadnej narzutki, bo jej smukłe ręce są na to stanowczo zbyt piękne. Na bal... tiul na białej satynie, prawda? Cztery *rouleaux*?

- Tak... - z zamyśleniem odparła Jacqueline. - Sute falbany, halka z *rouleau*... na pewno biała, bo to przecież debiut, lecz bez przesady, ze względu na jej bladą cerę. Błękitna szarfa. Tak, to będzie świetne połączenie! Uzupełnienie sukni Caro. Cóż to będzie za wspiana para młodych pięknych dziewcząt!

Córka Jacqueline już od dawna była gotowa do balu, odmówiła więc wyprawy do krawcowej. Nie okazywała Celi wyrażnej niechęci, lecz zachowywała się z rezerwą. Początkowo w kontaktach obu panien można było wyczuć pewne napięcie. Carolyn pierwsza zapoznała Celię z angielską etykietą. Bez zająknięcia wyrecytowała długą listę szlacheckich tytułów i związanych z nimi przywilejów.

- Nie, nie - zaprzeczyła, słysząc, że Amerykanka zamierza powitać księcia jako „sir Charlesa”. - Do książąt zawsze zwracasz się „Wasza Wysokość”, albo na przykład „książę Marlborough”. Nigdy nie mówisz „sir”. Do książęcego syna możesz powiedzieć „milordzie”, tak samo do wicehrabiego, markiza albo hrabiego.

Pamiętaj, nie mów „lordzie Johnie”, chyba że masz do czynienia z młodszym synem księcia lub markiza. To bardzo proste. Wystarczy zapamiętać, że tylko książę jest arystokratą. Reszta to tłum, nie wyłączając hrabiego. Wszystkim parom Anglii, z wyjątkiem księcia, przysługuje tytuł lordowski. Rozumiesz?

- Nie - szczerze odparła Celia. Carolyn wybuchnęła śmiechem i to rozładowało napiętą atmosferę.

- Nic nie szkodzi. Będziemy powtarzać to tak długo, aż wszystko zapamiętasz.

Tak też się stało. Przez ostatni tydzień Caro skrupulatnie udzielała lekcji Celi. Nauki było naprawdę dużo. Biedna Celia nawet nie podejrzewała, że Anglia aż tak bardzo różni się od Ameryki. Już niedługo czekał ją sprawdzian. Początkowo niechętnie myślała o balu, lecz po pewnym czasie pozbyła się oporów. Przecież tylko w ten sposób mogła zbliżyć się do Northingtona.

- Sezon jest krótki, więc się nie bój - zapewniała ją Jacqueline. - Wszyscy wracają z letnich wiozów i Londyn znów stanie się wesoły i gwarny.

Zatem zemsta... A potem? Powrót do Ameryki. Tam zawsze znajdzie się skromna posiadłość nauczycielki francuskiego. Pod warunkiem, że nikt nie dowie się o tutejszym skandalu...

Miała już przedsmak ludzkiego okrucieństwa. Lord Northington, chociaż był mordercą, nie musiał bać się potępienia. Za to jej matkę, choć niewinną, powszechnie obrzucano błotem. Nie miała prawa wstępu do żadnego „porządnego” domu. Szydzono z niej i poniżano.

Celia już jako dziecko poprzysięgła sobie, że pomści krzywdę matki. Dorosła na tyle, aby udźwignąć brzemień zemsty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego wciąż korzystasz z tak nędznego środka transportu? Jedziesz przez cały Londyn zwyczajną dorożką, a masz do dyspozycji porządną karetę z czwórką koni.

Colter pochylił się i na powitanie cmoknął matkę w policzek. Jak zwykle pachniała lawendowym pudrem. Pamiętał ten zapach z dzieciństwa.

- Powiedziałaś to tak, jakbym przyjechał furą od rzeźnika.

- Niewielka różnica. - Lady Moreland dała znak służącej, gdzie powinna postawić tacę ze śniadaniem. Po jej wyjściu popatrzyła spod oka na syna.

- Cieszę się, że znalazłeś czas, aby mnie odwiedzić. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jesteś obrażony.

Colter oparł się o gzyms kominka.

- Przecież wiesz, dlaczego tutaj zbyt często nie bywam.

- Tak, wiem. - Lady Moreland usiadła na wysokim krześle, ciągle młodzieńcza i pełna gracji mimo swojego wieku. - Ojciec pytał o ciebie.

- Och, naprawdę? - Colter poruszył się niespokojnie. - Dlaczego?

- Twoim zdaniem to powód do niepokoju?

- U innych ojców zapewne nie. Z moim jest inaczej. - Colter podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na ogród. Na klombach stały kamienne rzeźby, z fontanny w kształcie greckiej bogini trzymającej dzban tryskał strumień srebrzystej chłodnej wody. To pewnie Wenus, pomyślał Colter, choć w domu Morelandów o wiele bardziej pasowałby posąg Attyli.

- Ależ Colterze... - Matka westchnęła. - Mógłbyś się zdobyć na ugodę. Pewien kompromis...

Wpadające przez okno promienie słońca tworzyły wokół lady Moreland świetlistą aureolę, nadając jej niemal eteryczny wygląd. Przypominała anioła i tylko

drobne zmarszczki wokół oczu świadczyły o tym, że życie nie zawsze było dla niej łaskawe. Lekko drżącą dłonią naląła sobie gorącej czekolady. Słodki zapach rozszedł się po pokoju. Nie patrzyła na syna. Colter wyczuł jej zdenerwowanie.

- Co on ci znowu zrobił? Tylko nie zaprzeczaj.

Boisz się nawet spojrzeć w moją stronę. Chryste Panie, czy to naprawdę nigdy się nie skończy?

W jego głosie zabrzmiało tyle goryczy i gniewu, że lady Moreland odstawiła filiżankę na spodek, złożyła dłonie na kolanach i zerknęła na syna.

- Chodzi o nasze interesy z Kompanią Wschodnioindyjską. Nowa przystań pochłania dość pokaźne sumy i twój ojciec ostatnio nabrał przekonania, że stryj chce go zrujnować.

- To raczej niemożliwe. - Colter wzruszył ramionami. - Philip jest na to za tępy i leniwy. Ojciec ma bujną wyobraźnię. Philip być może go nie lubi, ale na pewno by go nie oszukał.

- Nie mów tak o swoich krewnych. Zwłaszcza o ojcu. Nie rozumiem, co ostatnio w ciebie wstąpiło. Kiedyś byłeś takim grzecznym chłopcem...

- A teraz jestem okropnym Northingtonem, spadkobiercą tytułu i reputacji ojca. Już nie mogę być miły. Gdyby dziadek żył odrobinę dłużej, to dziś wszyscy bylibyśmy wolni. Niestety, zachorował, a wraz z nim jego jedyny przyzwoity syn. Można powiedzieć, że mojemu ojcu dopisało szczęście.

Hrabina wyglądała na zakłopotaną. Colter pożałował ostrych słów, chociaż kryło się w nich wiele prawdy. Śmiertelna gorączka, która zabrała szóstego hrabiego, nie oszczędziła wuja Coltera, a także prawowitego dziedzica majątku Northingtonów, Anthony'ego. Matka do tej pory nie mogła się z tym pogodzić, ojciec zaś przeklinał niebo i ziemię.

Colter przeszedł na drugą stronę pokoju i usiadł na niskiej sofie, krytej pasiastym brokatem, naprzeciwko matki.

- Jestem dziś w złym humorze. To nie ma nic wspólnego z tobą. Przed wyjściem zajrzę na górę i spróbuję z nim porozmawiać. Zawsze to robię, prawda?

- Tak. - Popatrzyła na niego uważnie niebieskimi oczami. - Niezmiennie spełniasz obowiązki. Jesteś człowiekiem honoru.

- Tylko nikomu tego nie powtarzaj. Wolę, żeby mnie uważano wyłącznie za utracjusza. Dlatego nie nachodzą mnie mamusie myślące tylko o tym, jak wydawać za mnie swoje szpetne córki.

Wąły uśmiech zagościł na twarzy matki.

- Są takie, których nie odstraszy nawet twoja zła reputacja, synku. Zewsząd pytają mnie, czy na pewno pojawisz się na ich *fete*. Zwłaszcza zależy na tym mojej przyjaciółce, którą od wielu lat darzę zaufaniem. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

Colter zrobił ironiczną minę.

- Jakież to smutne.

- Po prostu przyjdź i zostań. Nie musisz siedzieć zbyt długo.

- Pozwól, że spytam, o kogo chodzi. Może to ma być niespodzianka? Och, nie... Tylko mi nie mów, że to lady Throgmorton!

- Nie! Nigdy nie byłabym tak okrutna wobec własnego syna. To lady Leverton.

Przyjaźnimy się od dłuższego czasu. Jej córka całkiem niedawno została przedstawiona księciu i w przyszłym roku ma wyjść za mąż. Na razie cieszą ją atrakcje sezonu. Lady Leverton wspominała mi też o kuzynce, która niedawno przybyła z Ameryki. Słyszałam, że to miła i ładna dziewczyna. Najważniejsze, że cicha, nieskora do chichotu i pisków. To przyjemna odmiana.

Colter pomyślał o Harveyu i młodej damie, którą niedawno widział na ulicy w towarzystwie lady Leverton. Londyn to miasto niezwykłych przypadków.

Zaproszenie przyszło w najodpowiedniejszej chwili.

- Skoro tak bardzo prosisz... - rzekł i omal się nie roześmiał, widząc zdumioną minę matki. - Dla ciebie pójdę nawet między wilki. Tylko nie licz na to, że poszukam łupu.

- Ależ Colterze!

- Przepraszam. Tym razem zasłużyłem na porządną burę.

- To prawda, lecz wszystko ci wybaczę, jeśli poświęcisz kilka minut kuzynce lady Leverton. Zapewniano mnie, że jej maniery są wręcz nienaganne. Dzięki tobie inni ją spostrzegą. Bądź zatem dla niej miły, ale bez przesady. Nie chciałabym, aby ktoś nabrał błędnego mniemania na temat twoich intencji.

- Rozumiem. Jesteś bezwzględna intrygantką i na dobrą sprawę powinnaś się grubo wstydzić tego, co zamierzasz. Przecież wiesz, że diabelnie nie lubię być miły.

- Nieprawda. Jeśli masz ochotę, przychodzi ci to bez najmniejszego trudu.

- Uśmiechnęła się pogodnie. - Zdziwiasz mnie, Colterze. Przypuszczałam, że napotkam na dużo większy opór z twojej strony.

- Nie umiem ci odmówić, mamó.

- W takim razie na moją prośbę spróbuj się pogodzić z ojcem. Och... Widzę, że w tym przypadku wyraźnie zwlekasz z odpowiedzią. Już ci przeszło?

- Szczerze mówiąc, to wolałbym sprzątać stajnię Augiasza. Efekt byłby o wiele lepszy i mniej bym się upaprał.

Lady Moreland puściła tę uwagę mimo uszu.

- Świetnie - odpowiedziała. - Więc idź do niego, zanim przyśle tutaj po ciebie Brewstera. Tylko się nie kłóćcie.

Colter wstał i przez chwilę przyglądał się matce. Siedziała prosto, jak przystało na arystokratkę. Zawsze zachowywała się w ten sposób, kiedy postępowanie hrabiego przekraczało granice rozsądku. Colter pochylił się nad jej wyciągniętą dłoń.

- Wkraczam więc do jaskini lwa, ale niczego ci nie obiecuję. Jeżeli trzeba, niech sobie wynajmie chłopca do bicia.

- Po prostu... - Urwała i dokończyła ciszej: - Staraj się pamiętać o jego chorobie.
- Ta choroba doprawdy nie ma nic wspólnego z jego charakterem. Hrabina nic nie powiedziała, lecz po wyrazie jej twarzy poznał, że się z nim zgadza. To była smutna prawda. Colter westchnął ciężko. Pluł sobie w brodę, że znów dał się ponieść nerwom i musiał matce o tym przypomnieć.

Jak zwykle hrabia był w podłym nastroju, potęgowanym jeszcze przez własne niedołęstwo, przez które większość dnia musiał spędzać w pokoju. Mimo to lokaj Brewster z niewzruszoną miną dbał o swojego pana, nie zwracając uwagi na impertynencje.

- No, wreszcie przyszedłeś! - burknął Moreland i spod krzaczastych brwi gniewnie łypnął na syna. - Wzywałem cię już kilka razy. Z dnia na dzień jesteś coraz bardziej bezczelny.

- Jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

- Może z zainteresowaniem wysłuchasz wiadomości, że jeden z naszych statków zaginął na morzu razem z cennym ładunkiem. Chyba że masz za mało oleju w głowie, aby wiedzieć, co to oznacza dla reszty interesów.

Hrabia z ponurą miną czekał na odpowiedź. Colter wzruszył ramionami.

- Nie znam się na tym. To ma wpływ na mój spadek? - spytał od niechcienia.

- Od lat powtarzam, że to ty powinieneś umrzeć zamiast Anthony'ego. On przynajmniej znał wartość swojego dziedzictwa. A ty? Jesteś jak matka. Słaby, bez krzty zainteresowania majątkiem Morelandów!

- Tak, z tym się absolutnie zgadzam. Tony byłby najlepszym spadkobiercą. Zresztą chciał tego od początku.

Colter nie odrywał wzroku od ojca; za sobą usłyszał ciche skrzypnięcie zamykanych drzwi. To Brewster wyszedł, żeby nie być świadkiem tej rozmowy. S łypnął z dyskrecji i dzięki temu udało mu się przez dwadzieścia lat zachować posadę w domu Morelandów.

- Nigdy cię nie zrozumieję - rzekł hrabia. Okna wpuszczały do pokoju zaledwie tyle światła, żeby choć trochę zmiękczyć postarzałe rysy, lecz głos nic nie stracił ze swojej szorstkości.

- Wiem. Wspomniałeś o „Indii”? Słyszałem, że odpłynęła z wysp w pobliżu Lubangu. Podobno miała spory ładunek złota i korzeni.

- Tego właśnie nie wolno nam stracić! Jesteś dziś głównym udziałowcem firmy. Zwołaj zarząd. Niech piorun strzeli ich podeście do wspólnych interesów! Najpierw budowa portu, niezgodna z kosztorysem, a teraz to. Mamy wierzycieli, którzy chcą wiedzieć, co się stało ze statkiem!

- Jestem tego zupełnie pewien. Najprostsze wytłumaczenie na pewno nie trafi im do przekonania. Czy Leatherwood ma listy przewozowe i kopie wszystkich rachunków? Mogą mi być potrzebne.

- Tak. Udobruchaj zarząd, Northington. Potrzebujemy więcej czasu, żeby zrównoważyć poniesioną stratę. Nie można ryzykować odejścia inwestorów. To wywołałoby zamieszanie. - Hrabia spojrzał z ukosa na syna i z goryczą zacisnął usta.

- Zastanawiam się, czy mój ojciec wiedział, ile mi w przyszłości przysporzysz kłopotów? Dlaczego nie oddał mi większości udziałów? - Colter domyślał się intencji dziadka. Stary hrabia robił co mógł, żeby ograniczyć dostęp syna do majątku. - Nie rozmawiaj o tym ze stryjem - rzucił Moreland. - Im mniej będzie wiedział, tym lepiej dla mnie.

- Nie sądziłem, że Philip może być w to zamieszany.

- Nie powinien. Wciąż wtyka nos w nie swoje sprawy. Zupełnie mu nie ufam.

- Jak to w rodzinie - sucho zauważył Colter.

- Możesz być pewny, że Philip odwzajemnia moje uczucia. Jest przekonany, że po śmierci dziadka to on powinien odziedziczyć tytuł. Brednie!

- Skoro tak twierdzisz... Z jego ust nie słyszałem podobnych deklaracji. Wręcz przeciwnie, wydawał się zadowolony z tego, co mu się dostało. Nadaje się na bogatego rentiera.

Moreland burknął coś gniewnie.

- Tylko nie pozwól, żeby cię wprowadził w błąd pozorną beczynością. Możesz uważać mnie za brutala, ale zapewniam cię, że stryj jest ode mnie dużo gorszy. Colter nie odpowiedział. Znał odwieczny zatarg, lecz to niczego nie zmieniało. Philip Worth, czyli lord Easton, mógł uchodzić za wzór ślamazary. Nikt go jednak nie przyłapał na łajdactwie w odróżnieniu od obecnego hrabiego, którego grzechy z trudem dałoby się spisać na wołowej skórze.

Moreland niecierpliwym gestem dał znak, że syn może odejść. Brewster ponownie zjawił się w pokoju i nie zwracając najmniejszej uwagi na Coltera, podszedł do łóżka, żeby poprawić pościel.

Northington wyszedł z domu, nie żegnając się nawet z matką. Olbrzymi hol wydał mu się całkiem pusty. Dookoła panowała cisza. Któż mógłby uwierzyć, że to właśnie tutaj, za fasadą milczenia i spokoju, od lat kryło się siedlisko zła. Przed chorobą hrabia uwielbiał wszelkie intrygi i skandale. Jedynie tytuł i majątek chroniły go od ruiny. Fatalna reputacja niechcący przeszła na młodszego syna. Colter pozornie wstąpił w ślady ojca, ale po cichu go potępiał. Nie chciał tego czynić publicznie, lecz w domu nie ukrywał wzdargy. Moreland podjął grę, w której zwycięzca miał zagarnąć wszystko.

Co za szkoda, że Anthony umarł! - pomyślał Colter. Bywały chwile, że dusił się w tej ciasnej klatce i tłukł głową w niewidzialne pręty.

Chętnie rzucał się w wir ryzykownych przedsięwzięć. Dlaczego nie? Poszedłby na wszystko, by zapomnieć o rzeczywistości.

Gdyby nie matka, dawno zrzekłby się pieniędzy i tytułu. Jako młody chłopak, chciał opuścić Anglię i z królewskim wojskiem pójść na wielką wojnę z Napoleonem. Wreszcie udało mu się. Wyjechał na kontynent, spał pod namiotem i czuł w nozdrzach zapach prochu. W uszach rozbrzmiewał mu huk armat i głośnie jęki konających. Tam też nauczył się zabijać. Wrócił do cywilizacji, ale coś gnało go

po świecie. Zwiedzał niebezpieczne i odległe miejsca. Był w Ameryce Południowej, w Nowym Orleanie i w hiszpańskiej Kalifornii. Kiedy wrócił do Anglii, stwierdził ze zdumieniem, że w jego życiu wszystko się zmieniło.

Była w tym ironia losu, bo gdyby został, pewnie umarłby z powodu gorączki jak brat. Colter przeżył wojenną zawieruchę, Anthony zaś, faworyt ojca i dziedzic, skonał we własnym łóżku.

Czasami Colter mu zazdrościł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sala balowa skrzyła się tysiącami świateł. Na szyjach pań migotały bezcenne klejnoty. Wokół rozbrzmiewał śmiech i gwar setek rozmów, przerywany dźwiękami muzyki. Pod ścianami stały długie, obficie zastawione stoły. Palmy w doniczkach rzucały cienie na błyszczący parkiet. Celia z trudem rozpoznała znane sobie miejsca w domu Jacqueline. Skąd przyszło jej do głowy, że zdoła tutaj przetrwać? Była zupełnie obca wśród tych ludzi, od lat przywykłych do bogactwa i władzy. Tuż po przybyciu do Londynu przekonała się na własnej skórze, jak wielka przepaść dzieli ją od świata arystokracji i wielkiej finansjery. Przepaść praktycznie nie do przebycia.

Nerwowym ruchem przyglądała fałdy nowej sukni wyszywanej w maleńkie złote gwiazdki i zakończonej uroczym trenem. Pantofelki zdobiły błyszczące przeszycia. Z ramion spływał jej biały jedwabny szal, przetykany złotem.

Lily uczesała ją bardzo starannie, część włosów zbierając w zgrabnie ułożone pukle i zostawiając małe loczki nad czołem, tuż przy skroniach i na szyi. Całości dopełniał złoty diadem i błyszczący grzebień, wpięty powyżej karku.

- To styl *à l'enfant* - oznajmiła Lily, z zadowoleniem oglądając w lustrze efekty swojej pracy. - *Ravissante!*

Celia patrzyła na siebie jak urzeczona. Nawet nie słyszała, że do garderoby weszła Jacqueline.

- Jesteś naprawdę piękna, *petite!* - zawołała na widok kuzynki. - Musimy się pospieszyć. Goście czekają.

- Tak... zaraz przyjdę. Obiecuję.

Jacqueline zrozumiała, że Celię ogarnął lęk, i delikatnie wzięła ją pod ramię.

- Zobaczysz. Wszystko pójdzie jak najlepiej. Nikt nie odbierze ci urody ani wrodzonej gracji. Bądź sobą i o nic się nie martw.

Celia pomyślała, że gdyby Jacqueline знаła prawdę, nie byłaby tak pewna swego. A może zapomnieć o zemście i czym prędzej wrócić do Ameryki? Nie. Musi spotkać się z Northingtonem. Spojrzeć w twarz człowieka, który sprowadził nieszczęście na jej matkę. Zobaczyć, jak ów łotr płaci za uczynioną niegodziwość.

Balansowała na wąskiej krawędzi pomiędzy nadzieją a przerażeniem, ale w lustrze widziała młodą kobietę o pogodnej twarzy. Nic nie zdradzało burzy uczuć.

Celia westchnęła z głębi piersi i wyszła na szerokie schody. Przez chwilę stała nieruchomo. Spoglądała z góry na eleganckich mężczyzn, bogate suknie kobiet i mieniące się klejnoty. Wreszcie wypatrzyła Jacqueline, witającą kolejnych gości.

Wyraźnie była w swoim żywiole, roześmiana, szczęśliwa, że aż tak jej się udał pierwszy bal sezonu. Na liście zaproszonych widniały nazwiska najwybitniejszych postaci londyńskiej socjety. Lady Jersey i Cowper wdzięcznie towarzyszyły gospodyni, tworząc uroczy kwartet z nią i Carolyn. Celia знаła je tylko ze słyszenia. Potrafiły zniszczyć karierę każdej młodej damy, odmawiając jej, na przykład, wejścia do ekskluzywnego klubu „Almack”. Nic więc dziwnego, że wiele ambitnych matek dokładało starań, by umieścić córki w tak szacownym gronie.

Celia nie miała złudzeń. Zgodziła się przyjść na bal jedynie po to, żeby zrobić przyjemność Jacqueline. Postanowiła udawać, że będzie rozglądać się za mężem, w nadziei, że w ten sposób znajdzie się bliżej Northingtona. Głupio jej było wciąż oszukiwać niczego nieświadomą Jacqueline. Wiele razy zastanawiała się, czy nie

opowiedzieć jej całej historii. Jednak wspomnienie tragicznej śmierci matki i związanego z tym skandalu zmuszało ją do milczenia.

Teraz czekało ją ponowne spotkanie z Northingtonem. Celia tak mocno ścisnęła w dłoni wachlarz z kości słoniowej, aż zgrzytnął cicho.

Tylko spokojnie, pomyślała. Na tę chwilę czekałam przez te wszystkie lata.

Ciekawe, czy Northington mnie rozpozna? Czy pamięta dziewczynkę, córkę kobiety, na którą sprowadził nieszczęście?

- Celio, kochanie... - Jacqueline przyzywała ją ruchem dłoni. - Chodź do nas. Poznaj lady Jersey i lady Cowper.

Celia przywołała sztuczny uśmiech na twarz i podeszła przywitać się z wpływowymi damami londyńskiej socjety. Obie okazały się wyjątkowo miłe, choć bez skrępowania przyglądały się jej taksującym wzrokiem. Widać pierwsza próba wypadła pomyślnie.

- Czy zostanie pani w naszym pięknym mieście na dłużej? - spytała lady Jersey, lekko trzepocząc wachlarzem. - Słyszałam od lady Leverton, że dopiero niedawno przyjechała pani z zamorskich kolonii.

- Tak, to prawda. Na dobrą sprawę jeszcze nie wiem, jak długo zabawię w Londynie. To zależy od uprzejmości mojej chrzestnej matki i jej męża. Lady Leverton okazała mi serce, a Londyn rzeczywiście jest wspaniałym miastem.

Emily Cowper nachyliła się w jej stronę. Jeżeli wierzyć plotkom, to właśnie ona dzierżyła w swoim ręku większość nici wiodących do „Almacku”. Wyraźnie była zaciekawiona życiem amerykańskich kolonistów.

- Proszę mi powiedzieć, czym wasze miasta i osiedla różnią się od Londynu? Czy to prawda, że na ulicach można spotkać prawdziwych Indian? A może to tylko bajki? Celia wzięła kieliszek szampana z tacy niesionej przez lokaja i uśmiechnęła się do lady Cowper.

- To prawda. Zdarza się, że tubylcy zjeżdżają do miasta, ale na ogół wolą własne towarzystwo. W gruncie rzeczy nie można ich za to winić, bo przecież nie tak dawno byliśmy wrogami. Zacięte walki toczyły się na całym pograniczu.

- Och, nie rozumiem tej amerykańskiej brutalności - oznajmiła lady Jersey, taktownie zapominając o niedawnej krwawej wojnie Anglii z Francją. Dla podkreślenia swoich słów pogardliwie machnęła ręką.

Celia nie przypomniała jej, że to angielskie wojska przed pięciu laty spaliły Waszyngton i Kapitol.

- W puszczech ciągle mieszkają dzikie plemiona - powiedziała. - Na szczęście są daleko.

- Okropne! - lady Cowper wzdrygnęła się. - Nawet nie umiem sobie wyobrazić podobnej sytuacji. Czerwonoskórzy wojownicy, półnaczy, z piórami we włosach... Porywają kobiety?

- Owszem, czasami to się zdarza - przytaknęła Celia.

- Potworne! Cieszę się, że żyjemy w bardziej cywilizowanym kraju.

- Mniej byś mówiła o cywilizacji, gdybyś się przeszła za katedrę Świętego Idziego - sucho zauważyła lady Jersey. - Faj! Te upadłe dziewczki, stojące na rogach, dzieci gotowe wyrwać ci torebkę albo poderznąć gardło bez zmrużenia oka.

Lady Cowper wyraźnie straciła chęć do dalszej rozmowy i rozejrzała się po sali. Nagle na jej twarzy odbił się wyraz zdziwienia.

- A niech to! Spójrzcie, kto przyszedł! Jacqueline obejrzała się i wydała okrzyk radości.

- To Northington!

Zimny dreszcz przebiegł Celi po plecach. Nie potrafiła zmusić się do tego, żeby odwrócić głowę i spojrzeć na człowieka, który odebrał jej dzieciństwo. Dopiła szampana i oddała kieliszek lokajowi. Zaciśnęła palce na rączce wachlarza i stała sztywno niczym słup soli. Miała wrażenie, że starannie ułożone loki jeżą się jej na głowie.

- Nie dość, że się spóźnił, to jeszcze się nie przywitał - z dezaprobatą powiedziała lady Jersey. - Z kim przyszedł? Czy to przypadkiem nie sir John Harvey? Chyba przegapiłam jego nazwisko na liście zaproszonych gości.

Jacqueline lekko uniosła głowę, słysząc ostatnie słowa. Uśmiechała się, ale w jej oczach zamigotały gniewne błyski.

- Nie wyrzucam przyjaciół moich znajomych. Ojciec Harveya ma tytuł barona, a sir John umie być całkiem czarujący.

- Tak, tak. Być może. Ojciec należy do Carlton House. Hazardzista jak jego syn, lecz mniej rzutki od Northingtona.

- Northington też nie cieszy się najlepszą reputacją - odezwała się lady Cowper, nie przestając trzepotać wachlarzem - ale przynajmniej jest przystojny. O ile można tak powiedzieć, w diabelnie niebezpieczny sposób.

Lady Jersey uniosła do oczu lornion, żeby popatrzeć na drugi koniec sali.

- Mówisz o Northingtonie? - spytała. - Rzeczywiście, przystojny. Ma w sobie coś z banity. Równie sprawny w szpadzie jak w pistoletach, zwycięsko wyszedł z kilku pojedynków, choć władze patrzą na nie krzywym okiem. A ile pochwał dostał za minioną kampanię!

W oczach lady Cowper błysnęło nieklamane podniecenie.

- Raz nagrodzono go za odwagę, z jaką poprowadził szarżę na prawą flankę Napoleona. Wtedy zginęli prawie wszyscy oprócz niego. Wcale mnie to nie dziwi. Jest w nim coś... coś dzikiego. O, właśnie! Nawet skórę ma tak samo ciemną jak Indianie z opowiadań panny St. Clair. Szkoda tylko, że nie chodzi nago. Och, mógłby mnie nawet porwać!

Wszystkie damy z wyjątkiem Celi wybuchnęły śmiechem. Żadna z nich nie zauważyła jej milczenia. Zresztą, nic przecież nie wiedziały. Tymczasem Celia dostała zawrotów głowy z długo powstrzymanego gniewu.

Nie mogę! - jęknęła w duchu. Nie potrafię! Nie mogę stać tutaj i słuchać pochwał pod jego adresem. Przecież Northington nie zasługuje nawet na miano człowieka. Tymczasem lady Jersey ciągnęła:

- Słyszałam, że kosił Francuzów jak zboże. Zuchwały żołnierz... i jeszcze zuchwalszy kochanek. Podobno bratał się nie tylko z aktorkami, lecz wdał się w romans z kilkoma damami z towarzystwa. Pamiętacie ten skandal sprzed dwóch lat z Leticią Goodridge? Z tego, co pamiętam, wciąż są w separacji. To było okropne. Zapewne sir Lawrence wywiózł ją na wieś po scenie, jaką urządziła publicznie z Northingtonem. Głupia gąska. Lady Katherine potrafiła zachować dyskrecję. Dyskrecja to podstawa.

Panie zgodnie kiwnęły głowami.

- Popatrzcie tylko na niego - szepnęła Jacqueline. - Zapewne każdą z nas umiałyby skłonić do uległości. Jest zabójczo przystojny. A poza tym pochodzi z bardzo starej rodziny i nie dba o skandale.

- To zależy wyłącznie od natury skandalu - zauważyła lady Jersey. - Nareszcie nas zobaczył. Mam nadzieję, że teraz dokona stosownej prezentacji.

Celia głęboko zaczerpnęła tchu i zebrała w sobie wszystkie siły. Nie wierzyła w to, żeby Northington wciąż był tak „zabójczo przystojny” jak dziesięć lat temu. Zresztą wtedy też wcale jej się nie podobał. Podejrzewała, że gdyby nie jego majątek, pochodzenie i wpływy w kompaniach żeglugowych, nie miałby czego szukać w Ameryce.

Odwróciła się i wbiła wzrok w tłum gości, szukając nienawistnej twarzy. Nie znalazła. Przez dłuższą chwilę tępo patrzyła na gąszcz surdutów, sukni, fryzur i klejnotów, migoczących w chybotliwym świetle. Myślała, że rozpozna go od razu. Niestety, żaden z mężczyzn nie był podobny do człowieka, który tak często prześladował ją w dziecięcych koszmarach.

Lekko oszołomiona, stała bez ruchu. Tymczasem Jacqueline wysunęła się krok do przodu, żeby powitać kolejnego gościa. Celia nie zwróciła na niego większej uwagi. Mimochodem spostrzegła tylko, że był wysoki, ciemnowłosy i wyraźnie znudzony. W dalszym ciągu wypatrywała Northingtona. Nie słyszała, co mówi Jacqueline. Dopiero gdy po raz drugi padło nazwisko, uświadomiła sobie, że chodzi o stojącego przed nią człowieka.

- Lord Northington? - powtórzyła. Kątem oka widziała zgorszona minę kuzynki.

- Tak, kochanie. - Jacqueline nieznacznie przeciągnęła pierwsze słowo. - To dla nas ogromny zaszczyt.

- A to zapewne jest ta młoda dama, która wywołała palpitację serca u sir Johna - powiedział ktoś głębokim, dźwięcznym i uwodzicielskim głosem.

Celia uniosła głowę i napotkała spojrzenie niebieskich oczu okolonych długimi rzęsami. Rozpoznała go w jednej chwili. Widzieli się na „Liberty”. Zaskoczona, przez chwilę nie potrafiła nic powiedzieć.

- Sir John jest naprawdę przemiłym człowiekiem, milordzie - odezwała się w końcu.

- Co więcej, tym razem zupełnie mu się nie dziwię. Miał rację. Jest pani bardzo piękna.

Northington wyciągnął rękę, pochylił się i delikatnie pocałował okrytą rękawiczką dłoń Celi, która nie stawiała oporu. Odniosła wrażenie, że wszyscy na nią patrzą i czekają na jej reakcję. A ona była bliska paniki. Chciała stąd uciec, zaszyć się w jakimś kącie i uspokoić. Muzyka, śmiechy, zapach perfum... wszystko jej zaczęło przeszkadzać.

Nie wytrzymała. Pocałunek Northingtona palił ją nawet przez jedwab. Szarpnęła rękę. Popatrzył na nią zaskoczony i usłyszała zdławiony jęk Carolyn.

- To... bardzo miło z pana strony - wymamrotała. - Proszę mi wybaczyć. Mam coś co załatwienia.

Czuła na sobie karcące spojrzenie Jacqueline i ciężki wzrok Carolyn. Mimo to odwróciła się i odeszła. Miała ochotę rzucić się biegiem, lecz siłą woli się pohamowała. Przepchnęła się przez ciżbę, z dala od wścibskich oczu. Northington nie był tym, którego tak długo szukała. Zatem kim? Bratem? Krewnym? A może synem?

Istniało zatem dwóch Northingtonów.

Celia musiała pozbierać myśli, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa. Już popełniła błąd. Jej zachowanie na pewno nie przejdzie bez echa. Trzeba to teraz naprawić. Znalazła wreszcie cichy kąt i usiadła na miękko wyściełanej ławce. Wprawdzie jej suknia była raczej przeznaczona do tańca, a nie do siadania, ale to stanowiło najmniejszy kłopot. Chwyciły ją mdłości ze zdenerwowania. Co robić? Uciec na górę? Byłby to afront wobec Jacqueline. Z trudem powstrzymała się od histerycznego śmiechu. Nie, nie, muszę zostać. Tylko dlaczego jestem takim tchórzem? Głęboko zaczerpnęła powietrza, żeby się uspokoić. Wstała, dla pewności oparła się jedną ręką o ścianę, a drugą poprawiła lekko zmiętą suknię. Tutejsze damy często mdlały. Może więc także to wykorzystać na swoje usprawiedliwienie?

- Coś pani dolega, panno St. Clair?

Gwałtownie podniosła głowę. Northington stał tuż przed nią. Na jego śniadej twarzy malował się zdawkowy wyraz uprzejmego zainteresowania. Celia zastanawiała się przez chwilę, czy znów nie uciec, ale powiedziała:

- Zmęczył mnie tutejszy gwar, milordzie. Przywykłam do spokojniejszego życia.

- Ach, tak. Rozumiem. Lady Leverton wspomniała, że pochodzi pani z Georgetown. To tuż obok amerykańskiej stolicy, prawda?

- Właśnie. Mieszkałam tam aż do śmierci rodziców - odparła z pozornym spokojem, choć była bardzo zdenerwowana.

Czuła się przytłoczona jego obecnością. Ten głos... Ta twarz... Uśmiech... Duma z własnej urody...

- Mój ojciec kiedyś przebywał w Georgetown - powiedział Northington. - To było ponad dziesięć lat temu. Rzadko wspomina swoje podróże, ale od matki wiem, że to naprawdę piękna okolica.

Ojciec... Boże, to jego ojciec zgwałcił i zamordował...

- Tak - powiedziała, żeby przerwać zbyt długą chwilę ciszy. Northington popatrzył na nią ironicznie. - Tak... Jest tam bardzo pięknie, ale część poszła już pod zabudowę. Naprawdę proszę mi wybaczyć. Czuję się wręcz fatalnie.

Muszę uciekać, pomyślała. Na litość boską, dlaczego on tu ciągle stoi? Northington, zamiast odejść, przytrzymał ją za łokieć i pomógł z powrotem usiąść na wygodnej ławce.

- Nie wygląda pani na kobietę, która łatwo mdleje, panno St. Clair - stwierdził.

Mimo to najchętniej bym zemdląła, z rozpaczą pomyślała Celia. Wzięła parę głębszych oddechów, żeby odzyskać jasność myśli. Northington ciągle trzymał ją za rękę. Jest synem tego łotra. Może jeszcze nie wszystko stracone? Syn doprowadzi ją do ojca.

Tak...

Delikatny uśmiech zakwitł na jej wargach. Uniosła głowę i spod przymkniętych powiek spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Twarz Celi St. Clair była słabo widoczna w strzępiastym cieniu, rzucanym przez palmy ustawione wokół niewielkiej wnęki. Dziewczyną popatrzyła na Coltera. Miała urocze delikatne rysy, wysokie kości policzkowe, pełne i przepięknie wykrojone usta, mały podbródek i ogromne zielone oczy. Harvey tym razem się nie pomylił.

Nie potrafiła tylko mdleć na zawołanie. Zupełnie jej to nie wyszło.

- Lepsze aktorki widziałem w tancbudach w Covent Garden - dodał Northington, kiedy nie zareagowała na jego poprzednią uwagę. Zobaczył, że szeroko otworzyła oczy, które wchłonęły przyćmiony blask świec niczym dwa tanie lusterka.

- W to akurat nie wątpię, milordzie - powiedziała, unosząc doskonale zarysowane brwi. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Kiepska komedia - wyjaśnił. - Wcale pani nie mdleje. Uśmiechnęła się na te słowa i spojrzała na niego przytomniej.

- Ani trochę - przyznała.

Miała piękny głos, modulowany i niski jak na kobietę. Colter nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

- To znaczy, że próbuje pani mnie unikać?

- Jest pan bardzo domyślny, milordzie.

A to szelma! Spodziewał się protestu, fałszywych zapewnień o nie najlepszym zdrowiu, ogólnej słabości albo kłamstwa, że chciała z nim porozmawiać sama. Jednym słowem wszystkiego oprócz deklaracji, że w tym przypadku to on był *persona non grata*. A może niesłusznie ją podejrzewał? Może jej znajomość z Jamesem Carlisle'em rzeczywiście była tylko dziełem przypadku?

- Jestem aż tak okropny? - Colter przysunął się bliżej. Celia nie próbowała uciec. Spoglądała na niego spokojnie i z rozwagą, jakby zastanawiała się nad tym pytaniem. W blasku świec jej skóra jaśniała niczym kość słoniowa.

- Trudno mi na to odpowiedzieć, milordzie. Przecież poznałam pana przed chwilą. Daleka jestem od wszelkich pochopnych konkluzji. Przyszedł pan tutaj za mną z ciekawości?

- Nie. - Przypatrywał jej się z rosnącym rozbawieniem. - Zrobiłem to na prośbę lady Leverton. Wyraźnie chciała, żebym pobyl z panią odrobinę dłużej. Podejrzewam, że to część jej planu.

- Zapewniam pana, że nie mam z tym nic wspólnego.

- Niezupełnie. - Zauważył błysk w jej oczach. Po raz pierwszy nie zrozumiał intencji kobiety. To było bardzo ciekawe. A nawet intrygujące.

Lekko nachylił się w stronę Celi i spostrzegł, że mimowolnie drgnęła.

- Domyślam się jakiegoś spisku. Chcą panie, żebym trochę dłużej został na dzisiejszym balu? Sztuczki nie są potrzebne. Umiem dopasować się do każdej sytuacji.

- To bardzo grzecznie z pana strony, ale obawiam się, że przecenia pan swój osobisty urok.

Usiadła bokiem, dzięki czemu mógł bez przeszkód podziwiać linię jej wspaniale zarysowanych piersi. Kusiły go. Prowokowały.

- Za pańskim pozwoleniem, milordzie. - Słowa Celi wyrwały go z cichej kontemplacji. - Nie chciałabym, aby nasza domniemana schadzka od razu wywołała niepotrzebne plotki. Wiem, że dla pana byłby to jedynie przyczynek do chluby, ale dla mnie...

Wstała. Colter również podniósł się z ławki i wyciągnął rękę, zagradzając Celi drogę. Popatrzyła na niego ze zdumieniem i irytacją.

- Przeszkadza mi pan, milordzie.

- Tylko na chwilę. - Z trudem powstrzymał się, żeby nie musnąć palcami złotych loków, które spadały na ramiona Celi. Znów jego wzrok przyciągnęły krągłe piersi, górujące nad skromnym stanikiem.

- Zakończył pan już oględziny? - spytała chłodno. - W takim razie proszę mnie przepuścić.

Uśmiechnął się.

- A jeśli jeszcze nie skończyłem, panno St. Clair? To naprawdę niezwykły widok,

- Proszę się odsunąć, bo zawołam lokaja.

Zrobiłaby to. W jej oczach migotały niebezpieczne błyski, świadczące o determinacji. Colter opuścił rękę. Celia minęła go bez słowa i nie oglądając się, odeszła w stronę środka sali.

Colter skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

Co za dziewczyna! - pomyślał. Dwa razy w ciągu kilku minut oblała mnie zimną wodą. Ciekawe, choć irytujące.

- Wygląda na to, że dała ci kosza! - Głupkowato uśmiechnięty Harvey wynurzył się z cienia. - Jestem zaskoczony. Chociaż od razu się zorientowałem, że nie brak jej inteligencji.

- Niech cię diabli porwą, Harvey. - Colter wciąż patrzył za odchodzącą Celią. - Zdaje się, że masz niezłą zabawę.

Harvey z namysłem spojrział na dziewczynę.

- Ani trochę - powiedział. - W przeciwieństwie do niej. Gdybym miał bardziej wypchany portfel, to może bym za nią pobiegł. Niestety, w mojej sytuacji muszę raczej pomyśleć o posagu, a nie o urodzie.

Najwyraźniej zapomniał, że ciągły brak pieniędzy zawdzięczał nieumiarkowanej pasji do hazardu. Zdażył już przegrać niemal całą fortunę, którą

dostał w spadku po matce. Po ojcu nic nie odziedziczył, bo swoją część majątku baron Leawood roztrwonił w podobny sposób.

Colter nie zamierzał mu o tym przypominać.

- Zainwestuj część pieniędzy. Wtedy ci na nią wystarczy.

- A co z twoimi udziałami w kompanii żeglugowej? - znacząco zapytał Harvey. W jego piwnych oczach odbijał się blask świecy wiszącej na ścianie. - Czy to prawda, że ostatnio straciłeś statek? Podobno poszedł na dno z całą załogą i ładunkiem.

- Takie rzeczy zawsze się zdarzają. Na razie czekam na potwierdzenie.

- Ludzie mówią, że nosisz się z zamiarem kupienia kilku parowców. Wcale ci się nie dziwię. Nie dość, że niestraszne im kaprysy wiatru, to podobno są dużo bezpieczniejsze od żaglowców. Jak wiadomo, ostatnio jeden z nich przepłynął przez Atlantyck. Aż dziw bierze, czego może dokonać takie stalowe monstrum. Jednak bez masztów i żagli te nowoczesne statki są potwornie brzydkie.

Colter spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Gdzie słyszałeś o moich zamiarach?

Negocjacje prowadzono w ścisłej tajemnicy i jeszcze nie doszło do porozumienia.

Colter podjął je na własną rękę, bez powiadomienia ojca, który stanowczo się sprzeciwiał nowinkom technicznym. Również część członków zarządu krzywym okiem patrzyła na nowy, ich zdaniem niesprawdzony, środek transportu morskiego.

Colter uważał to za głupotę. Ale skąd, u licha, Harvey mógł o tym wiedzieć?

Sir John od niechcienia wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? Chyba u „White'a” ... a może u „Brooksa”? Nie pamiętam. Dawno temu chciałem cię o to zapytać. Ciekawy pomysł, ale ryzykowny.

- Każde poważne przedsięwzięcie zawiera w sobie pewne ryzyko.

- Ty zaś jesteś odważny jak rzadko kto. Bohater z komodą pełną dyplomów i medali. Dlaczego miałbyś obawiać się niepewnych inwestycji?

- Nie widziałem, że tak poważnie traktujesz moje interesy, Harvey - odparł Colter, a w jego głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia. Baronet wychwycił ją bezbłędnie.

- Nie tyle poważnie, ile raczej z ciekawością - odparł. - Niczego ci nie zazdroszczę. Podziwiam, że potrafisz wycisnąć garść złota nawet z kupki siana.

Colter uśmiechnął się z niekłamanym rozbawieniem.

- Możesz mi wierzyć, że do tego naprawdę potrzeba siły. Pij mniej i odłóż karty, a zobaczysz, że los znów się do ciebie uśmiechnie... albo ożeń się z bogatą wdową.

- Łatwo ci mówić. Wystarczy, że kiwniesz palcem, a wszystkie są twoje. Ach, gdybyż tu chodziło tylko o pieniądze. Jak słyszę te wszystkie wzdychania i zachwyty pod twoim adresem, to wiem, że liczy się coś więcej niż mamona.

- Owszem. To się nazywa „tytuł”. Harvey, nie wierz we wszystkie androny o podszeptach serca i wzniosłych uniesieniach. Kobiety chcą jedynie władzy. A że umieją to ubrać w piękne słówka, to już zupełnie inna sprawa.

- Cynik z ciebie.

- Raczej realista.

- Chcesz przez to powiedzieć, że odmawiasz uczuć na przykład powabnej hrabinie dArgent? Albo jak zawsze pięknej lady Montravers? Przecież żadna z nich nie chciała tytułu ani pieniędzy! Obie dostały to wcześniej od mężów.

Colter uniósł znacząco brew. Harvey roześmiał się głośno, a potem ruchem głowy pokazał na salę.

- Idzie tu jedna z twoich dawnych inwestycji. Najwyższa pora, żebym zniknął.

Colter poczuł zmysłowy zapach perfum, odwrócił się i zobaczył niebrzydką brunetkę, która kierowała się w jego stronę.

- Northington! Ogromnie się cieszę, że cię znowu widzę. Tyle czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

Lady Katherine była córką earla i żoną earla Cresswooda. Nic nie straciła ze swojej urody, chociaż jej romans z Colterem dobiegł końca dobre trzy lata temu. Rozstali się bez większego żalu, gdyż każde z nich miało nowego partnera. Katherine wyszła za mąż.

- Lady Cresswood - grzecznie przywitał ją Colter i szarmancko pochylił się nad jej wyciągniętą dłonią, jakby ich znajomość była wyłącznie platoniczna.

Katherine trzepnęła go w ramię złożonym wachlarzem.

- Drań. Nie udawaj, że mnie prawie nie znasz. Zachowałam wspomnienie różnych... hm... przyjemności, których mi nie szczędziłeś, gdy byliśmy razem.

- Nigdy nie zapominam pięknych kobiet i rączych koni - odparł ze zdawkowym uśmiechem Colter i chciał cofnąć rękę, ale Katherine zatrzymała jego dłoń w swojej.

- Sir John! - powiedziała, nie patrząc na Harveya. - Miło mi... Harvey w lot pojął, co się święci.

- Cała przyjemność po mojej stronie, milady.

Przepraszam państwa, ale właśnie widzę, że starzy przyjaciele chcą, abym do nich podszedł.

Katherine puściła to mimo uszu. Przez cały czas z napięciem patrzyła na Coltera.

- Gdzieś ty się podział? - zapytała po chwili. - Specjalnie mnie unikasz?

- Nie, ale nie spieszno mi do spotkania z twoim mężem o świcie pod dębami w Hyde Parku.

Roześmiała się lekko zachrypniętym głosem.

- Nie chciałbyś dla mnie ryzykować życia? - zamruczała przymilnie jak kotka.

- Chciałbym, ale żadna kobieta nie jest warta więzienia. Znowu dała mu klapsa wachlarzem, a potem zwiewnym, niemal

pieszczotliwym ruchem przesunęła dłonią po jego rękę.

- Podziwiam twoją pewność siebie. Skąd wiesz, że zabiłbyś mojego męża?
Mógłbyś... - Przysunęła się tak blisko, że poczuł jej ciepły oddech na policzku.

-Mógłbyś go tylko zranić.

- Staję naprzeciwko kogoś z bronią w ręku nie po to, żeby chwilę później znów się z nim potykać.

- Zawsze wiedziałam, że drzemie w tobie krwiożercza i niebezpieczna bestia
-szepnęła Katherine.

Odsunęła się, ale nadal patrzyła na Coltera z pożądaniem. Colter dobrze pamiętał, jak po upojnej nocy wracał od niej porządnie podrapany. Dla lady Katherine każda chwila miłości stawała się wyzwaniem, w którym triumfowała tylko brutalna siła. Wolą, żeby kochanek traktował ją jak dziewczkę niż jak damę. To ją o wiele bardziej podniecało.

Teraz też, niby od niechcienia, pochylila się w stronę Coltera, ale tak, żeby lepiej mógł obejrzeć jej dekolt.

- Tęskniłam za tobą - mruknęła. Northington ujął jej rękę, musnął ją ustami, a potem delikatnie wbił zęby w skórę na grzbiecie dłoni. Katherine ze świstem wciągnęła powietrze.

- S łyszałem, że nie brak ci adoratorów - powiedział. Wydeła usta, robiąc obrażoną minkę.

- Żaden z nich nie wytrzymuje porównania z tobą, Colterze. Tylko ty w pełni zasługujesz na dowód uznania.

- Daj im bicz. Szybko zmienisz zdanie, jak trochę dostaniesz w skórę.

- Ciekawa propozycja. Warta przemyślenia.

Uśmiechnął się drwiąco. Lady Katherine posiadała niemałą kolekcję sznurów, jedwabnych kajdan i innych „zabawek”, zaspokajających jej wszystkie potrzeby. Była dzikim stworzeniem o tygrysiach oczach i ciele stworzonym do miłości, a nie do nudnego życia w klatce obyczajów, związanych z pozycją społeczną, tytułem i nazwiskiem.

- Byłabyś świetnym „rajskim ptakiem” - zauważył. Przytaknęła, zamiast się obrazić.

- Nawet myślałam o tym. Gdyby tylko udało mi się zachować pełne incognito...
Zareczam ci, że stałabym się najbardziej pożądaną kobietą półświatka, zapewne znaną nawet poza granicami Anglii.

- Wierzę, koteczku. Lecz tutaj musisz dbać o pozory. Jesteś pod stałą obserwacją.
Pogładziła go lekko po brzuchu, a potem wprawną dłonią sięgnęła nieco niżej.

- Niech cię diabli porwą - spokojnie powiedział Colter i zamknął jej nadgarstek w silnym uścisku. Lady Katherine roześmiała się, zupełnie niespieszona.

- Tu jest ciemno, Colterze. Cofnijmy się jeszcze głębiej, podwinę spódnicę...

- Obawiam się, że nie zdążymy - uciał. Końcami palców pogładził ją po policzku. - Nie kuś mnie. I tak mam już wystarczająco dużo pokus.

- Widziałam - odpowiedziała beztróskim tonem, nic nie robiąc sobie z jego odmowy. Zerknęła w kierunku sali. - Kolonistka. Krew z mlekiem, a do tego całkowity brak dobrych manier. Protegowana lady Leverton, ale wątpię, żeby to coś pomogło. Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby lady Jersey przysłała jej zaproszenie do „Almacka”.

- Podejrzewam, że dla niej to żadna różnica. Mówię o panie St. Clair. Myślisz, że mężczyźni kiedykolwiek liczyli się ze zdaniem lady Jersey?

- Nie? Może masz rację. - Katherine ponownie spojrzała na salę i z namysłem zmarszczyła czoło. - Zamierzasz zalecać się do Amerykanki?

- „Zalecać” to zapewne niewłaściwe słowo. Przyznaję, że lubię towarzystwo pięknych kobiet. Masz coś przeciwko temu?

- Owszem, znalazłabym kilkaset powodów, ale wszystkie natury osobistej. Próbuje. To może być nawet zabawne. - Puknęła go wachlarzem w pierś. - Drogi Colterze, znam takie jak ona. Są zimne. Znudzisz się nią i poszukasz cieplejszego miejsca. A pamiętaj, że moje łóżko jest zawsze gorące. - Ostatnie słowa powiedziała

namiętnym szeptem. Uniosła rękę i niby od niechcienia zaczęła się bawić złotym naszyjnikiem z rubinami. Wodziła nim po piersiach, by zwrócić uwagę Coltera na podkreślone czerwonym pudrem sutki, wyraźnie rysujące się pod jedwabiem.

- Jak zwykle jesteś ogromnie subtelna - powiedział. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Subtelność nie popłaca, lordzie Northington. Co za szkoda, że wcześniej nie wiedziałam, iż twój brat umrze i zostaniesz sam w kolejce do tytułu. Czekalabym na ciebie.

- Nie zaznałabyś szczęścia jako moja żona. Biłbym cię za każdą próbę niewierności.

- Kusząca perspektywa.

- Szybko miałabyś dość.

- Podejrzewam, że o wiele prędzej ty byś się tym znudził.

- Znasz mnie lepiej niż ja, Katherine.

- Och, tak, mój urodziwy i groźny kawalerze. Znam cię. A teraz idź już, bo wyraźnie widzę, że ta mała Amerykanka stała się dla ciebie ogromnym wyzwaniem.

Zaczekam, aż zmarzniesz.

Colter wrócił na salę. W tej chwili zajmowała go panna Celia St. Clair. Czy rzeczywiście była tak niewinna, na jaką wyglądała? A może jej uroczy uśmiech skrywał ponurą tajemnicę? Jaka rolę w tym wszystkim odgrywał James Carlisle? To przez niego Colter wybrał się na „Liberty”. Panna St. Clair nie pasowała do tej układanki. Czego mogła się dowiedzieć? Nawet nie prowadziła w Anglii interesów. Jednak w jej oczach kryło się coś zwodniczego... Z pozoru wyglądała na względnie łatwą zdobycz, a przecież się nie poddała. Gorzej, odpłaciła mu obojętnością. Obserwował ją w tłumie kobiet, w nieskończonym morzu jedwabiu, muślinu i satyny. Nie górowała nad innymi wzrostem, nawet nie była najpiękniejsza - a przecież miała w sobie coś nieodparcie intrygującego. Zgodziła się zatańczyć kontredansa z najmłodszym synem pewnego barona ziemskiego, Reginaldem

Harwoodem. Colter z przyjemnością patrzył na jej zręczne ruchy. Sukienka wirowała wokół niej niczym mgiełka, a pantofelki raz po raz połyskiwały złotą nicią.

Po zakończonym tańcu Harwood oddał ją w ręce lady Leverton. Colter postanowił przystąpić do działania. Tylko jeden obowiązkowy walc, pomyślał, a potem mogę iść do domu. Stał przed kolorowym stadkiem rozszczebiotanych dam dokładnie w tej chwili, kiedy od strony podwyższenia zajmowanego przez orkiestrę zabrzmiały pierwsze takty muzyki.

- Tańczy pani walca, panno St. Clair?

Gwar rozmów ucichł jak nożem uciął. Damy umilkły, jakby przestraszone tym pogwałceniem zasad etykiety. Rzadko zdarzało się, by w takiej sytuacji kawaler mówił wprost do panny, a nie jej opiekunki.

Celia powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego w milczeniu, jakby widziała go po raz pierwszy. Czekwała.

Lady Leverton odezwała się wesołym tonem.

- Panna St. Clair zna wszystkie nowoczesne tańce, milordzie.

- W takim razie ten walc jest mój.

- Wydaje mi się, że lord Harwood... - zaczęła Celia.

- Tańczy teraz z panną Grantham - przerwał Colter i podał jej ramię. - Mogę? Tak jak od początku się spodziewał, nie potrafiła mu odmówić. Była na to zbyt dumna. Spokojnie, chociaż z lekko wymuszonym uśmiechem, podążyła za nim na parkiet. W tańcu poruszała się sztywno, ale bez oporu. Walc pozwalał mężczyźnie trzymać jedną rękę na plecach partnerki w okolicach łopatek. Niektórzy uważali ten taniec za zgoła „skandaliczny”. Colter bezkarnie mógł opuścić rękę nieco niżej, nie obawiając się reakcji Celi. Gdyby zbyt głośno wyraziła oburzenie, ściągnęłyby na siebie uwagę gości. To na pewno nie było po jej myśli.

Pod palcami poczuł młode, jędrne ciało. Nie nosiła gorsetu. Bardzo dobrze... Colter nie lubił tego wynalazku. Co za przyjemność gładzić bezduszne i sztywne

fiszbyny? Celia wydała zduszony dźwięk, coś pośredniego pomiędzy jękiem a szybkim oddechem.

- Byłby pan łaskaw zabrać rękę, milordzie - powiedziała po chwili.

- Przecież tak naprawdę pani tego nie chce.

- Chcę!

W odpowiedzi przesunął dłoń jeszcze niżej. Celia zgubiła rytm i odskoczyła od niego jak oparzona. Nie puścił jej, lecz szybkim ruchem obrócił wokół osi i ponownie chwycił w ramiona. Tym razem położył rękę na właściwym miejscu. Celia popatrzyła na niego z wyraźną wrogością. Była blada ze złości, a zielone oczy ciskały błyskawice. Tymczasem Colter nie mógł oderwać wzroku od jej płowych włosów, upiętych na głowie w wysoką fryzurę, podtrzymywaną czymś w rodzaju grzebienia, ozdobionego złotymi gwiazdkami, które migotały odbitym światłem świec płonących w kryształowym żyrandolu. Colter oczami duszy widział włosy Celi rozsypane miękko na białej poduszce... Kuszący obraz.

- Rusza się pani świetnie jak na marionetkę - zauważył, kiedy nie pozwoliła mu na następny obrót.

- Obawiam się, że nie nadążam za pańskim tokiem myślenia, milordzie.

- Tak? Szttywny tułów i sznurki, przyczepione do każdej kończyny. To właśnie jest marionetka. Nie mają ich w Ameryce? - Zakreślił nią, zanim zdążyła znów zaprotestować. - Spokojnie. Nie zjem pani.

Odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Dziwi pana, że nie reaguję na pańskie zaczepki? Ależ, milordzie, nie wiedziałam, że pan próbuje mnie uwieść! O to właśnie chodzi?

Colter przyglądał jej się z rozbawieniem, aż wreszcie umknęła wzrokiem.

- Wszyscy Amerykanie są tak otwarci jak pani, panno St. Clair?

- Nie mam pojęcia. Uważa mnie pan za obcesową?

- Aż do granic impertynencji. - Uśmiechnął się, słysząc jej gniewny pomruk. - Być może to amerykański zwyczaj.

- Nie - odparła po chwili milczenia. - Nie mamy takich zwyczajów. Byłam niegrzeczna wobec pana, milordzie. Przepraszam.
- Colter lekko przymrużył oczy. Za łatwo przyszły jej te przeprosiny... Nie wierzył, by były szczere.
- Zwykle „przepraszam” to za mało, panno St. Clair. A co z zadośćuczynieniem?
- Obawiam się, że żąda pan zbyt wiele, milordzie.
- Nieprawda.
- Walc zbliżał się do końca. Northington tanecznym krokiem zręcznie przeprowadził Celię na drugi koniec sali, za półkolisty załom, którego wcześniej tutaj nie dostrzegła. Rozejrzała się podejrzliwie.
- Zdziwiał mnie pan arogancją, milordzie. Widać, że w pełni zasłużył pan na swoją opinię.
- Mogę spytać, dlaczego pani mnie tak nie lubi? Przez chwilę myślał, że Celia nie odpowie.
- Być może nie chcę znaleźć się na długiej liście pańskich miłosnych podbojów - powiedziała w końcu.
- Legendarnie długiej. W rzeczywistości krótkiej.
- Mimo wszystko pańskie atencje zarazem wywyższają i niszczą reputację kobiet. Tymczasem powiada się, że w życiu najistotniejsza jest dyskrecja.
- Ach, o to chodzi! Zatem popełnię niedyskrecję, jeśli znów porwę panią do tańca?
- Po czterech tańcach moja reputacja na pewno legnie w gruzach.
- Wyśmienicie! Pięć razy zatańczę z lady Jersey.
- Z miejsca zaroi się od plotek i uratuję swoje grzeszne imię.
- Pan sobie drwi, milordzie!
- Tak, panno St. Clair. - Wydawała mu się lekka niczym piórko. Oczywiście miała na wysokości jego podbródka, więc była wyższa od znanych mu poprzednio kobiet.

Zauważył, że na jej ustach błąkał się cień uśmiechu, a w oczach migotały iskierki wesołości.

Dotarli już do najdalszego zakątka wielkiej sali, gdzie chłodny powiew wpadał przez szeroko otwarte drzwi wiodące na taras. Dwa kroki i znaleźli się na zewnątrz.

- Po co mnie pan tu przyprowadził, milordzie? - spytała Celia. Uwolniła się z jego objęć i podeszła do szerokiej kamiennej balustrady.

Światło padające z okien miękkim blaskiem kładło się na jej twarzy. Dziewiczo biała suknia, przetykana złotem, była na pozór skromna, ale nie skrywała kuszących kształtów smukłego ciała.

- Chyba nie muszę odpowiadać na to pytanie. - Northington poznał po jej oczach, że znała odpowiedź. Wiedziała, że jest piękna, i była z tego dumna.

Zielonooka czarownica. Mógł spełnić jej oczekiwania. Krótka rozmowa z lady Katherine uświadomiła mu, że już od dawna nie spotkał się z kobietą. Poczul narastające podniecenie, widząc w oczach panny St. Clair coś na kształt niemego zaproszenia. Podeszedł bliżej i przygarnął ją do piersi. Celia wydała cichy okrzyk... Protestu? Zachwytu? Nie próbowała go odepchnąć. Wplótł dłoń w jej włosy, pochylił się i złożył na jej ustach gorący pocałunek.

Drgnęła, jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Ale już pół minuty później próbowała uwolnić się z jego objęć. Odepchnęła się tak silnie, że przeleciałaby przez balustradę, gdyby jej w porę nie przytrzymał. Otoczył ją ramieniem w talii, a drugą ręką delikatnie pogładził po policzku.

Miała lekko opuchnięte usta - ślad po namiętym pocałunku. Była tak słodka...

Colter powstrzymał się z najwyższym trudem, żeby jej znów nie pocałować.

- Jesteśmy kwita, panno St. Clair - powiedział cicho. - Spłaciła pani całą grzywnę. A może zechce pani znów nagrzeszyć? Podoba mi się ta pokuta.

- Nie - odparła. Zielone oczy przyglądały mu się beznamiętnie, bez śladu niedawnej pasji. - Szczerze mówiąc, jestem trochę rozczarowana. Spodziewałam się czegoś więcej. Skoro jednak dostałam rozgrzeszenie, proszę mnie puścić. Zimno mi,

więc wolę już wrócić do gości, na salę. Nie - dodała, kiedy chciał ją wziąć za rękę -gdybyśmy pojawili się razem, wywołałibyśmy niepotrzebne komentarze. Kuzynka na pewno już mnie szuka. Wolałabym być sama. - Tylko na razie, panno St. Clair. Colter wiedział już, że w tej „kolonistce" tkwi coś więcej - o wiele więcej, niż przypuszczała Katherine. Popatrzył za nią w zamyśleniu. To jeszcze na pewno nie koniec. Celia St. Clair była młodym i niedoświadczonym graczem, ale wiedziała, czego chce.

Tak jak on wiedział, czego od niej oczekuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jacqueline drobnym energicznym krokiem przemierzała pokój Celi. Włosy miała w nieładzie - co było do niej zupełnie niepodobne - i mocno zagniewaną minę. Nie zdążyła się przebrać. Długi tren balowej sukni ciągnął się za nią po dywanie.

- Co ty sobie wyobrażasz, Celio?! Jak mogłaś obrazić lorda Northingtona? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po tym, co usłyszałam od lady Jersey...

- Lord Northington jest parem Anglii, a ty słuchasz pokątnych plotek! Jeżeli poczuł się choć trochę urażony, to nie masz już najmniejszej szansy...

- Na pewno się nie obraził - wpadła jej w słowo Celia. Przesunęła srebrną szczotką po włosach. - Podejrzewam, że raczej jest mną zaintrygowany.

Jacqueline zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nudzą go te wszystkie natrętne mamusie z córkami na wydaniu.

Rzuciłam mu wyzwanie. Wiem, kiedy mężczyzna marzy o podbojach. Łatwy łup go nie interesuje. Zauważyłaś, że do końca nie spuszczał ze mnie wzroku? - Znowu kłamstwo: to raczej ona zerknęła w jego stronę, a on uparcie udawał, że tego nie dostrzega. Zresztą po chwili wyszedł. Ciekawe, co zrobiłaby Jacqueline, gdyby wiedziała, co zaszło na tarasie? Celia odwróciła się w stronę kuzynki. - Umie być... napastliwy.

Jacqueline przyglądała jej się z osłupieniem.

- Co ty mówisz, *petite*? Obraził cię, kiedy poczułaś nagłą słabość? Nic nie mówił...

- Przysięgam, że nic się nie stało. Jednak przed samym wyjściem zdołał mnie namówić na przejażdżkę po parku. To będzie we wtorek. Sama więc widzisz, że moja pozorna obojętność odniosła skutek.

Lady Leverton aż otworzyła usta ze zdumienia. Potem powoli kiwnęła głową.

- Tak, masz rację! Och, Boże... Jaka byłam głupia! Ależ masz rację, kochanie! - zawołała po francusku, zanosząc się radosnym śmiechem. - Udało ci się to, o czym inne jedynie marzą. Zwróciłaś na siebie uwagę lorda Northingtona, mężczyzny nie do zdobycia.

- Nie byłam pierwsza, jeśli wierzyć plotkom.

- Tak, mój mały sprytny gołąbeczku, ale ty go na pewno przytrzymasz. Co ze mnie za wariatka! *Imbecile!*

Uśmiech zamarł na ustach Celi. Co ja dobrego narobiłam? - pomyślała z nagłym przestraszeniem. Chyba oszalałam, że zgodziłam się na przejażdżkę. Przecież zaprosił mnie dopiero po namyśle, kiedy był już prawie w drzwiach...

Celia zmierzała wtedy w stronę parkietu, eskortowana przez sir Johna.

- Northington. - Harvey zatrzymał przechodzącego przyjaciela. - Zdążyłeś poznać pannę St. Clair?

- Zdążyłem. - Colter obrzucił ją wprawdzie uprzejmym, ale z lekką znudzonym spojrzeniem, w którym nie było nic ze śmiałości, z jaką poczynał sobie na tarasie.

- Wiesz, wspominała mi, że do tej pory nie była jeszcze w Hyde Parku -ciągnął Harvey z chytrym uśmiechem. - Niestety, mój powóz niedawno trafił do naprawy. Zapewniłem ją, że w tym przypadku zdołasz mnie zastąpić.

- Moim zdaniem wystarczy, aby panna St. Clair tylko napomknęła na ten temat, a wokół niej zjawi się tłum chętnych do wspólnej przejażdżki - odparł Northington, ale w jego oczach błysnęło rozbawienie, jakby podejrzewał, że to właśnie ona uknuła z Harveyem małą intrygę.

Schwytana w pułapkę Celia mogła jedynie odpowiedzieć:

- Pańska wiara w ludzi jest zadziwiająca, milordzie.

- Moje przejażdżki po Hyde Parku zwykle ciągną się w nieskończoność -oznajmił Colter - ale z radością wezmę z sobą pannę St. Clair, jeśli tylko zdoła wytrzymać w moim towarzystwie.

Celia podejrzewała, że gdyby nie podstęp Harveya, Northington sam nigdy by na to nie wpadł. Na widok jego drwiąco uśmiechniętej twarzy miała ochotę od razu odrzucić zaproszenie i dać sobie spokój. Jest przekonany, że odmówię, przemknęło jej przez głowę. Zrobiła więc mu na przekór i prędko się zgodziła. Powiedziała z uśmiechem, że to dla niej zaszczyt.

Co ja dobrego narobiłam? - z rozpaczą powtarzała teraz w duchu. Co mnie do tego podkusiło?

- Tylko uważaj - już nieco spokojniejszym tonem ostrzegła ją Jacqueline - i nie przesadzaj z tym „wyzwaniem”. Postaraj się go nie obrazić. Stąpasz po kruchym lodzie. Musisz pamiętać, moja droga, że Northington ma swoje przyzwyczajenia i sympatie. Jest przystojny i bez względu na to, co o nim mówią, stanowi wyśmienitą partię. Pewnego dnia zostanie hrabią Moreland. Ach, gdybyście tylko się pobrali! To byłoby cudowne. Lady Moreland jest moją najlepszą przyjaciółką. Znamy się od wieków.

- Nie wiedziałam. Nic mi o tym nie mówiłaś.

- To Margaret mnie wyswatała. Byłam jedynie młodą emigrantką, przerażoną i bez pensa przy duszy. Ledwo uciekłyśmy z Francji z twoją mamą. Przyjechałyśmy do Londynu, żeby szukać pomocy u przyjaciół, którzy przybyli tu przed nami, zanim nastąpiły czasy terroru.

Nigdy nie używała słowa „rewolucja”, mówiła o „terrorze”, „mrocznych” lub „straszliwych” czasach. Popatrzyła na Celię w zamyśleniu.

- Miałyśmy wiele szczęścia, że udało nam się ująć z życiem i uratować choć część majątku. Zginęło wtedy tyle ludzi, ale Leonie i ja byłyśmy młode. Lady Moreland - wtedy jeszcze lady Northington - wzięła mnie pod opiekę. Nigdy nie będę w stanie w pełni spłacić długu wdzięczności za dobroć, jaką mi okazała.

Celia siedziała w milczeniu. Dobry Boże... Może jednak Jacqueline powinna się dowiedzieć, jak naprawdę zginęła Leonie? Może powinna wiedzieć, że to Northington przyczynił się do śmierci jej kuzynki?

Lady Leverton podeszła bliżej i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Nie smuć się, kochanie. To wszystko mamy już za sobą. Jules okazał się wspaniałym mężem, a Leonie też znalazła szczęście ze swoim kapitanem. Chcesz jeszcze raz posłuchać o tym, jak się poznali? Jak zauroczony wyrwał ją z rąk barona i zaciągnął na taras, gdzie tańczyli sami? Historia niczym z romansu... Cały Londyn wtedy legł u stóp twojej mamy, a ona wybrała obcego marynarza.

- Tak. Bardzo się kochali - powiedziała Celia. Jacqueline pochyliła się nad nią:

- Mało ludzi na świecie zna taką miłość. Nie oplakuj rodziców. Byli szczęśliwsi od innych.

- Tak. - Celia przełknęła łzy. W tym momencie była gotowa wszystko wyznać, ale...

- Tak - powtórzyła. - Byli bardzo szczęśliwi.

- Bóg da, ty też będziesz, moja maleńka. Jesteś ogromnie podobna do matki. Kiedy patrzę na ciebie, to czasami wydaje mi się, że znów widzę młodą i piękną Leonie z pierwszych dni naszego pobytu w Londynie. - Przesunęła ręką po włosach Celi i ujęła w dwa palce złocisty kosmyk. - Nie obcinaj ich. Wiem, że teraz jest taka moda, lecz ja na twoim miejscu zachowałabym dawną fryzurę. Są tak miękkie, jasne...

- Na pewno nie obetnę. - Celia nerwowo wstała ze stołka. Ogarnęło ją poczucie wstydu. Miała wrażenie, że jej grzech rozleje się ciemną plamą na nieskazitelnym wspomnieniach Jacqueline. Dostała mdłości ze zdenerwowania.

- Myślałam, że zemdleję, kiedy Northington tanecznym krokiem zniknął wraz z tobą na tarasie - z uśmiechem powiedziała lady Leverton. - Ale teraz... Może będzie tak jak z twoją mamą. Mówił coś?

- Nie! - wyrwało się Celi. Szybko zakryła dłonią usta, żeby nie palnąć głupstwa.

- Źle się czujesz? - Jacqueline przyjrzała jej się ze zmarszczonymi brwiami, a potem pokiwała głową. - Pewnie jesteś bardzo zmęczona po wszystkich dzisiejszych przeżyciach. To za dużo jak na jeden wieczór. Odniosłaś sukces. Lady Jersey i lady Cowper uważają cię za czarującą. Lord Northington poprosił cię do tańca. Śpij dobrze, moja droga. Wiem, że na pewno nie zmarnujesz takiej okazji.

Celia czuła się niczym najgorsza Zdrajczyni. Jak mogła ciągle okłamywać kobietę, która okazała jej tyle dobroci? To było zbyt skomplikowane... Zbyt... ryzykowne. Chciała wyznać prawdę, lecz jednocześnie się tego bała. Wreszcie powiedziała nieswoim głosem:

- Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Sama wiesz, że czasami ludzie postępują wbrew oczekiwaniom. Co będzie, jeśli cię zawiodę?

- To niemożliwe, moja droga. - Jacqueline uśmiechnęła się. - Wierzę w ciebie.

- Nie rób tego! - wykrzyknęła Celia i umilkła, napotkawszy zdziwione spojrzenie kuzynki. Roześmiała się nieszczerze. - Chyba wypiałam trochę za dużo szampana: Masz rację. Wiem, co robić.

- Teraz odpocznij. Niedługo zaczną świtać. Powiem Lily, żeby cię nie budziła.

Wyśpij się, kochanie. Ty i Carolyn byłyście dziś wspaniałe.

Tak się cieszę, że w moim domu są dwie urocze młode dziewczyny.

Celia długo nie mogła zasnąć. Przewracała się w łóżku, sama w ciemnym pokoju, oświetlonym jedynie czerwonym blaskiem węgla stygnących w kominku. Trapiły ją wyrzuty sumienia. Rozpłakała się, dręczona wspomnieniami o zmarłych rodzicach i świadomością zdrady, której dopuściła się wobec Jacqueline. Och, myślała, gdybym trochę wcześniej zdobyła się na odwagę i wyznała, co mnie tu sprowadziło! Teraz jednak, kiedy wiem o lady Moreland... Nie, nie mogę! Hrabia Moreland jednak musi zapłacić za swoje winy. Syn na pewno nie jest lepszy od ojca.

Trzeba na niego bardzo uważać, pomyślała Celia. To niebezpieczny człowiek... jak każdy z Northingtonów.

Udowodnił to już podczas krótkiego sam na sam na tarasie. Nie spodziewała się po nim takiej zuchwałości i determinacji. Gdy ją całował, wyraźnie czuła jego podniecenie. *Dieu!* Z jakim trudem zachowała spokój i pozorną obojętność. Aż dziw bierze, że lord Northington niczego nie zauważył. Kiedy szła na salę, kolana uginały się pod nią przy każdym kroku i miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Mimo wszystko nie zemdląca.

Teraz czekało ją następne spotkanie. Co robić? Głowa ją rozboleła od niespokojnych myśli. Przycisnęła dłonie do skroni i zamknęła oczy. Chciała ukarać ojca, nie syna. Czasami bardziej boją krzywdy, które dotyczą naszych bliskich. Zatem w tym także będzie sprawiedliwość...

Dlaczego miałyby żałować człowieka, który próbował ją uwieść na tarasie w domu jej krewnej? Gdyby mu na to pozwoliła, w mig zajrzałby jej pod spódnicę. Nie, żaden z Northingtonów nie był wart litości. Czy to młody, czy stary - wszyscy z jednej gliny.

Wreszcie zasnęła, lecz we śnie nie zaznała spokoju, dalej prześladowana przez najróżniejsze wizje.

Lady Leverton siedziała przed lustrem w garderobie i ze zmarszczonymi brwiami przypatrywała się swemu odbiciu. Celia wydawała jej się czymś zmartwiona.

Biedne dziecko, pomyślała. Na pewno po śmierci rodziców dokuczała jej samotność. Ja po ucieczce z Francji przynajmniej miałam Leonie.

Jacqueline uważała, że ma dług wdzięczności wobec zmarłej kuzynki. Razem przebrnęły przez najgorsze lata. Przyrzekały, że będą sobie pomagać w potrzebie.

Dzisiaj ten pakt przechodził z Leonie na córkę.

Dziwnym trafem Jules wybrał właśnie ten moment, żeby zapukać do pokoju żony.

Jacqueline ruchem dłoni odprawiła pokojówkę i z uśmiechem odwróciła się w stronę wchodzącego męża.

- Wspaniały bal... Zresztą, jak zawsze, kiedy ty się do tego weźmiesz, kochanie - powiedział. Łagodnym ruchem położył dłoń na jej ramieniu, pochylił się i

pocałował ją w policzek. Aż dziw bierze, że po tylu latach małżeństwa tak mocno się kochali. Jak wiadomo, w miłości nie ma rzeczy niemożliwych.

- To przede wszystkim twoja zasługa, miły - odpowiedziała wesoło.

- Moja? - z udawanym zdziwieniem zapytał Jules. Oboje się roześmieli. - Niby dlaczego?

- Bo jesteś szczodry i pozwalasz mi na ekstrawagancje.

- Kochanie, oddam ci cały mój majątek, jeżeli to cię uszczęśliwi. To samo dotyczy Caro.

- Tak, wiem. W dodatku wzięłaś pod swoją opiekę córkę mojej najdroższej Leonie. Nie mam pojęcia, jak ci za to dziękować.

- Jacqueline, z chęcią przyjąłbym nawet z tuzin sierot, gdybyś tylko tego sobie zażyczyła. Celię niemal od razu polubiłem. To piękna młoda dziewczyna, chociaż trochę smutna.

- Też to zauważyłeś?! - Jacqueline spojrzała na niego ze zdziwieniem. Niski, o przeredzonych włosach, lecz gęstych bokobrodach, Jules Leverton wyglądał miło i naiwnie, ale w rzeczywistości był przenikliwym znawcą ludzkich charakterów i sprytnym człowiekiem interesu. Najpierw uchronił rodzinę od bankructwa, a potem hojnie wynagrodził tych, którzy mu pomogli w trudnych chwilach. W oczach Jacqueline był najwspanialszym mężczyzną na świecie.

- Oczywiście - odparł. - Celia dźwiga jakiś ciężar na swoich młodych barkach. Na jej twarzy widać nie tylko smutek, ale czasami nawet przerażenie. Pomóż jej, jeśli potrafisz, kochanie.

- Tak. Na pewno pomogę.

Nie były to puste słowa. Jacqueline obiecała sobie w duchu, że uczyni wszystko, aby dowiedzieć się, co trapi Celię. Nie chciała, żeby dawne sprawy kładły się mrocznym cieniem na jej przyszłości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mimo późnego lata trawniki w Hyde Parku wciąż były pełne kolorowych kwiatów. Słoneczna pogoda sprzyjała przejazdówkom, więc po alejkach krążyły otwarte powozy.

Celia St. Clair głębiej naciągnęła modny czepek na czoło, żeby choć trochę osłonić oczy przed ostrym blaskiem. Nad jej głową, w powiewach łagodnego wiatru, kołysały się pióra białej czapli, przypięte do czepka gustowną broszką.

Colter popatrzył na nią z ukosa.

- Lepiej cieszyć się słońcem, póki można - rzucił zdawkowym tonem. Był trochę zły, bo widział zaledwie podbródek Celi. - Wkrótce będzie nam go brakowało.

- Co za optymizm! Zawsze jest pan tak wesoły, milordzie?

- Nie zawsze. Czasami bywam trochę grubiański. - Cmoknął na konie i znowu zerknął na pannę St. Clair. Zauważył, że się uśmiechnęła.

- W takim razie powinnam być zadowolona, że akurat trafiłam na pański dobry humor - odparła, usiłując ukryć rozbawienie.

- Skąd u pani ten brak tolerancji? Doprawdy jestem zaszokowany.

- Wątpię. Niełatwo pana zaszokować. - Mógłbym niejedno opowiedzieć...

- Niech pan oszczędzi sobie tego trudu. Skierowała na niego spojrzenie zielonych oczu.

Na jej ustach igrał zwodniczy uśmiezek, jednocześnie kuszący i pełen ukrytej drwiny.

Powinienem znów ją pocałować, żeby przypomniała sobie, jak bardzo jej się to podoba, pomyślał. Niech udaje oschłą i nieczułą, i tak lepiej wiem, co się w niej dzieje. Nie przeszkadza mi obecność przyzwoitki... A przyzwoitka skuliła się w kącie powozu, jakby w obawie, że zaraz wypadnie. Colter nie dał się ponieść przekornej ochocie, żeby popędzić konie.

- Bardzo proszę - powiedział, łagodnym łukiem pokonując kolejny zakręt. -Może pani mi coś opowie?

- Wątpię, by pana mogło to zainteresować, milordzie.

- Nie wiem, nie wiem... Jeżeli brak pani pomysłów, to chętnie posłucham o Georgetown. Długo tam pani mieszkała?

- Tak.

Czekał przez chwilę. Zdumiony milczeniem Celi, spojrział na nią spod oka. Znów nie widział jej twarzy, a jedynie białe dłonie, którymi kurczowo ścisnęła jedwabną torebkę.

- Jeżeli woli pani zmienić temat... Celia gwałtownie poderwała głowę.

- Nie. Co chciałby pan wiedzieć? Urodziłam się w Wirginii. Moi rodzice przeprowadzili się do Georgetown, gdy byłam bardzo mała.

- W takim razie oboje pochodzili z Wirginii? Celia zawahała się na chwilę.

- Tak. Rodzina taty miała kawałek ziemi nad Zatoką Chesapeake.

- A po co przyjechała pani samotnie do Londynu?

Popatrzyła na niego świdrującym wzrokiem, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Skąd pan wie, że podróżowałam sama, milordzie? Widział mnie pan na statku?

- Nie. Pani kuzynka mi o tym wspominała. Przynajmniej tak mi się zdaje. Czyżbym się mylił?

- Ależ skądże! Rodzice zmarli jakiś czas temu. Ojciec zginął na morzu, podczas wojny z Francją.

- Rozumiem. Zatem przyjechała pani do kuzynki; Uważam, że Anglia zaciągnęła wiele długów w czasie kolonizacji Ameryki.

Celia poruszyła się nieznacznie. Colter poczuł wątły zapach perfum. Co to było? Werbena? Nie umiał rozpoznać. Zapach ulotny, delikatny - powabny jak tembr jej głosu. Uwodzicielskie połączenie dziewczęcej niewinności z wiedzą nabytą w ostępach Ameryki. Doprawdy frapujące!

- Nie noszę w sercu urazy do Anglików. Nasz kraj wywalczył w końcu niepodległość. To był chyba bardzo bolesny cios dla Anglii.

- Raczej koncesja ze strony rządu. Anglia i tak ma wiele kolonii, z którymi ciągle są kłopoty.

- Na przykład Indie, prawda? Mimo to nikt nie zamierza bez walki oddać choćby piędzi ziemi.

- Indie przynoszą całkiem niezły dochód...

- Och, Anglicy to taki wojowniczy naród.

- Właśnie. Lepiej wziąć to pod rozwagę, gdyby przypadkiem planowała pani własną niewielką rewolucję.

Popatrzyła na niego z udawanym zdziwieniem.

- O ile mnie pamięć nie myli, milordzie, to właśnie Anglia zbyt się nie popisała podczas amerykańskiej wielkiej rewolucji.

- Drobna pomyłka w obliczeniach, ale uczymy się na własnych błędach.

- Chyba nie zawsze. A ostatnia wojna z Ameryką, z tysiąc osiemset dwunastego roku?

Colter roześmiał się na całe gardło.

- *Touche*, panno St. Clair. Poddaję się zwycięskiej kolonistce. Zawtórowała mu wdzięcznym śmiechem, tym razem zupełnie szczerym.

- Za łatwo pan się poddaje, milordzie. Jestem zaskoczona i trochę rozczarowana. Uważałam pana za twardszego przeciwnika.

- Jestem nim w bardziej intymnych sytuacjach, panno St. Clair - odparł, patrząc jej prosto w oczy. Z zadowoleniem spostrzegł, że umknęła spojrzeniem i zaczerwieniła się aż po same uszy.

To tylko kwestia czasu, pomyślał. Dziś będę miły nawet dla tej przekłetej przyzwoitki, która tu siedzi niczym czujna kwoka. Następnym razem to ja będę dyktował warunki.

Celia była ucieleśnieniem kobiecego wdzięku i tajemniczości. Z dnia na dzień coraz bardziej mu się podobała. Ciekawe i niepokojące.

- Ameryka - odezwała się, chcąc złagodzić chwilę napięcia, która zapadła po jego ostatnich słowach - jest zupełnie inna niż Anglia. Przede wszystkim rozległa. To chyba najbardziej szokuje wszystkich przybyszów z Europy. Można wędrować miesiącami i nie dotrzeć do wyznaczonego celu. Nie ma dróg, wiodących przez nią w poprzek. Trzeba żeglować wokół całego kontynentu, żeby dostać się do brzegów hiszpańskiej Kalifornii!

Colter z uśmiechem skinął głową.

- Byłem w Kalifornii. Co prawda, dawno temu, tuż po studiach w Oksfordzie. Słyszałem, że Stany Zjednoczone toczą spór z Meksykiem o tamtejsze ziemie. Na razie lepiej tam nie jeździć.

- Niech pan opowie więcej o swojej podróży. - Celia przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Zupełnie nie znam Kalifornii. Mówiono mi, że tam zawsze świeci słońce, a łagodny wiatr wieje nad bezkresną równiną pełną zielonej trawy.

- Piękny opis. Tyle że to pustkowia, jakby stworzone dla krów i eremitów.

- Bez przesady...

- Naprawdę! Szczerze powiedziawszy, nie tego się spodziewałem, ale z drugiej strony nie byłem też rozczarowany. Kalifornia jest dla nas ogromnym

wyzwaniem. Wielka. Dzika. Tam mniej ważna jest czyjaś przeszłość, a bardziej zdolność przetrwania.

- Pan znakomicie sobie radzi w każdej sytuacji.

- Pani również, panno St. Clair.

Celia popatrzyła na kępę drzew rosnących obok pięknego kwietnika. Colter miał przecucie, że nie powiedziała mu jeszcze wszystkiego. Jechali wolniej, z trudem przeciskając się wśród niezliczonych karet, bryczek i powozów, przechodniów oraz jeźdźców.

Znana londyńska stręczycielka, madame Poirier, przyprowadziła kilka swoich najnowszych „pensjonariuszek”. Wyglądały niczym barwne ptaki, przechadzające się po parku. Nic więc dziwnego, że już z daleka przyciągały spojrzenia mężczyzn.

- Czy to przypadkiem nie sir John?

Colter zerknął w kierunku wskazanym przez Celię i rzeczywiście zobaczył Harveya. Baronet jechał truchtem obok kolaski madame Poirier. Słońce błyszczało w jego jasnych włosach. Jako doświadczony jeździec, dosiadał najlepszej klaczy ze stajni swojego ojca. Colter pamiętał ją, bo był w Tattersall w dniu aukcji. Niewiele brakowało, a przebiłby ofertę barona Leawooda, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. To jednak, że Harvey jechał na cudzym koniu, świadczyło, iż własne stajnie zapewne już oddał pod zastaw.

- Owszem - powiedział Colter. - Daje piękny popis jeździeckich umiejętności.

- Przy okazji możemy podziwiać klacz i niecodzienny gust sir Johna.

- Czyżbym usłyszał nutę zazdrości w pani głosie?

- Tylko jeżeli chodzi o wierzchowca, milordzie. To piękne zwierzę. Niewątpliwie sporo kosztowało.

- Tak, to prawda. Akurat byłem w Tattersall, gdy wystawiono ją na sprzedaż. Jeździ pani konno, panno St. Clair?

- Niezbyt dobrze - przyznała Celia po krótkiej przerwie. - Wolę otwarte lando na miękkich resorach.

- Każdy instruktor jazdy konnej posmutniałby, gdyby to usłyszał. Odwróciła się w jego stronę. Poczul, że jej kolano dotyka jego uda - i przytknął oczy, żeby zapanować nad nagłym podnieceniem. Gdyby nie czujna dama na tylnym siedzeniu, natychmiast uwiózłby Celię w zaciszne miejsce.

- Czego pan ode mnie żąda, milordzie? Mam wyrecytować panu wszystkie moje zalety? Umiejętności? Wykształcenie? Zdradzić najskrytsze tajemnice? Czy też woli mnie pan sondować?

- Słyszała pani o dyskrecji? - Popatrzył na nią ironicznie. Rumieniec gniewu barwił jej policzki i przydawał blasku oczom. Wyglądała przez to jeszcze piękniej.

- Tak, słyszałam. A pan?

- Mówimy o dzisiejszym dniu czy może o ostatnim balu? Pani zachowanie odbiegało od standardów.

To była celna odpowiedź. Panna St. Clair poczerwieniała jeszcze bardziej i przez kilka minut zawzięcie podziwiała wysokie sykomy, rosnące po obu stronach ścieżki. Colter skupił się na powożeniu. Zwolnił, kiedy dotarli do zakrętu na końcu stawu.

- Niech pan będzie tak dobry i odwiezie mnie do domu - odezwała się Celia.

Wiedział, że go o to poprosi.

- Chyba nie znudziło pani moje towarzystwo.

- Nie. Obawiam się, że zemdleję.

- Wszystko jasne.

Skręcił w mało uczęszczaną alejkę, wiodącą wokół stawu. Łabędzie dostojnie sunęły po wodzie, w trzcinach buszowały kaczki. Blask słońca migotał na drobnych falach. W pobliżu, pod osłoną krzewów, stała kamienna ławeczka.

Colter zatrzymał powóz, wysiadł, chwycił Celię w ramiona i łagodnym ruchem postawił na ziemi. Zdążyła tylko wydać lekki okrzyk, kiedy zacisnął dłonie na jej talii. Spojrzał na oniemiałą przyzwoitkę.

- Proszę tu zostać - powiedział. - Jak się pani zacznie wiercić, konie się spłoszą.

- Ależ, milordzie! - wtrąciła Celia. - Przecież to zupełnie niepotrzebne.

- Jeśli pani zamierza zemdleć, to o wiele wygodniej będzie upaść na trawę. - Nie zwracając uwagi na opór Celi, poprowadził ją w stronę ławki.

- Pani pozwoli, że pomogę usiąść - zaproponował ze złośliwym uśmiechem. - Nie możemy przecież dopuścić, żeby pani zasłabła.

Uniósł ją niemal bez wysiłku, przez chwilę trzymał nad kamienną ławką, a później opuścił powoli, tak że znalazła się w pozycji półleżącej, z nogami na ziemi.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Inaczej zacznę krzyczeć o pomoc!

- I kto przyjdzie? Ta szara myszka, która została w powozie? Ona nie potrafi pomóc nawet sobie. Jeśli ktoś zauważy, będzie powód do plotek, a tego nie chcemy.

Spokojna pogawędka nad brzegiem jeziora jest lepsza niż dwuznaczna szarpanina w krzakach, prawda?

Celia usiadła, a Colter postawił nogę na ławce i wsparł łokieć na kolanie. W tej zwycięskiej pozycji mógł z bliższej odległości wpatrywać się w dziewczynę.

- To już lepiej, panno St. Clair.

- Jak długo zamierza pan ciągnąć tę farsę?

- Aż do samego końca.

- To znaczy do czego?! - Celia rozpostarła wachlarz, lecz zaraz go zamknęła z suchym trzaskiem. - Jeśli chce mnie pan siłą uwieść, proszę to zrobić, a potem odstawić do domu. Mam już serdecznie dość dzisiejszego popołudnia.

Przesunął palcem od ramienia Celi aż do policzka.

- Coś mi się zdaje - powiedział - że spieszno pani do tego uwodzenia. Tak nie wolno.

Gdyby mnie pani uderzyła, byłbym zły, ale potrzeba czegoś więcej, żebym zrezygnował z planów.

- Żałuję, że mój fehmistrz nie kazał mi paradować ze szpadą!

- Fechmistrz? Hołduje pani nowym modom? Wzruszające. Mam rozumieć, że łatwiej pani trzymać w ręku szpadę, niż siedzieć na koniu?

- Byłby pan znakomitym obiektem do ćwiczeń szermierczych, milordzie. Szkoda, że pan się tak marnuje.

- Większa szkoda, że nie jest pani ze mną szczerą. Po co ten opór? Ostatnim razem chętnie mnie pani całowała.

- Ma pan doprawdy bujną wyobraźnię, sir.

- Nie. Jestem zbyt pragmatyczny, żeby marnować czas na wymyślone pocałunki. Wolę... - Urwał i przesunął palcem po policzku Celi. - Wolę, jak to dzieje się naprawdę - dokończył ciszej i pochylił się w jej stronę. Była słodka i kusząca... i wcale się nie broniła. Gorzej, wydawała się. zupełnie obojętna. Colter objął ją wpół, żeby nie spadła z ławki.

- To się nie uda - powiedział, nie przestając jej całować. Celia zacisnęła pięści i z całej siły go odepchnęła.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nieprawda. - Powolnym ruchem, jakby od niechcienia zaczął pieścić jej ucho. Celia drgnęła. Colter przypatrywał jej się z uśmiechem. - Wie pani doskonale. Po co ta udawana obojętność? Nie jest pani najlepszą aktorką, więc to tylko strata czasu. Pierwsze napięcie minęło. Celia wygodniej wsparła się na ramieniu Northingtona i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jest pan zarozumiały, milordzie. To smutne. Sądzi pan, że po dwóch, trzech pocałunkach każda kobieta rzuci się panu w ramiona? Że zapomni o swojej pozycji, o rodzinie i przyjaciółach? Chyba jednak zbyt często bywa pan wśród aktorek. Niestety, im nie pozostaje nic innego, niż przyjmować uwagę tak zwanych dżentelmenów. Ja mam wybór. Powtarzam zatem, proszę mnie puścić albo narobię takiego krzyku, że ściągnę tu połowę parku.

- Kusi mnie, żeby panią choć trochę wypróbować, ale na to przyjdzie odpowiednia chwila.

Popatrzyła na niego z niekłamanym zdziwieniem.

- Nic nie jest w stanie zachwiać pańskiego zaufania?

- Och, nie! Pani protest na pewno mnie nie speszył. Z góry znałem odpowiedź.

- Nie - oznajmiła z przekonaniem. - To tylko pańska wyobraźnia. Przywiązuje pan za dużą wagę do nieistotnych spraw. Proszę odprowadzić mnie do powozu. Chcę wrócić do domu, i to natychmiast.

Celia wstała z ławki i starannie wygładziła wymaginowane zmarszczki na spódnicy. Potem spojrzała na Coltera. Tym razem pozwoli jej wygrać, uznał, ale tylko tym razem. Złożył drwiący ukłon.

- Powóz czeka, panno St. Clair. - Podał jej ramię, jakby wychodzili z sali balowej.

Po krótkim wahaniu Celia ujęła jego rękę. Razem wrócili do powozu.

- To był ciekawy dzień - zauważył Colter, kiedy ruszyli. - Jestem zadowolony. Mam nadzieję, że pani również.

- Raczej nie.

- Moim zdaniem trochę za długo ciągniemy tę grę.

- Tak? A chce pan wiedzieć, co naprawdę myślę, milordzie?

- Oczywiście.

- S ądzę - powiedziała, odwracając głowę i patrząc mu prosto w oczy - że pan nigdy o mnie nie zapomni.

- Może mi pani wierzyć - odparł - że nawet nie będę próbował.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Celia doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gra stała się niebezpieczna. Przez moment myślała, że tym razem przeciągnęła strunę. Lord Northington był groźnym przeciwnikiem. Najbardziej drażnił ją swoim poczuciem wyższości i chorobliwą arogancją.

Mimo to podjął jej wyzwanie!

Tego się nie spodziewała. W ogóle o to nie prosiła. Zaślepiona pragnieniem zemsty, wyobrażała sobie, że po prostu przyjedzie do Londynu, spotka się z Northingtonem, oskarży go i zniszczy za pomocą prawnych dokumentów.

Tymczasem sprawa była dużo trudniejsza, niż się spodziewała. Nie każdy mógł od razu wejść do zamkniętego kręgu angielskiej szlachty i arystokracji. Wobec przybyszów z zewnątrz ludzie z towarzystwa przejawiali daleko posuniętą solidarność. W takich momentach zapominali o wszelkich dzielących ich animozjach. Niełatwo było oskarżyć Northingtona czy raczej Morelanda.

Czego naprawdę chce? - zadała sobie w duchu pytanie Celia. Chce, żeby zniknął pewien człowiek, który przyczynił się do śmierci mojej matki. Tego wymaga sprawiedliwość. Ale co rzeczywiście mogę zrobić? Podważyć jego reputację? Poniżyć go? Wywołać skandal? Wszystko to mało, ale na dobrą sprawę musi mi wystarczyć.

Do hrabiego Morelanda mogła dotrzeć jedynie przez lorda Northingtona. W tej rozgrywce nie wolno popełnić najmniejszych błędów.

Powóz powoli sunął w kierunku bram Hyde Parku. Celia ukradkiem obserwowała siedzącego obok niej mężczyznę. Podziwiała zręczność, z jaką powoził. Słońce połyskiwało w ciemnych włosach Coltera. Długie kosmyki opadały mu poniżej kołnierzyka. Krótko przycięte baczki kończyły się równo z uchem. Wyrazista twarz znamionowała władczość i wewnętrzną siłę. W dziennym świetle

prezentował się jeszcze wspanialej niż w przyćmionym i chybotliwym blasku świec podczas balu. Jak taki człowiek mógł być synem potwora? Nie zdradzał żadnych oznak podłości ani deprawacji.

Celia odwróciła głowę i tęsknie popatrzyła na drzewa o cętkowanych liściach.

Przypominały jej o domu... O zimnym powiewie jesieni i o piknikach, które *maman* i stary Peter urządzali na przedmieściach Georgetown. O koszu pełnym wiktuałów, o żartach i planach na przyszłość. To było oczywiście jeszcze przed śmiercią taty i przed złowieszczą wizytą lorda Northingtona, która zabrała jej matkę i skazała na tułaczkę.

- Intryguje mnie pani, panno St. Clair, i to o wiele bardziej, niż się spodziewałem.

Celia rzuciła Colterowi spłoszone spojrzenie. Uśmiechał się cynicznie. Pomyślała ze strachem, że przesadziła. A przecież Jacqueline ostrzegała ją, iż tylko cienka linia dzieli zuchwałość od obrazy.

- Czyżby, milordzie? Nie zabrzmiało to jak komplement.

- Po prostu jestem zaskoczony. Tu, w Londynie, nie ma zbyt wielu energicznych kolonistek, w dodatku takich, które podkreślają, że pochodzą z kręgów francuskiej arystokracji.

- Nigdy niczego takiego nie mówiłam!

- Nie, ale wiem to od pani kuzynki. Czyżby się pomyliła?

- Raczej nie. Lady Leverton zna prawdę lepiej ode mnie. Była tam podczas...

- Rewolucji, po której zostały wdowy, sieroty i oszustki.

- Do której kategorii mnie pan zalicza? - rzuciła ostro, ze źle ukrywaną złością. Patrzył przed siebie beznamiętnym wzrokiem.

- Na to pytanie tylko pani potrafi szczerze odpowiedzieć, panno St. Clair.

- Oskarża mnie pan o brak dobrych manier, ale pańskie zachowanie przekracza wszelkie dopuszczalne granice! Pewnych rzeczy nie można się nauczyć.

Mówię o uprzejmości. W jednakowej mierze dotyczy to mleczarki, szlachcica i arystokraty, ale z pewnością nie człowieka, który brnie przez życie na podobieństwo dzika ryjącego w polu. Odrzucam pańskie pomówienia.

- A ja mam przyjąć porównanie do ryjącego dzika?

- Wedle uznania! - Celia rzuciła mu zjadliwe spojrzenie. Na pozór nie zrobiło to na nim wrażenia. Wciąż uśmiechał się złośliwie, lecz w jego oczach nie było śladu wesołości. Był zły jak diabli.

Do tej pory nie bała się Northingtona. Był groźny, ale na dystans. Za to teraz... Celii zrobiło się na przemian zimno i gorąco. Co mi strzeliło do głowy? - pomyślała.

Przecież to syn Morelanda, który był zdolny do gwałtu i morderstwa. Odruchowo, w obronnym geście, uniosła drżącą rękę do szyi. Dobrze chociaż, że z tyłu siedziała przyzwoitka. W razie czego mogła pełnić rolę świadka.

Jeżeli nawet Northington zauważył zdenerwowanie Celii, to nie skomentował tego ani słowem. Ze skupieniem powoził końmi. Ulice Londynu okazały się nie mniej zatłoczone niż alejki Hyde Parku. Kiedy zatrzymali się przed domem Lever-tonów, Celia zdołała już odzyskać dawny rezon.

- Do widzenia, milordzie - powiedziała chłodno i szybko zeskoczyła na podjazd, nie chcąc, żeby Northington asystował jej przy wysiadaniu. Niestety, przy okazji zaczepiła spódnicą o jedno z wystających okuć. Zimny powiew przeszedł jej po nogach, osłoniętych jedynie cienkimi pończochami. Szarpnęła się, złym okiem spojrzała na przyzwoitkę i powiedziała:

- Wsiądź i pomóż mi, Janey!

Ku jej zmieszaniu, Northington pierwszy pochylił się na koźle i odczepił spódnicę.

- Kuszący widok, panno St. Clair. - Roześmiał się, kiedy Celia wyrwała mu tren z dłoni.

Dla niej ten dzień nie należał do udanych.

To będzie prawdziwy cud, jeżeli jeszcze kiedyś go zobaczę! - pomyślała o Northingtonie. Zresztą... nie bardzo mi na tym zależy. Pytanie tylko, jak w tej sytuacji dotrzeć do hrabiego Morelanda?

Colter wszedł do biura panów Guitierrez i Barclaya. Na dobre zdążył już zapomnieć o sprzeczce z Celią St. Clair.

Guitierrez i Barclay wydawali się zupełnie niedobraną parą, a mimo to ich interesy szły wręcz znakomicie. Okna budynku wychodziły na East India Dock -istny gąszcz składów, magazynów i chybotliwych masztów. Panował tu straszliwy zgiełk i hałas. Władze miasta przebąkiwały o budowie nowego portu, na wschód od Tower, w miejscu, w którym obecnie wznosił się szpital Świętej Katarzyny. Przy okazji z mapy Londynu znikłaby przynajmniej jedna dzielnica biedoty.

- Czekaliśmy na pana, milordzie - przywitał go Barclay.

Colter zajął miejsce w fotelu, ale odmówił kieliszka porto. Rozsiadł się, wyciągnął przed siebie długie nogi i zerknął na Barclaya.

- Co pan ustalił? - spytał. - Proszę o szczegóły.

- Tak, tak... - Barclay był niskim rumianym mężczyzną, z pochodzenia Szkotem.

Rude włosy przetykała siwizna i wyglądał niczym spaniel. - To... to bardzo intrygująca sprawa. Wedle doniesień „India” zatонуła wraz z całą załogą i ładunkiem, a tymczasem ostatnio część wspomnianych towarów została sprzedana w pewnym sklepie w Paryżu. Co prawda, większość ładunku stanowiły korzenie, ale statek przewoził również stare chińskie wazy... Chyba nie muszę dodawać, że były bardzo cenne. Otóż właśnie one trafiły na Rue de Ile, oferowane - o ile się nie mylę - przez osobę prywatną. Aż trudno w to uwierzyć... Tak krucha porcelana ocalała z burzy, której nie przeżyli wytrawni żeglarze? To doprawdy niezwykle.

- Zdobył pan spis towarów, które trafiły do Paryża? Na pewno figurowały wcześniej w manifeście statku?

- Tak, milordzie. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. To wazy z okresu dynastii Ming. Ogromna rzadkość. To prawdziwy cud, że przetrwały

katastrofę. - Westchnął z zadumą. - Oczywiście nie ma na świecie rzeczy niemożliwych. Wystarczy przecież solidna drewniana skrzynia i dużo słomy. Kiedy statek tonął, puściły pokrywy luku i część pakunków wypłynęła na powierzchnię.

- Nie wierzę w takie cuda, panie Barclay.

- Oczywiście, sir. Wiem, o czym pan mówi. Podejrzewam, że pod tym względem pan Guterrez w pełni podziela pańskie zdanie. Od samego początku twierdził, że to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Cóż... Niezupełnie się z nim zgadzam, ale...

- Pytanie brzmi, kto i kiedy dopuścił się oszustwa? Słyszałem, że statek poszedł na dno koło Lubangu. Po większym sztormie zostają szczątki. Tym razem nic nie było.

- Właśnie. Nic a nic. Nawet złamanej deski. Jedyne, czym dysponujemy, to zeznania kilku świadków, którzy uparcie potwierdzają, że statek jednak zatonął.

- Dobrze ich przesłuchano?

- Bardzo dobrze. Wręcz skrupulatnie. Wszyscy mówią to samo. Widzieli statek walczący z burzą katastrofę.

- Mimo to część ładunku znalazła się w Paryżu.

Barclay przerzucił papiery leżące na biurku, i wziął do ręki kilka kartek.

- Proszę. To pełny manifest przewozowy i spis rzeczy, które wykryto w Paryżu, łącznie z nazwą sklepu. A tutaj lista świadków z Lubangu. - Na jego smutnej twarzy zagościł przelotny uśmiech. - Dziwne nazwiska, ale tłumacz dokładnie spisał całą relację.

Colter przebiegł wzrokiem treść dokumentów i uniósł głowę.

- Treść tych zeznań jest identyczna. Nie różnią się ani słowem.

- Tak, milordzie. Też to zauważyłem. To może być wina tłumacza.

- Albo ci ludzie mówili wyłącznie to, co im kazali przemytnicy. - Rzucił papiery na biurko. - Mam nadzieję, że sprawdził pan tę ewentualność.

- Tak, milordzie. Nasi agenci ruszyli w teren, gdy tylko przeczytałem raport.

- Bardzo słusznie, Barclay.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, milordzie. - Barclay z satysfakcją pokiwał głową. - Tę sprawę powierzono najlepszym pracownikom. To świetni fachowcy. Musimy pamiętać, że mamy do czynienia z paskudnym przeciwnikiem, który nie zawaha się wprowadzić statek na podmorskie skały tylko po to, żeby zagrabieć przewożone mienie. Całkowita pogarda dla ludzkiego życia i własności.

Colter wstał i zabrał dokumenty.

- Na razie proszę nie wspominać o tym ani mojemu ojcu, ani członkom zarządu.

Ojciec jest chory, a pozostałych nie trzeba denerwować niesprawdzonymi pogłoskami. W odpowiednim czasie sam im przedstawię najważniejsze fakty.

Colter nie miał wątpliwości, że chodzi o oszustwo. Towar z zatopionego statku trafił na zagraniczne rynki i ktoś zarabiał na tym krocie. Stratni byli inwestorzy, bo armator dostawał pewien procent od Lloyda.

Dlaczego tylko pewien procent? Hrabia Moreland uważał, że nie warto wydawać pieniędzy na pełne ubezpieczenie. Zarząd spółki był tego samego zdania. Interesy szły dobrze, póki nic złego się nie wydarzyło. Teraz najwyraźniej ktoś zaczął działać na własną rękę.

Colter postanowił rozpocząć własne śledztwo. Wiedział nawet, od kogo zacząć. Od ojca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na zewnątrz hulał zimny wiatr, ale w pokoju było ciepło. Jacqueline niespiesznie odstawiła filiżankę na srebrną tacę i spojrzała na skuloną przy kominku Celię.

Wyczuła jej zdenerwowanie.

- Nie trap się, *cherie* - powiedziała uspokajającym tonem. - Northington często robi przeróżne uniki. Wydaje mu się, że wie, jak postępować z kobietami. Na twoim miejscu nie brałabym sobie tego do serca.

Celia, nie wdając się w szczegóły, opowiedziała jej pokrótce o tym, co się zdarzyło na przejażdżce. Biła się z myślami. Jak bowiem miała przyznać się do bezsennych nocy, podczas których marzyła o schadzce z Northingtonem? Jak zapomnieć o jego pocałunkach?

- Chyba byłam za szczerą w niektórych wypowiedziach - wyznała. - Zarówno w Anglii, jak i w Ameryce mężczyźni nie lubią zbyt rezolutnych kobiet. Na ogół omijają je szerokim łukiem.

- I tak, i nie. Już ci to kiedyś wyjaśniałam: niewiele dzieli pannę na wydaniu od kurtyzany. Kobieta musi być zarazem skromna i uwodzicielska.

- Ale do tego trzeba być aktorką! Przecież to gra niewarta świeczki.

- Niestety, takie są reguły. Naprawdę tego nie dostrzegłaś? Northington tylko udaje, że doskonale się bawi. W rzeczywistości pragnie cię wy badać, czy będziesz mu uległa. Mówisz „Nie, nie”, ale jednocześnie przysuwasz się do niego i w twoim spojrzeniu widać przyzwolenie. On jest tym lekko zmieszany i zaciekawiony. Dopiero musi się nauczyć, gdzie szukać prawdy: w oczach czy w głosie. W ten sposób zwodzisz go do czasu, aż ci się oświadczy.

Celia roześmiała się.

- Jak to robisz, że nawet takie absurdy w twoim ujęciu nabierają nowego znaczenia?

- Po prostu mówię prawdę. Anglik jest śmiały jedynie wtedy, gdy na to mu pozwolisz. To kobieta wyznacza granicę poufałości. - Jacqueline przerwała, wzięła filiżankę i pociągnęła łyk aromatycznej gorącej czekolady. - W tej grze nie ma miejsca na strach i nieśmiałość. Panna powinna być dziewicą aż do dnia wesela, lecz musi mieć w sobie coś z uwodzicielki. Inaczej nie znajdzie męża. To pewna sprzeczność, więc bezpieczniejsze są tak zwane małżeństwa z rozsądku. A potem... Cóż, niejedna z nas ulega podszeptom serca. Uwierz mi, nie ma w tym nic złego, pod warunkiem, że sprawa nie wyjdzie na jaw i że mąż w odpowiednim czasie doczeka się dziedzica.

- Trochę cyniczna wizja małżeństwa.

- Jesteś Amerykanką. Zauważyłam, że Amerykanie postrzegają wolność osobistą w kategoriach prawa, nie luksusu. Mimo to wciąż u was istnieją swaty, zwłaszcza dla panien z dobrego domu. Romans po ślubie niesie z sobą poważne konsekwencje. Serdecznie żał mi tych wszystkich biednych istot uwikłanych w taką sytuację.

- A ty? Ulegałaś kiedyś podszeptom serca?

- Tak, ale na szczęście tylko wobec własnego męża. - Jacqueline uśmiechnęła się. - Z nami było trochę inaczej. Mówię o sobie i Leonie. Nie miałyśmy praktycznie niczego oprócz błękitnej krwi płynącej w naszych żyłach. Nie chodziło zatem o posag, który pan małżonek mógłby dopisać do majątku. Gdybyśmy żyły we Francji, ktoś z rodziny pewnie wyszukałby nam mężów: bogatych, władczych, z tytułami. Jak na ironię losu lata terroru zwróciły nam wolność. Obie wyszłyśmy za mąż z miłości. Jestem szczęśliwa, choć oczywiście brak mi tych wszystkich, których straciłam.

- Mnie też - cicho odpowiedziała Celia.

Złożyła ręce na kolanach i westchnęła z głębi piersi. Biedna *maman*. Przeżyła rewolucję, żeby potem umrzeć przez człowieka takiego jak Northington... nie, Moreland, który nie dość, że uniknął kary, to jeszcze odziedziczył tytuł hrabiego.

Sprawiedliwości musi stać się zadość. Kłopot w tym, że sprawa okazała się wyjątkowo trudna. Przed przyjazdem do Anglii Celia mocno wierzyła w siłę dokumentów, którymi dysponowała. Jakże byłam naiwna, pomyślała ze smutkiem. W gruncie rzeczy porwała się z motyką na słońce.

Mimo wszystko wiem, jak dotrzeć do Morelanda. Jak zmusić go, żeby zapłacił za to, co uczynił.

Spojrzała na kuzynkę.

- Po naszym ostatnim spotkaniu lord Northington był zły, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Co zrobić, żeby nie zerwał znajomości?

Jacqueline uśmiechnęła się.

- To delikatna kwestia - powiedziała. - Lord Northington w powszechnym mniemaniu uchodzi za rozpustnika. Często zmienia kochanki i starannie unika głębszego zaangażowania. Nie zdobędziesz go, postępując zgodnie z konwenansami. Miał serdecznie dość opędzania się od propozycji, zanim został wicehrabią. Teraz wszystkie londyńskie matki podsuwają mu swoje córki. Nic w tym dziwnego, bo tylko patrzeć, jak odziedziczy tytuł hrabiego.

- Jest najstarszym synem Morelanda?

- Nie. Przed nim był Anthony, ale umarł w tym samym czasie, co jego dziadek i starszy brat Morelanda. Wszystkich powaliła ta sama gorączka. Northington został dziedzicem.

Jacqueline wygodniej rozsiadła się na kanapie. Popatrzyła na Celię.

- *Petite* - powiedziała z namysłem, skubiąc frędzle wzorzystej poduszki - są zasady, których nie wolno nam złamać, ale są też takie, które wystarczy odpowiednio nagiąć, żeby dotrzeć do wyznaczonego celu. Trzeba jedynie wiedzieć, gdzie uderzyć. Każdy błąd może kosztować młodą pannę utratę dobrej reputacji. To zaś oznacza wstyd i pogrzebanie wszelkich nadziei. Czasami chodzi o zbyt swobodne zachowanie w tańcu, o samotny spacer lub choćby niewinną przejażdżkę po St. James Street. Nie masz pojęcia, jak okrutne bywa nasze społeczeństwo.

Celia przypomniała sobie, jak pod koniec życia traktowano jej ukochaną matkę.

- Rozumiem. - Westchnęła i popatrzyła na swoją kuzynkę. Deszcz tłukł o szyby okien i węgiel syczał w kominku. Rozmowa zesłała na niebezpieczne tory, ale Celia nie mogła się już wycofać.

Przed wszystkim musiała ukarać Morelanda. Pochyliła się i powiedziała:

- Skoro lord Northington szuka kochanki, a nie żony, to może nie zasłużył na nic więcej?

Jacqueline uniosła głowę i spojrzała na nią z przerażeniem.

- Ależ nie! Nie wolno ci...

- Nie zamierzam od razu ulegać jego zachciankom, ale on przecież wcale nie musi o tym wiedzieć. Wręcz przeciwnie, powinien myśleć, że ma mnie na wyciągnięcie ręki. Pomożesz mi?

- Ja?! Dziewczyno, czy ty wiesz, na co się porywasz? Nie... Nie potrafię. Nie prosz mnie o to, *ma chérie*. Naprawdę, nie chcę o tym nawet myśleć. To samobójstwo!

- Przecież wystarczy, *ma cousine*, że powiesz mi, jak daleko mogę się posunąć, nie łamiąc zasad, o których przedtem tak pięknie mówiłaś. Będę go dręczyć, ale nie obrażać, kusić, lecz mieć w pamięci własną reputację. I co ty na to?

Jacqueline zerwała się z kanapy.

- Tak... to możliwe. Ach, ty spryciaro! Od czego zaczniesz?

- S łyślałam o kolejnym balu. To już za tydzień?

- Tak. Debiut córki lady Stratton. Niezbyt ładna dziewczyna, ale z koneksjami. Ma nadzieję, że znajdzie odpowiedniego męża. Jej wuj to wpływowy człowiek. Co chcesz wiedzieć?

- Lord Northington wybiera się do Strattonów, prawda? Podobno przyjął zaproszenie. Chyba mówiłaś o tym Caro...

Lady Leverton uśmiechnęła się. Oczy zabłysły jej podnieceniem.

- Właśnie! Przysłał odpowiedź, że na pewno przyjdzie. Co dalej?
- Zamierzam uwieść go do tego stopnia - odpowiedziała Celia - żeby mi się oświadczył.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lady Cresswood skłoniła Coltera do tego, żeby wziął udział w kolejnym balu.

- Ależ, kochanie - przemawiała do niego przymilnym tonem - nie masz wyjścia.

Obiecałam mężowi syna, więc muszę coś z tym zrobić. Przecież nie przyjmę go, nie pobudziwszy przedtem apetytu. Wybrałam ciebie. Nie bądź okrutny i nie odrzucaj mojej propozycji.

- Do diaska, Katherine! Nie jestem dziś w nastroju, żeby ulegać twoim zachciankom. Znów czeka mnie potwornie nudny wieczór.

- Wystarczy, że przez kilka minut będziemy zupełnie sami. Potem spokojnie pójde do Cresswooda.

Objęła go za szyję. Colter jednak szybko uwolnił się z jej uścisku.

- Bardzo ciekawe... - powiedziała Katherine. - A może to lepiej? Cresswood na pewno by się zdziwił, widząc, że syn ma niebieskie oczy.

- Nie takie rzeczy zdarzają się utytułowanym damom. Znalazłabyś wytłumaczenie. Roześmiała się zupełnie szczerze i spojrzała na niego spod oka.

- Tak myślisz? Chyba mimo wszystko byłby rozgoryczony. Biedaczek... Ale wracajmy do balu. Po pierwsze, ma przyjść książę, a po drugie, lord Mowry bardzo pilnie nalegał na rozmowę z tobą. Powiedz, że też przyjdiesz, Colterze. Nie chciałabym go rozczarować.

Mowry był cichym zausznikiem lorda Liverpoola i politycznym intrygantem. Colter nigdy mu nie dowierzał, lecz nie mógł odmówić spotkania z człowiekiem z najbliższego otoczenia premiera.

- Dobrze, przyjdę, ale uprzedzam, że zniknę zaraz po skończonej rozmowie. I jeszcze krótkie słowo ostrzeżenia: lepiej z nim nie trzymaj.

Katherine należała do tych kobiet, które umiały być zmysłowe i jednocześnie niebezpieczne.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedziała z niewinnym uśmiechem. - Pamiętaj, że uwielbiam bywać w złym towarzystwie. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym najlepiej wiedzieć.

Olbrzymi dom lady Stratton znajdował się w samym środku Mayfair. W minionych latach bywali tutaj książęta i królowie. Dzisiejszy bal pod tym względem nie stanowił żadnego wyjątku. Książę regent zapowiedział się z całym orszakiem pochlebców i lizusów, drepczących za nim niczym wyszkolone pieski.

Lord Mowry przyszedł dużo wcześniej, niż to miał w zwyczaju. Był to wysoki, chudy mężczyzna o pociągłej twarzy i przenikliwych czarnych oczach. Swobodnym krokiem obszedł całą salę, pozdrawiając znajomych i przystając czasem na chwilę krótkiej rozmowy.

Colter obserwował go ponurym wzrokiem. Nie dał się zwieść pozorom. Dobrze wiedział, że źle skrojony surdut i bufiaste spodnie to tylko kostium, skrywający biegłego polityka, szpiega i niezłego znawcę ludzkich charakterów. Mowry był równie ambitny jak bezwzględny.

- Lord Northington! - jowialnie powitał Coltera. - Co za przemiła niespodzianka.

- Trudno tu mówić o niespodziance. - Colter popatrzył na niego znad kieliszka. -

Lady Cresswood przekazała mi pańskie wezwanie.

Mowry rzucił mu ostre spojrzenie.

- Niespodzianka, że pan się zjawiał. Rzadko pana widuję.

- Może dlatego, że w przeszłości nie zawsze był pan ze mną szczery. Mowry lekceważąco machnął ręką.
- Polityka wymaga szybkiej zmiany planów.
Nie sposób wszystkich na czas powiadomić, że szykuje się coś nowego.
- To źle, zwłaszcza kiedy ktoś czeka na porozumienie.
- Mówi pan o incydencie na Saint Peter's Field?
- To nie był jakiś tam „incydent”, Mowry. Doszło do masakry.
- Zginęło tylko jedenaście osób - padła beznamiętna odpowiedź. - Mogło się skończyć znacznie gorzej.
- Można było tego uniknąć.
- Owszem, ale ten głupi tłum zignorował wezwania do rozejścia się.
- To był wiec, na miłość boską! Gdyby mnie pan posłuchał, obeszloby się bez rozlewu krwi. Ostrzegałem pana.
- Nie jest pan nieomylny, Northington. Hunt i Carlisle namawiali ludzi do zamieszek. Teraz będzie ich uczciwy proces i to zakończy dyskusję.
- Zatem Anglia nie kocha reformatorów. Nie dziwi mnie to, chociaż nie popieram tak krótkowzrocznej polityki.
- Kochany lordzie Northington, pańskie poglądy jako wiga zupełnie mnie nie interesują. - Mowry wykrzywił cienkie usta w fałszywym uśmiechu. - Chciałem jedynie spytać pana o coś, co właśnie pan powinien najlepiej wiedzieć. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nasz chory król zapewne długo nie pożyje, a po ostatnim zamachu na regenta musimy być przygotowani.
- Na co? Na insurekcję?
- Kiedy rząd przyjmie Sześć Ustaw, można spodziewać się buntu pewnych frakcji. Lord Sidmouth nie kryje niepokoju i wystosował list do lorda Liverpoola.
- Boże... Wciąż myślicie, że wszystko da się załatwić siłą? Amerykańska rewolucja niczego was nie nauczyła?
- Znowu przemawia pan jak wig, milordzie.

- Uważam się raczej za liberała. To na ogół całkiem normalne u ludzi, którzy potrafią myśleć.
- Sugeruje pan, że rząd świadomie wznieca niepokoje?
- Nie. Sugeruję, że nie powinniśmy antagonizować reszty społeczeństwa. Sześć Ustaw to jawne wezwanie do rebelii. Sam pan się przekona.
- Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać w imieniu lorda Liverpoola. Albo będzie pan z nami, albo przeciw nam. Potrzebujemy pana. A może mam wyrecytować pańskie obowiązki?
- Nie trzeba. Nie przyjmę rozkazów od pana. O ile pan pamięta, wolę się zabawić. W głowie mi tylko hazard, kobiety i konie.
- Ach, tak. Zwłaszcza kobiety. - Mowry uśmiechnął się nieszczercze. - Bez obaw, Northington, nikt nie przerwie pańskiej maskarady. Sama się panu znudzi. Chcemy, aby pan znalazł wszystkie ogniska buntu. Wtedy rząd w porę podejmie odpowiednie kroki.
- Przecież to może zrobić każdy wachmistrz uzbrojony w pikę! - wybuchnął Colter.
- O co naprawdę chodzi?
- Słyszeliśmy, że Henry Hunt podżega do powstania. Niejaki James Wroe z „Manchester Observer” opisał wypadki na Saint Peter's Field, nadając im nazwę „Masakra Peterloo”. Nie wolno nam popełnić kolejnego błędu. Mowry przez cały czas mówił w liczbie mnogiej, aby podkreślić, że ma za sobą pełne poparcie rządu, a może i regenta. Jednak było wiadomo, że książę nie miesza się do polityki, a obłąkany król żyje we własnym świecie chorej wyobraźni.
- Pana - ciągnął Mowry - zbyt często widywano w różnych przedziwnych miejscach. Chcemy, aby na pewien czas odszedł pan z życia publicznego. Tyler przejmie pańskie obowiązki. Pan, po przyjeździe do Londynu, powróci do dawnego życia. Jak dotąd to się sprawdzało. Polityczne ciągoty w stronę wigów zapewnią panu większe zaufanie ze strony radykałów.

- I podejrzliwość torysów. - Colter wzruszył ramionami. - Zgoda. Wyjadę do Kentu, ale po powrocie proszę mi nie przeszkadzać. Całość spraw wezmę w swoje ręce.

- Kochany lordzie Northington, gdzieżbym śmiał ingerować w pańskie plany? Proszę jednak pozostawać z nami w ścisłym kontakcie. Byłoby źle, gdybyśmy wchodzili sobie w drogę.

Mowry pochylił głowę w zdawkowym ukłonie i po chwili wtopił się w tłum gości.

Colter był zdenerwowany. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Odwrócił się i stanowczym krokiem ruszył w stronę wyjścia.

- Northington! Możesz tu do nas podejść? Zapewne znasz lady Leverton? A to jej córka, panna Carolyn Leverton, którą na pewno miałeś już przyjemność spotkać. Przedstawiono ci pannę St. Clair?

Katherine paplała z wesołym ożywieniem, wyraźnie rozkoszując się tą chwilą. Robiła jednak to tak niewinnie, że nikt patrzący z boku nie podejrzewałby jej o złośliwość. Colter westchnął i poddał się wyrokowi losu.

Lady Leverton i panna Carolyn przywitały się z nim z uśmiechem. Colter przeszedł krok dalej i oniemiał na widok Celi.

Już nie dziewicza biel, ale szkarłatna suknia przetykana złotem wyróżniała ją z różnobarwnego tłumu. Swoim wejściem wzbudziła niemałą sensację, ściągając namiętne spojrzenia mężczyzn. Wyglądała przepięknie. W magiczny sposób udawało jej się zachować równowagę pomiędzy zmysłowością i skromnością. W blasku świec szła niczym żywy płomień. Świetnie zdawała sobie sprawę z pełnych zachwyty szeptów, bo na jej ustach błąkał się uśmieшек zadowolenia. Wyczekująco spojrzała na Coltera.

Podjął rzuconą rękawicę.

- Panna St. Clair - powiedział głębokim barytonem. - O ile mnie pamięć nie myli, tańczy pani walca.

- Owszem, milordzie.

Głęboko zaczerpnęła tchu, kiedy zbyt mocno ścisnął ją za rękę. W ten sposób dawał jej do zrozumienia, że tak łatwo nie ustąpi pola.

- Po co ten cały kłopot? - spytał półgłosem, zanim stanęli na parkiecie. - Nie zamierzam porzucać gry pod warunkiem, że zastosujemy się do moich reguł.

- Ale to wtedy będzie pańska gra, milordzie - bez zmieszania odpowiedziała Celia. - Moje reguły są bardziej elastyczne.

Colter wyraźnie czuł delikatny zapach perfum. Szkarłatna suknia w jednoznaczny, chociaż elegancki sposób podkreślała kuszące kształty. Na dobrą sprawę to nie była suknia. To było zaproszenie.

- Dopuszczają romans?

Błysk światła zamigotał w rubinowym diademie, zdobiącym głowę Celi.

- To zuchwałe pytanie, milordzie.

- Powiedziałbym, że przenikliwe. Na kogo zastawiła pani dziś pułapkę?

- Ja? No cóż... Może ma pan rację, lecz to jeszcze nie powód, żeby mnie wyciągać na takie zwierzenia.

Z cichym szumem jedwabiu zawirowała w tańcu. Colter miał ochotę pochwycić ją w ramiona i uprowadzić. W tym momencie Celia spojrzała mu prosto w oczy i pokusa zmieniła się w postanowienie. Podjęła niebezpieczną grę - i przegrała. Szkoda, że nikt jej wcześniej o tym nie uprzedził.

S łódki dźwięki walca wibrowały w powietrzu. Colter umiejętnie pociągnął Celię w stronę niewielkiej niszy w odległym końcu sali. Jeżeli nawet wiedziała, co zamierza zrobić, to nie skomentowała tego ani słowem.

Walc ciągle trwał, kiedy znaleźli się przed kotarą zasłaniającą wejście. Wokół rosły w doniczkach palmy, dalej stał mały stół dla służby - słowem zaciszny azyl.

Celia rzuciła niespokojne spojrzenie na Coltera.

- Ależ, sir! To...

- Teraz - przerwał jej cicho, zasunawszy za sobą kotarę - zapoznam panią z moimi regułami. Kilka już pani zna.

Szybkim ruchem ręki zagroził jej drogę. Jeszcze krok i Celia przywarła plecami do ściany. Colter stanął tuż przed nią.

- Dama pokazująca się w szkarłatnej sukni, robiąca do mężczyzny oko, albo jest bardzo głupia, albo nie jest damą. Szczerze mówiąc, nie wiem, co myśleć o pani. Wierzyć w naiwność czy bez skrupułów skorzystać z zaproszenia? Co mi pani radzi?

- Posuwa się pan za daleko, sir!

- Przecież na dobrą sprawę pani tego chciała. - Powłóczyście spojrzenia, głupawe uśmiechy... W ogóle nie zamierzam pytać, co się za tym kryje. Jeśli to tylko flirt, to zapewniam panią, że nie mam czasu i ochoty na takie błażostki. Pewne sprawy traktuję poważnie. Jeśli próbuje pani targać tygrysa za wąsy, panno St. Clair, to musi sobie pani zdawać sprawę z konsekwencji takiego poczynania.

- Chyba ma pan o sobie zbyt wysokie mniemanie, milordzie! Skąd ta pewność, że żadna się panu nie oprze?

- Wiem, kiedy kobiety są chętne do romansu. Jeszcze dzień i znajdę panią nagą w moim łóżku.

- Podziwiam pańską bujną wyobraźnię. A teraz proszę mnie stąd wypuścić albo zacznę krzyczeć.

- Proszę, niech pani krzyczy. Mnie taki drobny skandal zupełnie nie zaszkodzi, ale co powie na to lady Leverton? Na pewno będzie zgorszona. Proszę więc krzyczeć. Cała sala przybiegnie panią uratować.

- Ty... ty draniu!

- Tak już o wiele lepiej. Teraz widzę prawdziwą kobietę z krwi i kości, a nie wydumaną postać.

Celia usiłowała się wymknąć, lecz Colter chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

- O, nie... Najpierw muszę choć trochę spełnić pani sugestie... I niech to będzie zaliczka na przyszłość - powiedział i zaczął ją całować. To był zupełnie inny pocałunek - namięty, brutalny i zmysłowy.

Nagle Celia poczuła z przerażeniem, że dłoń Coltera zbliża się do jej piersi, zakrada za rąb stanika i pieści nagie ciało. Czyżby on?... Nie, to szaleństwo! Była zrozpaczona, a jednocześnie błagała w duchu, żeby nie przestawał. Dreszcz rozkoszy przeszył ją do szpiku kości. Świat najpierw zawirował w oszalałym tańcu, a potem zniknął, przesłonięty różową mgiełką.

- Chryste... Celio... - Colter wydał z siebie zduszony jęk.

Pochylił się jeszcze niżej i zaczął całować jej piersi. Celia odruchowo przywarła do niego, położyła mu ręce na ramionach i dyszała ciężko, niemal z płaczem. Wreszcie zamknęła oczy i wyprężyła ciało, bezwiednie szukając uwolnienia od napięcia, które doprowadzało ją na skraj szaleństwa.

Wszystko zniknęło: ciemna alkowa, dźwięki walca, śmiech i rozmowy licznych gości, zgromadzonych tuż obok, w wielkiej sali balowej. Nie wiedziała, co by się jeszcze stało, gdyby Colter nagle z westchnieniem nie pokręcił głową i nie odstał od niej na pół kroku. Chwilę trwało, zanim Celia po części odzyskała jasność myślenia.

Słyszała go jak przez mgłę:

- Pani wybaczy, ale tutaj nie czas i miejsce na dalszy ciąg tej... konwersacji. Znowu położył jej dłoń na ramieniu, ale tym razem tylko po to, żeby przywołać ją do rzeczywistości.

- Proszę się ogarnąć... i na litość boską, niech pani dłużej na mnie tak nie patrzy! Nie odpowiadała, więc energicznie nią potrząsnął. Zakryła rękami piersi.

- Jeśli coś się panu nie podoba, to bardzo łatwo temu zaradzić.

Niemal wybiegła z ciasnej alkowy. Przystanęła za palną, żeby obetrzeć usta i doprowadzić do porządku pomiętą garderobę. Ręce trzęsły się jej jak w febrze, gdy zapinała wszystkie haftki.

Northington w jednej chwili zniweczył jej plany. Była głupia, myśląc, że go dziś pokona. Wzięła głęboki oddech. Lata pobytu wśród zakonnice od Świętej Maryi Panny nauczyły ją opanowania. Była spokojna, kiedy Northington wziął ją pod rękę.

- Na Boga, proszę tylko nie zdradzić się ani słowem - powiedział cicho. - Goście niczego nie widzieli. Odprowadzę panią do kuchni.

- To wystarczy - odparła lodowatym tonem Celia. W drodze przez salę przyglądała się bogatym damom, strojnym w brylanty, rubiny i szafiry. Czuła na sobie wzrok licznych mężczyzn w eleganckich wieczorowych strojach.

- Proszę nie igrać z ogniem, panno St. Clair - ostrzegł Colter, zanim dotarli do Jacqueline. - Może się pani sparzyć.

Popatrzyła na niego z niewinnym uśmiechem,

- Jak pan widzi, nie jestem nawet osmalona, milordzie - zaszczębiotała - ale dziękuję za ostrzeżenie.

Uśmiechnął się z wyraźną aprobatą.

- Zawsze mnie pani zaskakuje - przyznał. - Źle panią oceniłem.

- Ależ skądże! - zaprotestowała szybko. - Miał pan zupełną rację.

- W takim razie uwielbia pani ryzykować. A może podwyższymy stawkę?

- Mam potraktować to jak wyzwanie, lordzie Northington?

- Hm... Raczej jak zaproszenie.

Doszli do miejsca, w którym stały Jacqueline i Carolyn. Northington skłonił się z leciutką kpina, oddał Celię w ręce kuzynki i podziękował za wspaniały taniec. Lady Leverton obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Pańskie dzisiejsze zachowanie rozczarowało wielu dżentelmenów, lordzie

Northington powiedziała. - Porwał pan Celię do pierwszego walca, nie dając innym ani krzty nadziei.

- Och, naprawdę? Proszę mi wybaczyć, lady Leverton. Jak pani widzi, zwracam kuzynkę całą i nienaruszoną.

- Taką jak przedtem - padła zgryźliwa odpowiedź.

- Jej reputacja nie zaznała nawet najmniejszej skazy. Panna St. Clair poczuła się troszeczkę słabo i musiałem ją cucić.

Szarmancko pocałował Celię w rękę i mruknął po francusku:

- Do następnego razu. Potem odszedł.

- Wszystko w porządku? - szepnęła Jacqueline.

- Tak - odpowiedziała Celia. - To bardzo niebezpieczny człowiek.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zdaniem Jacqueline Celia wyglądała na roztrzęsioną, chociaż wyraźnie nadrabiała miną. Wypiła trochę szampana i zatańczyła z kilkoma dżentelmenami, baronami i nawet jednym hrabią. Śmiała się i flirtowała, jakby nie była świadoma, że Northington zniknął.

Wcześniej Jacqueline zauważyła, że oboje wyszli z sali. Nie było ich przez kilka minut. Prawdę mówiąc, bała się o Celię, bo wiedziała, że Colter jest zbyt doświadczonym graczem, aby od razu złapać się małżeńskie sidła.

Wzdrygnęła się mimo woli. Obecny hrabia, ojciec Northingtona, był jeszcze gorszy. Okrutny człowiek, całkowicie pozbawiony skrupułów. W porównaniu z nim wicehrabia miał wręcz nieskazitelne poczucie przyzwoitości. Może powiedziec Celi o tym, jak przed laty Moreland obcesowo zalecał się do Leonie? - rozmyślała Jacqueline. Wpadł w szal, kiedy niedoszła zdobycz wyszła za mąż, porzuciła Londyn i wyjechała aż do Ameryki.

Groził jej, ale na szczęście zdołała mu uciec. Ludzie mówili o tamtym Northingtonie, że był zdolny do najgorszych postępów. Leonie niemal w ostatniej

chwili zdążyła umknąć przed jego gniewem. Zresztą, nie mogło być inaczej. Nawet nie brała pod uwagę jego propozycji. Krążyły plotki o okrucieństwach, jakich dopuszczał się względem kobiet. Ponoć był członkiem tajnego klubu lub stowarzyszenia - Jules jej o tym opowiadał, ale sam nie znał wszystkich szczegółów - w którym dochodziło do perwersji, częstokroć wbrew woli kobiet. Klub chyba przestał istnieć, bo już od kilku lat nic o nim nie słyszała. Na szczęście Colter nie przypominał ojca. Nawet Jules wyrażał się o nim z uznaniem, choć nie podzielał jego poglądów politycznych. A jej mąż jak mało kto znał się na ludziach. Co robić? - zachodziła w głowę Jacqueline. Celia wspaniale się bawiła i tylko Colter pozostawał nieczuły na jej wdzięki. Inni byli nią wręcz oczarowani. Do końca balu otaczał ją tłum dżentelmenów. Niewiele brakowało, aby co najmniej kilku z nich już dzisiaj zapewniło ją o swojej dozgonnej miłości - nie przejmując się, że ich wybranka nie ma posagu.

Tak... To był kolejny sukces. Jacqueline uśmiechnęła się do siebie. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jeszcze przed końcem sezonu jej *petite cousine* znajdzie dobrego męża. Tak jak Caro, pomyślała i z dumą spojrzała na córkę, wirującą w tańcu ze swoim narzeczonym, niezbyt urodziwym, ale dobrym chłopcem ze starej rodziny. Lord Melwyn ma przed sobą przyszłość. Po ślubie z Carolyn nie będzie mu już niczego brakowało. I otrzyma odpowiednie wiano. To też się liczy.

Ciekawe, co by powiedział Jules, gdybym część pieniędzy przeznaczyła na posag Celi? Kobieta czuje się niedowartościowana, jeśli nie wnosi do małżeństwa nic oprócz swej urody. Ona sama w pewnej mierze zawiodła oczekiwania męża. Latami trwało, zanim zrozumiała, że Jules ją naprawdę kocha.

Och, gdyby mąż Celi był równie wspaniały...

- Jesteś. - Jacqueline uśmiechnęła się do kuzynki po zakończonym kontredansie. Zdyszany partner oddał Celię pod skrzydła opiekunki. - W samą porę. Idziemy na kolację.

- Wcale nie jestem głodna. Może wypiałam za dużo szampana?

- Nic ci nie jest, kochanie?

Jacqueline z troską położyła jej dłoń na ramieniu. Celia dopiero poniewczasie spostrzegła, że tak mocno ścisnęła kryształowy kieliszek, aż Odłamała nóżkę.

- Trochę przesadziłam...

Jacqueline odciągnęła ją z dala od ludzkich uszu i spytała półgłosem:

- Co ci powiedział lord Northington?

- A niby co miał mi powiedzieć?

- Dziecko, dobrze wiem, że z nim rozmawiałaś. Jesteś wzburzona.

- Nie, raczej zmęczona tańcem. Co mogłoby mnie zdenerwować?

- Przejrzyj się w lustrze. Nikt z gości nie ma tak zaciętej miny. A Northington wyszedł już dobrą chwilę temu i nie poprosił o następny taniec. Och... - Odsunęła się i spojrzała na Celię uważniej. - Obraziłaś go czymś?

- Nie wiem. Co kilka minut jest w innym humorze. Zresztą zupełnie mnie to nie obchodzi. Irytujący człowiek.

- Jak większość mężczyzn. - Jacqueline uśmiechnęła się. - To w niczym nie przeszkadza. Pamiętaj, że kiedyś zostanie hrabią. Jest względnie młody, przystojny i utytułowany. Czegoż chcesz więcej? Owszem, ma okropnego ojca, ale to już przebrzmiała przeszłość. Syn, zwłaszcza jeżeli jest porządny, nie może pokutować za grzechy ojca.

- Skąd wiesz, że jest porządny? Na pozór niczym nie różni się od ojca.

- Nie dawaj posłuchu plotkom. Na ogół są wyssane z palca. Dobrze wiem, że czasami trudno oddzielić fikcję od prawdy, ale Jules nadzwyczaj ceni Northingtona, a to chyba też o czymś świadczy.

- Zaczynam wierzyć, że w życiu liczy się coś więcej niż pogoń za mężem

-odpowiedziała Celia z pozorną beztroską, choć w głębi duszy nie umiała pozbyć się niepokoju. Nie wiedziała, co dalej robić. Jak dotąd wszystko szło na opak.

Northington zaskoczył ją swoim zachowaniem. Okazał się zupełnie nieprzewidywalny.

Jacqueline pokręciła głową.

- Ale po ślubie, kotku. Dopiero wtedy możesz rzeczywiście mówić o tak zwanym życiu. Przedtem są przygotowania. Trochę to dziwne, że Leonie nic o tym ci nie powiedziała. Może byłaś za mała.

- Właśnie. - Celia głęboko zaczerpnęła tchu. Nie chciała rozmawiać o matce. Northington dostarczył jej wystarczająco dużo nowych przeżyć, żeby znowu nie mogła zasnąć. Od lat noc w noc patrzyła w sufit i biła się z myślami. Dręczyły ją wspomnienia. A teraz było jeszcze gorzej...

- Jesteś niespokojnego ducha - powiedziała kiedyś siostra Berthilde, kiedy spotkała ją na pustym korytarzu kilka godzin przed świtem.

Poradziła jej, żeby szukała ukojenia w szczerzej, żarliwej modlitwie. Nic nie pomogło, chociaż Celia aż do bólu kolan klęczała przy swoim łóżku. „Niespokojny duch” szalał w niej bez wytchnienia.

- Northington zwrócił uwagę na twoją suknię - ciągnęła Jacqueline - i to raczej w bezczelny sposób.

- Owszem. Zachował się jak gbur. Zatem w plotkach tkwi ziarno prawdy.

- Musisz bardzo uważać, Celio, aby przypadkiem nie pomyślał, że masz zadatki na rozpustnicę.

Celia roześmiała się, widząc zgorszony wzrok kuzynki.

- Nie bój się, na nic mu nie pozwolę, choć wiem już, że nie przywykł do subtelności. Jacqueline nerwowo zatrzepotała wachlarzem.

- Nie drażnij go, *petite*. Uważaj... Idzie sir John. Zapewne znowu chce cię poprosić do tańca. Wpadłaś mu w oko, lecz nie rób przy nim żadnych cierpkich uwag o Northingtonie. Pamiętaj, że są przyjaciółmi, więc wszystko może mu powtórzyć... - Wzięła Celię za rękę i dodała głośniejszym głosem, na użytek Harveya: - Nie jesteś zmęczona, kochanie? Pamiętaj, że tuż po kolacji zaczną się nowe tańce.

Sir John uśmiechał się szeroko. Grzecznie pozdrowił obie damy, ale patrzył tylko na Celię.

- Mam zaszczyt panią prosić, panno St. Clair. Potem odprowadzę panią prosto do stołu.

- Oczywiście, milordzie. Będę wdzięczna - odparła z uśmiechem. - Ostrzegam pana, że już podeptałam nogi dwóm dżentelmenom, którzy tańczyli ze mną wcześniej.

- Zaryzykuję. - Podał jej ramię i poszli na parkiet. Orkiestra zagrała kadryla, więc nie mieli czasu porozmawiać, bo zmieniali partnerów. Dopiero później Celia zauważyła, że sir John jest nieswój.

- Jest pani najpiękniejszą kobietą na świecie, panno St. Clair - wyznał, kiedy weszli do sali jadalnej. - Nie wątpię, że ma pani licznych wielbicieli.

- Nie tak wielu, milordzie, ale jestem panu wdzięczna za komplement. Popatrzył na nią z wyraźnym napięciem.

- Był pan dla mnie szalenie miły - dodała zachęcającym tonem.

- Hm... Powiedzmy, że to wynika z mojego optymizmu. - Nieznacznie wzruszył ramionami i uśmiechnął się jakby z zażenowaniem. - Mam paskudny zwyczaj pogoni za tym, co jest dla mnie niedostępne. Ostatnio to dotyczy nawet dobrych koni.

- Ależ zaledwie przed tygodniem dosiadał pan w Hyde Parku wspaniałe utrzymanej klaczy.

- Widziała mnie pani? - Spytał z lekkim zdziwieniem, ale zaraz roześmiał się i machnął ręką. - Oczywiście. Przecież w ogóle się nie kryłem. Lubię takie przejażdżki. Wielka szkoda, że pani nie zauważyłem.

- Byłam z lordem Northingtonem.

- Ach, rzeczywiście... Już sobie przypominam.

Niezwykłe zdarzenie. Okropnie trudno go namówić na taką eskapadę.

- Pana największa w tym zasługa - powiedziała wesoło Celia.

Harvey uśmiechnął się.

- Czasem próbuję mu przypomnieć, że żyjemy w cywilizowanym świecie.

Wiedziałem też, że nie potrafi oprzeć się wyzwaniu.

- Wyzwaniu, milordzie? - Celia zmarszczyła brwi. Czyżby naprawdę rozmawiali o niej? To znak, że Northington był nią bardziej zaintrygowany, niż to okazywał.

- Cóż, muszę się do czegoś przyznać. - Harvey zatrzymał się pod lampionem rzucającym na ścianę kolorowe cienie. - Byłem w alkowie podczas balu, który wydała lady Leverton, i przypadkowo usłyszałem całą waszą rozmowę. Mam nadzieję, że pani nie weźmie mi tego za złe. Nie wiedziałem, czy powinienem ujawnić swą obecność, czy też raczej pozostać w ukryciu.

- Rzeczywiście kłopotliwa sytuacja - otwarcie przyznała Celia. - Co też musiał pan o mnie pomyśleć. Wyszłam na idiotkę.

- Ależ nie, panno St. Clair. Pani przyjazd wniósł świeży powiew w uspione salony Londynu...

Przerwał, gdyż w tej samej chwili przy drzwiach zrobiło się małe zamieszanie.

Harvey pospiesznie zerknął w tamtą stronę i szepnął, że właśnie przyszedł książę.

- Była już pani przedstawiona?

- Nie... Och, nie, milordzie! Nie umiem się zachować.

- Proszę być sobą, panno St. Clair. Książę ma do pięknych kobiet równie wielką słabość jak do samego siebie. O, przepraszam, czasami bywam zbyt złośliwy. Niech pani na to nie zwraca uwagi.

Celia z bijącym sercem stanęła przed księciem. Nogi miała jak z waty.

- Harvey? - Książę łaskawie pozdrowił sir Johna i z uznaniem popatrzył na Celię. - A cóż to za urocze stworzenie?

- Pozwolę sobie przedstawić pannę St. Clair. Najnowszy import z kolonii.

- Import z kolonii, mówisz? - Książę uniósł brwi i wykrzywił usta w uśmiechu. -

Wypada więc się tylko cieszyć, że nie przerwaliśmy handlu z Ameryką.

Mimo że był tęgi, roztaczał wokół siebie aureę majestatu. Widać było, że z dawna już przywykł do władzy. Umiał rządzić, choć Celia słyszała sporo plotek o jego wybrykach, romansach i postępach nieliczących z godnością regenta.

A jednak za tą fasadą czuło się łagodność.

- To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość - odparła Celia, prostując się z ukłonu. Mam nadzieję, że nic nie pomyliłam, pomyślała. Przecież Carolyn uczyła mnie, jak zwracać się do księcia. Boże, niczego nie pamiętam po wszystkim, co dzisiaj zaszło...

Tymczasem księżę przypatrywał się Celi z wyraźną lubością.

- Jest pani zachwycająca - rzekł. - Nalegam, żeby pani dołączyła do nas podczas kolacji.

- Sire - odezwał się wysoki, chudy człowiek, który w tej samej chwili stanął obok księcia. - Poczyniliśmy już wszelkie przygotowania...

- Mowry, jesteś jak pies, który wyje, gdy tego nie potrzeba. Panna St. Clair zje z nami.

W ciemnych oczach doradcy błysnęło rozdrażnienie. Karcącym wzrokiem spojrzał na Celię, ale posłusznie skinął głową i cofnął się do orszaku. Celia odkryła nagle ze zdumieniem, że idzie ramię w ramię z księciem. W głowie kręciło jej się ze zdenerwowania. Niczym przez mgłę dostrzegła zdumioną i zachwyconą Jacqueline. Z ulgą usłyszała, że ponury Mowry beznamiętnie zaprosił ją także do orszaku. Jacqueline z trudem powstrzymywała ekscytację. Natychmiast wdała się w rozmowę z sir Skeffingtonem, którego przedstawiła Celi jako człowieka „wiedzącego wszystko o teatrze”.

- Sir Skeffington sam pisze sztuki - dodała na koniec.

Celia uprzejmie wysłuchiwała kilku uwag na temat pracy dramaturga. Ku jej zdziwieniu, sir Skeffington miał delikatnie upudrowaną twarz i róż na policzkach.

- Tak, tak - mówiła Jacqueline. - Widziałam pańską wersję „Śpiącej królowej”.

Wspaniała inscenizacja.

- Och... - zająknął się sir Skeffington. - To bardzo miłe z pani strony. Niestety, większość widzów była mniej pochlebnego zdania.
- Koszmarna sztuka - wtrącił książę - ale aktorka była bardzo ładna. Jak ona się nazywała?
- Siddons, sire.
- Nie, nie ta. Młodsza, czarnulka.
- Maria Wilson, sire. - Mowry uśmiechnął się nieszczercze. W tym momencie przypominał Celi podstępno go lisa. - Zanim wyszła za męża. Książę zmarszczył brwi i nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Wreszcie sir Skeffington nieśmiało zauważył, że obecnie nie ma zbyt wielu artystek tak utalentowanych jak Sarah Siddons. Dodał przy tym, że wkrótce wystawia zupełnie nową sztukę, z młodą i wielce obiecującą aktorką.
- Jeszcze jedna? - odezwał się Mowry. - Litości! I tak już mamy wielu komediantów wśród naszych polityków.
- Celia niewiele rozumiała z tej całej rozmowy. Mowry nie silił się na uprzejmości. Dlaczego książę go nie skarci? - zastanawiała się ze zdumieniem. Widocznie doradca miał dużo większe wpływy, niż można by przypuszczać.
- Panno St. Clair - Mowry niespodziewanie zwrócił się w jej stronę - skąd ten pomysł, by nagle odwiedzić lady Leverton?
- Nie było w tym nic nagłego. Lady Leverton jest moją chrzestną matką. Od lat marzyłam o tym, żeby się z nią zobaczyć.
- To prawdziwe szczęście, że pani przyjechała wraz z początkiem sezonu. Ciągłe bale, przyjęcia...
- Rzeczywiście, lordzie Mowry - odpowiedziała, wchodząc mu w pół słowa. Nie zamierzała się spowiadać ze swojej przeszłości.
- To musi być przyjemne po trudach tak długiej podróży. Mam nadzieję, że załoga „Liberty” zadbała o pani wygodę.
- Dziękuję, owszem. - Skąd znał nazwę statku? Zaskoczył ją i przestraszył.

- Pasażerowie byli życzliwi? - indagował dalej, wciąż z tym samym posępnym uśmiechem.

- Większość czasu spędziłam w kajucie. *Mai de mer*. Nie jestem zbyt wytrawną podróżniczką.

- Szkoda. Tak się składa, że znam pewnego dżentelmena, który przyplął do Londynu właśnie na „Liberty”. Jestem pewny, że z przyjemnością dotrzymałby pani towarzystwa. Zawsze miał słabość do pięknych kobiet.

- Pochlebia mi pan, milordzie, ale w czasie rejsu nie zawarłam żadnych znajomości. Mowry jedynie się uśmiechnął, lecz w jego oczach zamigotał niebezpieczny ogień. Celia nie wiedziała wprawdzie dlaczego, ale ten człowiek obudził w niej niepokój. Dopiero w domu przypomniała sobie o mapie, którą pożyczył jej jeden z pasażerów „Liberty”. Jak on się nazywał? Ach, prawda... Carlisle. Do tej pory mu jej nie oddała. Na pewno się obraził. Postanowiła jak najszybciej naprawić to przeoczenie i odesłać mapę pod wskazany adres w Shoreditch.

Jacqueline weszła do pokoju, kiedy Lily zabierała się do czesania swojej pani. Rubinowe spinki i diadem wróciły do aksamitnego pudraka, w którym miały czekać do następnego balu. Celia potrząsnęła głową. Długie jasne włosy spłynęły jej na ramiona.

W lustrze zobaczyła wchodzącą Jacqueline. Wiedziała, że zada jej niełatwe pytania. Lady Leverton nie chciała jednak otwarcie rozmawiać przy Lily. Pokojówka знаła trochę francuski, a o pewnych rzeczach nie należało mówić w obecności służby. Kilka minut później Lily dygnęła grzecznie i wyszła z sypialni. Celia wstała ze stołka i popatrzyła na kuzynkę.

- Kim jest lord Mowry? Był zdecydowanie niemiły.

- Mowry? Z tego, co wiem, pracuje dla lorda Liverpoola. - Jacqueline lekko zmrużyła oczy. - Wprawdzie Jules jest oddanym torysem, lecz czasem mówi, że Liverpool uparcie prowadzi kraj do katastrofy. Tylko patrzeć, jak zaczną się nowe zamieszki. Latem doszło wręcz do masakry. Ciesz się, że to było jeszcze przed twoim przyjazdem. W gazetach pisano o okropnych wydarzeniach! Mnóstwo rannych, wśród nich kobiety i dzieci... Wszystko dlatego, że władze Manchesteru postanowiły rozpędzić tłum, wiecujący na rzecz reform. Ale dlaczego pytasz o Mowry'ego?

- Och, sama nie wiem. Przypatrywał mi się podejrzliwie, wypytywał o moją podróż, o towarzyszy rejsu... Nawet znał nazwę statku. Do czego mu to potrzebne?

- Nie mam pojęcia. Mowry jest szefem bezpieczeństwa. Dlaczego miałby interesować się właśnie tobą? Zapewne stał się przesadnie podejrzliwy po ostatniej próbie zamachu na życie księcia, tuż po otwarciu parlamentu. To było jakieś dwa lata temu. Nie zdziwiłabym się, gdyby tajne służby sprawdzały przeszłość wszystkich znajomych regenta. Takie śledztwo... Co ci się stało, Celio? Jesteś blada jak ściana!

Śledztwo?! Jeśli Mowry odkryje, kim naprawdę jestem i co mnie tu sprowadza, na pewno nie będzie biernie się przyglądał! Czym prędzej zatuszuje winę Morelanda, tak jak to było w Georgetown.

Jacqueline zmarszczyła czoło.

- Jest coś, czego mi nie chcesz powiedzieć, kochanie. Nie zaprzeczaj, przecież wyraźnie widzę, co się z tobą dzieje.

- Masz rację. Pewne rzeczy wolałam zachować dla siebie. Cię niepokoję przemknął po twarzy lady Leverton.

- Lord Mowry o coś cię podejrzewa?

- Nigdy przedtem o nim nie słyszałam. Zupełnie nie wiem, czego mógł o mnie się dowiedzieć. Sama mówiłaś, że dba o bezpieczeństwo księcia.

- Celio, *petite*, dlaczego zmieniłaś nazwisko? Czy naprawdę zrobiłaś to przez wzgląd na Leonie, czy chodziło o coś innego?

- Owszem, mam swoje powody, lecz na razie nie mogę ich wyjawić. Przyrzekam, że już niedługo wszystko ci opowiem. Ale na razie o nic mnie nie pytaj, dobrze?

Jacqueline przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu. Na jej wciąż pięknej twarzy malował się wyraz smutku i głębokiej zadumy. Wreszcie westchnęła z głębi piersi.

- Czy to ma coś wspólnego z twoimi zamiarami wobec Northingtona? Bystre pytanie.

- Tak - szczerze odpowiedziała Celia. - Chociaż nie w ten sposób, o jakim zapewne myślisz.

- W ogóle nie wiem, co mam myśleć! - Jacqueline szeroko rozłożyła ręce i roześmiała się nerwowo. - Wierzę, że dobrze zdajesz sobie sprawę z tego, co zamierzasz zrobić. Jesteś córką Leonie. Nie zhańbisz pamięci matki.

Była w tym ufność i zarazem ostrzeżenie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Colter rozprostował nogi i wyciągnął je w stronę kominka. W dłoni trzymał kieliszek francuskiego koniaku. Wrócił myślami do wydarzeń minionego dnia. Celia St. Clair... Intrygująca, piękna i nieznośna. Po balu zastanawiał się, czy przypadkiem nie zajrzeć do Daphne. Młoda aktorka już dawno wpadła mu w oko. Poszedł jednak do domu i wystraszył lokaja. Nigdy przedtem nie wracał o tak wczesnej porze.

- Milordzie - Beaton zebrał rozrzucone części garderoby swojego pana - nie spodziewałem się...

Colter popatrzył na niego spod oka.

- Ja też nie - mruknął. Beaton natychmiast zamilkł.

S lużył u Northingtona już prawie piętnaście lat i znał go lepiej niż ktokolwiek. Choć rzadko rozmawiali o osobistych sprawach, Colter wiedział, że lokaj jest inteligentny, odczytany i pełen radości życia. Northington uniósł kieliszek do ust i pociągnął solidny łyk koniaku. Trunek palił w przetyku żywym ogniem.

- Życzy pan sobie czegoś, milordzie?

- Gdzie, do diabła, jest Martin?

- Pozwoliłem mu wziąć wolny wieczór, żeby mógł spotkać się z rodziną. Nie przypuszczałem, że pan wróci wcześniej. Z chęcią zastąpię go przy obowiązkach.

- Nic od ciebie nie chcę. Po dzisiejszym dniu mam serdecznie dosyć tak zwanych dobrych intencji.

- Tak jest, milordzie.

Beaton zapalił jeszcze jedną lampę, poprawił łóżko w przyległej sypialni i taktownie pozostawił Cottera jego własnym niewesołym myślom.

Pomarańczowozłoty blask ognia tańczył na ścianach i suficie. Northington znowu pomyślał o Celii. Była z nim szczerą czy należała do kręgu znajomych i

przyjaciół Jamesa Carlisle'a? To wszystko nie ma sensu. Mowry twierdził... Niech szlag trafi Mowry'ego! Celia na pewno nie jest groźna dla monarchii.

Colter nie lubił pytań, na które nie potrafił znaleźć rozsądnej odpowiedzi.

Przeczuwał, że jak zwykle będą z tego kłopoty. Kolejny dzień zaczął się wyjątkowo źle, od nieprzyjemnej rozmowy z ojcem. Hrabia Moreland jak zwykle miał wiele pretensji.

- Do cholery, człowieku, czym ty się zajmujesz? Dlaczego nie pilnujesz naszych interesów? Chcesz kiedyś przejąć tytuł i cały majątek? Już widzę, co z tego będzie.

- Dziękuję ci za zaufanie. - Colter skrzyżował ręce na piersi i oparł się o gzyms kominka. Całą swoją postawą wyrażał obojętność wobec oskarżeń ojca.

- Bzdura, nie zaufanie! - wybuchnął Moreland i stuknął laską o podłogę, żeby przywołać lokaja. Wierny Brewster natychmiast zjawił się z dodatkowym kocem i przesunął fotel hrabiego bliżej ognia.

Moreland ściągnął krzaczaste brwi i ponurym wzrokiem popatrzył na syna.

- Co zrobiłeś w sprawie zaginionego statku? Pomyślałeś o nim chociaż przez chwilę od czasu ostatniej...

- John Carter ma dokładny raport z opisem katastrofy „Indii” i listę wszystkich towarów. Straty nie są tak duże, jak początkowo przypuszczano. Członkowie zarządu przychylają się do mojego zdania, że wydatki na modernizację floty mieszczą się w granicach zdrowego rozsądku. Wysłano nowy statek po resztę ładunku. Z tego, co wiemy, „India” zatонуła na redzie, a nie podczas rejsu powrotnego z Lubangu. Zginęło zaledwie trzech marynarzy.

Moreland oniemiał.

- Moje sprawozdania mówią coś innego. Na Boga, jeżeli rozmawiałeś o tym z Philipem...

- Dajże spokój! Philip prawie nic nie wie o katastrofie „Indii”. Jak wiesz, ma własną kompanię żeglugową i obecnie podróżuje po Europie. Szybko nie wróci. Chcesz coś jeszcze?

Moreland zmarszczył brwi.

- Zebranie garści informacji zajęło ci cały tydzień?

- Nie. Kompletowałem spis towarów i rozmawiałem ze wszystkimi piętnastoma członkami zarządu. Do dwóch musiałem jechać na prowincję. - Colter oderwał się od kominka i przeszedł na drugą stronę pokoju, byle dalej od ojca. - Jeszcze nie wszedłem na stałe do zarządu. Z oczywistych względów wolę się nie mieszać w twoje sprawy. Kiedy umrzesz, wreszcie będę miał wolną rękę. Na razie działaj po swojemu.

- Zawsze tak robię.

- Wiem. - Colter popatrzył ojcu prosto w oczy. - Zawsze. Na krótko wyjeżdżam na wieś. W razie potrzeby wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Wyjeżdżasz na wieś? - Moreland nie wierzył własnym uszom. - Teraz? O tej porze roku? Zabraniam ci. Jesteś potrzebny tutaj.

- Ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej, jeśli już o to chodzi. Zgodnie z twoją wolą stałem się chłopcem na posyłki. Powinieneś być zadowolony.

- Nigdy nie byłeś chętny do współpracy. Anthony wiedział, gdzie jest jego miejsce i co należy zrobić w danym momencie.

- Anthony był tchórzem. Nie potrafił ci się przeciwstawić i w końcu to go zabiło.

- Zmarł z gorączki!

- Tak, której się nabawił, kiedy go wysłałeś do domu chorego dziadka, żeby ukradł ważne dokumenty. Ostrzegalem go, ale bał się, że wpadniesz we wściekłość. Miał zaledwie trzydzieści lat i kręgosłup miękki jak dżdżownica.

Hrabia mocniej zacisnął drżącą dłoń na złotej gałce laski i zamachnął się na syna.

Ledwo musnął jego pierś. Moreland skrzywił się ze złości.

- Przekleństwo! Jesteś hańbą dla naszej rodziny!

- To prawda. Na pewno zostałem przeklęty.

Colter wyszedł, nie zwracając uwagi na okrzyki ojca. Brewster usiłował uciszyć swego pana. Rozmowa zakończyła się tak jak zwykle w nieprzyjemny sposób.

Hrabina była w prywatnym salonie.

- Widzę, że nic się nie zmieniło - powiedziała na widok syna i odłożyła książkę. - Nawet tu, w drugim skrzydle domu, słysząc jego dzikie ryki.

- Racja - mruknął Colter. - Co czytasz?

- To „Ivanhoe” sir Waltera Scotta. Całkiem interesująca powieść. Znasz ją?

- Tak. - Colter nie mógł usiedzieć na miejscu, więc podszedł do okna. - Jutro wyjeżdżam na wieś. Nie będzie mnie przez kilka dni, może przez dwa tygodnie.

- Na początku zimy?

- Dopiero zaczął się październik. Muszę zmienić klimat. Jeśli zostanę tutaj trochę dłużej, to znowu każesz mi iść na jakiś bal, *soiree* lub przyjęcie wydawane przez twoich niezmordowanych przyjaciół. Powiedz szczerze - odmówiłaś chociaż raz którejś swatce?

Hrabina roześmiała się.

- Nigdy. Na dobrą sprawę rozwiązanie masz w zasięgu ręki.

- Wiem. Gdybym się ożenił, nie musiałbym tańczyć z dziećmi, które dopiero wyszły spod ręki guwernantki. Sęk w tym, że jeśli wezmę za żonę jedną z tych idiotek, to przez całe życie będę miał inny problem.

- Więc znajdź sobie intelektualistkę. Wcale ich nie brakuje, wystarczy się rozejrzeć. Nie musi zaraz być z najwyższej sfery, ale dobrze, żeby była porządnie wychowana. Colter odwrócił się i popatrzył na hrabinę spod oka. - Coś za łatwo się na to godzisz, *ma mere*.

Zaczynam wierzyć, że w głębi duszy nie stronisz od maleńkich intryg.

- Podejrzewam, że więcej wiem o świecie, niż mógłbyś się spodziewać, Colterze. - Uśmiechnęła się i nagle odmłodziła. - Skoro wyjeżdżasz na wieś, to może wzięłybyś ze sobą kilkoro oddanych przyjaciół?

- Mogę zapytać, o kim mówisz? Zaczekaj, sam się zaraz domyślę... Kilka posażnych panien na wydaniu, wraz z nimi nudne przyzwoitki...

- Jesteś dla mnie za sprytny. Tak, o tym myślałam. Zrobiłybyś mi ogromną przyjemność, Colterze. Lata płyną i oboje stajemy się coraz starsi. Musisz zostawić po sobie następcę, który to wszystko przejmie, kiedy nas zabraknie.

Colter zacisnął zęby. Tysiące razy słyszał te same argumenty.

- Małżeństwo nie gwarantuje męskiego potomka - odparł. - Spójrz na naszego wspaniałego księcia. Poślubił sekutnicę i jak dotąd nic z tego.

- Wybacz mi to, co za chwilę powiem, ale nasz książę jest zbyt zajęty pijaństwem i aktorkami, żeby spłodzić następcę ze ślubną żoną. Nie ma poczucia obowiązku.

Niestety, stajesz się do niego podobny, Colterze. Wiem, że to przykre, ale sam powiedz, co mam o tym myśleć? Słyszałam już niejedną plotkę o twoich wybrykach, choć oczywiście „oficjalnie” nic do mnie nie dociera. Nie sądzę, aby któraś z tych twoich aktorek była właściwym materiałem na żonę. Masz już trzydzieści jeden lat i dawno powinieneś się dochować syna, któremu będziesz mógł przekazać nazwisko i tytuł Morelandów. To, jak postrzegasz swoją spuściznę, zupełnie nie ma znaczenia. Musisz się liczyć z moim zdaniem, a dla mnie jest to bardzo ważne. Nie chcę, żeby nasz ród wygasł.

Jak na hrabinę była to istna tyrada. Colter dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, ile znaczyło dla niej jego małżeństwo.

- Gdyby Anthony żył, wszystko byłoby o wiele prostsze. Nie musiałbym martwić się o potomka i uczestniczyć w podłych machinacjach ojca. Anthony, ojciec, dziadek... Dzięki Bogu, że nie należałem do ich klik.

- Dziadek nigdy cię nie odrzucił, Northingtonie.

To, że matka zwróciła się do niego w ten sposób, świadczyło o jej niezadowoleniu. Colter wzruszył ramionami.

- Na pewno był dla mnie dobry, ale wykluczył mnie z ich planów. Nie chciał, żebym zajmował się polityką. Uczył mnie raczej, jak prowadzić rozległe interesy. Ciepło wspominam tamte chwile. Na pewno nie traciliśmy czasu.

Lady Moreland od niechcienia wodziła palcem po okładce książki.

- Twój dziadek był człowiekiem twardych zasad, ale uczciwym. Myślę, że wolał, abyś ty był następcą, a nie Anthony.

- Nie podzielałem jego aspiracji.

- Dlaczego bronisz się przed małżeństwem? To przez ojca?

- Lepiej na razie o tym nie mówmy - odparł cicho Colter. - Wydaje mi się, że o pewnych rzeczach wolałabyś raczej nie wiedzieć.

- Może masz rację. - Hrabina odłożyła książkę na stół i podniosła się z fotela.

Delikatnie pogładziła syna po twarzy. - Zrobisz, co zechcesz, Colterze. Zawsze tak było. Wierzę, że weźmiesz pod uwagę to, co powiedziałam.

Colter poczuł się podle.

Następnego dnia opuścił Londyn. Kiedy miasto stało się jedynie wątlą mgiełką na horyzoncie, poczuł wreszcie, że spadają z niego okowy cywilizacji. Ruszył przez Rochester, traktem wiodącym na południe.

Harmony Hill w hrabstwie Kent było na przemian niegościnnym i przyjemnym miejscem, w którym przed ośmiuset laty wylądował Wilhelm Zdobywca na czele normañskich zastępów, idących do bitwy z Sasami. Teraz już tylko owce pasły się na łagodnych zboczach.

Wody kanału dzielącego Anglię od Francji z szumem załamywały się na wapiennych skałach. Tutaj, niecałe sześćdziesiąt mil od Londynu, Colter mógł znaleźć azyl - ucieczkę od zmartwień świata.

Tu spędzał dni po powrocie z walk w służbie jego królewskiej mości. Po krwawych bitwach z Napoleonem, ale przed inną wojną, czekającą w domu. Anthony, dziadek, stryj - wszyscy zmarli, strawieni nieznaną gorączką. Nikt nie wiedział, jak to się zaczęło i kto pierwszy zachorował.

Za rzeką Buckland, w niewielkiej kotlinie, stał dom. Colter przejechał przez most i stanął. Koń kręcił się niespokojnie, czując, że blisko do końca podróży. Colter popędził go do dalszego biegu. Zjechał ze wzgórza i obok stajni zobaczył głównego masztalera - starca, który w Harmony Hill spędził całe życie.

Wiekowe cisy ocieniały tę część dziedzińca.

- Wszystko gotowe, milordzie! - zawołał Smythe, chwytając wierzchowca za kantar.

- Zagroda już czeka.

Koń trącił go nosem, jakby na przywitanie i zastrzygł uszami.

- Chyba usłyszał starych przyjaciół - powiedział Colter, rzucając koniuszemu cugle.

- Od jutra będzie miał liczniejsze towarzystwo. Przyjadą goście. Dopilnuj, żeby ktoś dobrze zajął się ich końmi.

- Tak jest, milordzie. Wedle rozkazu.

Główny budynek mieścił zaledwie dwadzieścia cztery pokoje i z czterech stron otaczał przytulny dziedziniec. Fosa, przed laty wypełniona wodą, teraz zarosła wysoką trawą, krzewami i bujnym kwieciem. Za domem ciągnął się wspaniały ogród i mały park, pełen klonów i wiązów. Dalej, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się zielone łąki, podzielone na pastwiska kamiennym murem albo żywopłotem. Colter zatrzymał się przed progiem, żeby ogarnąć wzrokiem posiadłość, którą dawno zmarły przodek otrzymał w dowód wdzięczności od króla. Ludzie rodzili się i umierali, a ziemia trwa. To też sposób na nieśmiertelność.

Skrzypnęły drzwi. W progu stanął kolejny stary służący.

- Witamy w domu, milordzie.

- Dziękuję, Renfroe. - Colter minął go i wszedł do środka. Świeżo wypolerowane drewno połyskiwało w przyćmionym świetle. W powietrzu unosił się zapach wosku.

- To robota pani Barbary?

- Tak jest, milordzie. Dziś mamy pierwszy poniedziałek miesiąca. Barbara czyści wszystkie meble i oliwi boazerie. Mogę wziąć pański kapelusz?

Colter oddał mu nakrycie głowy i zaczął ściągać rękawiczki.

- Gdzie James? - spytał.

- We wsi, sir. Będzie potrzebny w tym tygodniu czy przyjeżdża pański lokaj?

Ostatnie zdanie Renfroe wymówił z lekkim niesmakiem. Tu także istniał podział klasowy. Beaton pochodził „z miasta”, a James urodził się na włościach. Renfroe był jego przyszywanym wujem.

- Beaton zjawi się jutro, razem z gośćmi. Dostałeś moją wiadomość?

- Tak jest, milordzie. James właśnie pojechał do wsi, żeby wyszukać odpowiednich ludzi. Myślę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Renfroe podążył za swoim panem do małego gabinetu.

- Jak rozumiem, będzie sześcioro gości.

- Plus ich służba. - Colter zamyślił się na chwilę. - Pannę St. Clair umieść w Zielonym Pokoju.

- Tak jest, sir. Rozumiem.

Na pewno rozumiał. Zielony Pokój leżał z dala od pozostałych gościnnych pokoi, za to tuż przy sypialni Coltera. Okna obu pomieszczeń wychodziły na ogród.

Colter trochę się niepokoił, że Celia nie zechce przyjechać. Nie zaprosił jej samej, ale w towarzystwie lady Leverton i jej córki. Posłał też bilecik do Harveya, pani Pemberton i jej siostrzenicy Olivii Freestone. Olivia znalazła się w tym gronie nieprzypadkowo. Miała odciągać wzrok i myśli Harveya od Celi. Colter spodziewał się, że te wieści ucieszą jego matkę. Tego rodzaju zaproszenia zawsze wzbudzały liczne komentarze.

Z pozoru wszystko wyglądało zupełnie niewinnie. Parę dni na wsi, z dala od miejskiego gwaru i hałaśliwych przyjęć. Świetna okazja, aby zobaczyć, jak drzewa zmieniają barwę liści. Nic zdrożnego.

Colter był pełen nadziei, że w Harmony Hill panna St. Clair zechce podziwiać nie tylko jesień.

CZEŚĆ TRZECIA

„Miłość jest ślepa,
więc jak kochankowie mają widzieć szaleństwa,
które sami czynią?”

Szekspir, *Kupiec wenecki*

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Celia z niedowierzaniem patrzyła na kuzynkę.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? Jak mogłaś przyjąć zaproszenie lorda Northingtona?!

- To chyba oczywiste. Obie doskonale wiemy, dlaczego nas zaprosił. Nie wypada odmówić.

- Chyba jednak go nie doceniasz.

- Jeśli planuje podstęp, dopilnujemy, żeby nic złego się nie stało - z niezmaconym spokojem odparła Jacqueline. - Och, przekonasz się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, *petite*. Przecież Northington nie zacznie cię uwodzić na oczach rodziny. A poza tym to dla nas wielkie wyróżnienie. Pomyśl tylko, nie każdy może bywać w jego posiadłości. Założę się, że nie zapraszał tam kobiet.

Celia nie mogła i nie chciała wtajemniczyć kuzynki we wszystko.

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Skoro trzeba, to jedźmy.

- Wyśmienicie! Carolyn będzie na pewno zachwycona perspektywą pobytu na wsi. Miałaś rację. Northington jest wyraźnie tobą zainteresowany. Musi mieć poważne zamiary, skoro nas zaprosił.

- Może właśnie tego najbardziej się boję? - Celia mówiła lekkim tonem, żeby zamaskować zdenerwowanie.

- Myślisz, że... Nie, na to nigdy by się nie odważył. Nawet Northington nie zaryzykuje otwartej wojny z moim mężem. - Jacqueline wzruszyła ramionami. - Nie chcę się chwalić, ale Jules ma wpływowych przyjaciół wśród polityków i w kręgach finansowych. Od lat utrzymuje służbowe kontakty z kompanią żeglugową Morelanda.

- Tak, tak. Masz rację. - Celia zmusiła się do uśmiechu.

- Northington zaprosił także panią Pemberton i jej siostrzenicę Oliwię - z namysłem dodała Jacqueline i jeszcze raz przeczytała list, który nadszedł dziś rano. - Nie wiem po co? Dla przyzwoitości? Pani Pemberton zrobiłaby wszystko, żeby dobrze wydać Oliwię za męża. Ale chyba nie o to chodzi. Jak myślisz?

- Różne rzeczy zdarzają się na tym świecie - mruknęła Celia. Jacqueline zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie. Myślę, że nie. Pani Pemberton to zwykła zasłona dymna. Jest tak zapatrzona w tę swoją Oliwię, że świata poza nią nie widzi. Nie myśl, że łatwo chować dwudziestoczteroletnią pannę.

- Mam dwadzieścia jeden lat - przypomniała jej Celia. Lady Leverton przez chwilę przypatrywała się jej z zaskoczeniem.

- Tak, ale to dopiero twój pierwszy sezon, a Olivia Freestone została przedstawiona już dawno.

- W takim razie tym bardziej wymaga poparcia z naszej strony. Jeśli tylko zwróciła na siebie uwagę lorda Northingtona...

Jacqueline roześmiała się.

- Czasami bywasz cyniczna, moja droga. Zareczam ci, że Northington interesuje się wyłącznie tobą. Och, to będzie naprawdę ciekawy tydzień. Zawiadomię Julesa, że na czwartek potrzebny nam powóz.

Harmony Hill okazało się miłą niespodzianką. Celia dostrzegła posiadłość ze szczytu wzgórza, siedząc wygodnie w eleganckim landzie. Wkrótce potem pojazd wtoczył się przez główną bramę. Za zieloną łąką połyskiwała niebieska mgiełka. To była cieśnina Dover, oddzielająca Anglię od Calais. Wapienny klif pionową ścianą opadał wprost do morza.

- Cudowny widok - orzekła Jacqueline. - Nigdy nie zapomnę chwili, w której po raz pierwszy zobaczyłam białe brzegi Anglii. Wtedy był to dla mnie znak wolności.

Teraz symbolizują dom i rodzinne szczęście.

- Widziałam je z pokładu statku - powiedziała Celia. Złożyła ręce na kolanach i mocno zacisnęła pięści. Może popełniła błąd, że zgodziła się tu przyjechać? Jednak nie mogła odmówić.

Na szczęście nie jestem sama, pomyślała, ale to była słaba pociecha. Skoro Northington miał odwagę całować ją podczas balu, w ciemnym zakątku sali pełnej gości, to czego mogła się po nim spodziewać w jego rodzinnych włościach? Colter nie wyszedł, żeby powitać damy, wysiadające z landa. Powiedziano im, że w tej chwili go nie ma, ale niedługo wróci. Stary lokaj, poruszający się z dostojeństwem, pokazał im pokoje. Wyjaśnił też, że pani Pemberton i Olivia jeszcze nie przybyły. Prawdopodobnie coś je zatrzymało w drodze. Jacqueline porozumiewawczo spojrzała na Celię. Lokaj najpierw wskazał im Zielony Pokój na pierwszym piętrze - przytulny i rzeczywiście wyłożony zieloną tapetą. Wnętrze było prześliczne: pośrodku stało wielkie, bogato rzeźbione łóżko, na podłodze leżały puszyste dywany, a na barokowym stole stał wazon pełen różnokolorowych kwiatów. W powietrzu unosiła się delikatna woń róż i fiołków.

- Och! - zawołała zachwycona Celia i zobaczyła zadowolony uśmiech Jacqueline.

- Podejmują cię tu po królewsku, *petite*.

- Na to wygląda.

- Tędy proszę, milady - powiedział lokaj, zabierając ze sobą lady Leverton i jej córkę.

Jacqueline dostała pokój od strony dziedzińca, tuż obok sypialni Carolyn, lecz nad pokojem Celi. Przebywały zatem pod tym samym dachem, ale wyraźnie rozdzielone. Ciekawe, czyj pokój jest obok mojego? - zastanawiała się Celia. Założyła się nawet o złotą gwineę, że to sypialnia Northingtona.

Wieczorem przyjechała pani Pemberton wraz z siostrzenicą i sir Johnem. Podczas kolacji lady Leverton z podziwem obserwowała wysiłki służących. Nawet pochwaliła za to gospodarza.

- Często się zdarza - powiedziała z westchnieniem - że potrawy stoją pośrodku stołu albo krążą, przekazywane z rąk do rąk przez gości. Wszystko stygnie, zanim trafi na odpowiedni talerz.

Lord Northington siedział na honorowym miejscu, trochę przesłonięty wysokim świecznikiem. Uniósł brwi, słysząc uwagę Jacqueline, i uśmiechnął się, zdaniem Celi, odrobinę drwiąco. Ledwie go widziała przez całą długość stołu, ale wyraźnie czuła jego obecność. Dominował nad gośćmi już od chwili wejścia. Nie przeprosił za to, że zjawił się tak późno.

- Kolacja wymaga nieco formalności - zwrócił się do siedzącej po lewej stronie Jacqueline. - Na ogół podczas pobytu na wsi hołduję dużo prostszym zwyczajom. Wstaję rano i rzadko bywam na śniadaniu. Proszę więc na mnie nie czekać. Spizarnia jest do państwa dyspozycji. Renfroe zadba, żeby niczego państwu nie brakowało.

Sąsiadem Celi był sir John. Trochę ją to zdziwiło, bo była przekonana, że Northington zechce posadzić ją blisko siebie.

- Miło znów pana widzieć - powiedziała grzecznie.

- Zapewne to dla pani mała niespodzianka.

- Słucham?

Nonszalanckim ruchem wskazał na resztę gości.

- Spodziewała się pani aż takiego tłumu?

- Sześć osób to jeszcze nie tłum, sir Johnie.

- To zależy od punktu widzenia - odparł i sięgnął po kieliszek. Celia zauważyła, że prawie nic nie jadł, lecz za to wypił niemało portu. - Zastanawiała się pani kiedyś, z jaką łatwością pewne sprawy przychodzą niektórym ludziom?

- Obawiam się, że nie rozumiem - odpowiedziała z pewną rezerwą. Domyśliła się, że sir John wychylił więcej niż powinien i zebrało mu się na zwierzenia.

Harvey wbił wzrok w kieliszek. Celia odniosła wrażenie, że chciał jej coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak zacząć. Popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

- Nie umiem przegrywać - wyznał.
- A co pan przegrał, sir? - Harvey zaczął ją drażnić. Nie dość, że się upił...
- Nie można przegrać tego, czego się nie miało - powiedział nagle. - „Jest piękna, więc godna najszczerzych zalotów. Jest niewiastą, więc godzi się ją szczerze zdobyć”. Jak pani pewnie słusznie się domyśla, popiłem sobie i plotę od rzeczy.
- Szekspir nie plótł od rzeczy.
- Zatem zna pani tę sztukę...
- „Henryk VI”. - Celia doszła do wniosku, że Harvey jest bardziej smutny niż pijany. Pochyliła się w jego stronę i powiedziała cicho: - Niech pan spróbuje tych wyśmienitych potraw. Zaręczam, że od razu poczuje się pan lepiej.
- Jednym słowem, mam odstawić porto? Ma pani rację. Lepiej nie robić z siebie durnia, bo Northington się obrazi.
- Na pewno by panu wybaczył.
- Jak zwykle. Szlag by go trafił!

Wystraszona Celia z trudem wytrzymała do końca kolacji. Wreszcie sir John odszedł i niby to przypadkiem skierował się w stronę panny Olivii Freestone. Była to młoda, ciemnowłosa i ładna dziewczyna o niewinnej buzi. Wyglądało na to, że zapędy Harveya sprawiają jej radość, ale raz po raz zerkąła na swoją surową opiekunkę. Pani Pemberton miała taką minę, jakby obawiała się, że ktoś zamierza uprowadzić jej siostrzenicę.

Nic dziwnego, że panna Freestone do tej pory nie mogła znaleźć męża i roztaczała wokół siebie aurę dziewiczej naiwności. Czy ja też byłam kiedyś tak naiwna? - zastanawiała się Celia. Może... Ale to bardzo dawne dzieje. Czasami czuła się o wiele starsza od Carolyn. Córka Jacqueline nie posiadała się z radości, że trafiła do Northingtonów. W jej mniemaniu był to niemały triumf, choć prawdę

mówiąc, nie musiała zabiegać o uznanie. Wyznaczono już datę ślubu, więc miała zapewnioną przyszłość.

Celia wyszła na taras oświetlony migotliwymi lampionami. Plamy światła pełzały po trawie, kwiatach i drzewach... Jacqueline wdała się w rozmowę z panią Pemberton. Bez wątpienia każda z nich snuła własne plany, związane z osobą lorda Northingtona. Caro poszła na górę, żeby odświeżyć się po kolacji.

Ostatnio Celia zauważyła pewną istotną zmianę w zachowaniu kuzynki. Caro wydawała jej się spokojniejsza. Jakże to uczucie wiedzieć, co się stanie? Jak smakuje życie, w którym największym zmartwieniem jest wybór sukni na bal lub wieczór w operze? Moje życie wygląda zupełnie inaczej. Poczucie bezpieczeństwa jest dla mnie fikcją, odległym snem, niewiele wyraźniejszym od cienia.

Bywały chwile, kiedy Celia nie potrafiła sobie przypomnieć twarzy ojca. Widziała tylko zamazaną postać o ciemnych włosach i piwnych roześmianych oczach. W tamtych czasach byli szczęśliwi. Tata powtarzał, że mu dobrze w towarzystwie dwóch najpiękniejszych kobiet na świecie. Tylko tyle... i aż tyle.

A potem wszystko się zmieniło. Ojciec zginął na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego.

- Witaj, kocico - usłyszała za sobą lekko drwiący głos. Czekala na to przez cały wieczór. Odwróciła się i napotkała palące spojrzenie lorda Northingtona.

- Dobry wieczór, milordzie - odpowiedziała, siląc się na oficjalny ton.

- To bardzo uprzejmie z pani strony... Och, nie, proszę nie odchodzić, bo wieczór mamy jeszcze całkiem młody. Możemy kilka minut poświęcić na rozmowę.

Stanął przed nią, żeby przypadkiem nie uciekła, i oparł rękę o mur porośnięty dzikim winem. Zamiast surduta nosił luźną białą koszulę bez krawata, obcisłe spodnie i wysokie czarne buty. Emanowały z niego władczość i siła.

- Co się stało? - zapytał półgłosem i wierzchem dłoni delikatnie pogładził ją po policzku. - Nie doczekam się ciętej odpowiedzi? Jestem zdumiony i rozczarowany. Spodziewałem się kolejnej bitwy na słowa.

- W to akurat nie wątpię, milordzie. Moja powściągliwość musi pana drażnić.
- Ach, mamy więcej czasu, żeby wypróbować inne możliwości. Na dziś zaplanowałem odrobinę muzyki. Jestem pewien, że to wszystkim się spodoba. Ku zdziwieniu Celi tym razem jej nie pocałował. Cofnął rękę i odstąpił pół kroku do tyłu. Zawsze musiał ją czymś zaskoczyć! A ona już się przygotowała w duchu, żeby mu stawić opór.

Colter zdawał się znać jej myśli, bo uśmiechnął się drwiąco i wrócił do domu. Chodzi niczym dziki kot, uznała Celia, miękko i cicho jak ogromne bestie, które podziwiała w menażerii.

Jest w nim niepokój wielkich drapieżników.

Przypomniała sobie, jak bez trudu zniweczył jej wcześniejsze plany. Tym razem musiała mieć się na baczności.

Co za potwór! - pomyślała o nim jakiś czas później, siedząc sztywno na miękkiej kanapie i słuchając popisów muzycznych panny Freestone, która w niemiłosierny sposób znęcała się przy pianinie nad znaną francuską melodią. Northington oczywiście wszedł do salonu dopiero pod sam koniec nieszczęsnego występu.

Ani przez chwilę nie zamierzał w pełni uczestniczyć w tak ważkim wydarzeniu, ale nie bronił tego swoim gościom. Celia spostrzegła z satysfakcją, że sir John był nie mniej wzburzony niż ona.

- Dużo straciłeś - cierpkim głosem powiedział do Northingtona. - Jestem pewien, że panna Freestone chętnie da ci prywatny koncert.

- Nie śmiałybym jej zamęczać dodatkową prośbą - ze spokojem odparł Colter, jak gdyby nigdy nic uśmiechnął się do Olivii i szarmancko odprowadził pod opiekę ciotki. - Spisała się pani wspaniale. Na tarasie czeka na nas przekąska.

- Złośliwy drań - mruknął pod nosem Harvey i drgnął przestraszony, kiedy Celia skinęła głową i pochyliła się w jego stronę.

- Właśnie. Powinno się go przywiązać do krzesła i grzecznie poprosić pannę Freestone, żeby zagrała całą Piątą Symfonię Beethovena.

Harvey uśmiechnął się jak mały chłopiec.

- Ale kto by sprawdził, czy nie pominęła ważnej nuty? Nie widzę chętnych. Oboje wybuchnęli śmiechem. Celia ujęła Harveya pod rękę i razem wyszli na oświetlony pochodniami taras, gdzie już czekały suto zastawione stoły. Sir John od razu ruszył w stronę karafki z porto.

- Dobry gospodarz postarałby się o coś mocniejszego - poskarżył się. - Mała flaszeczka „Blue Ruin” zupełnie by nie przeszkadzała.

- Na pewno, Harvey - przytaknął Northington.

Celia drgnęła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Colter stał tuż za nimi.

Odwróciła się, ale on patrzył tylko na sir Johna.

- Mocniejsze trunki mam w bibliotece - powiedział zwodniczo łagodnym głosem. - Kłopot w tym, że damy nie gustują w dżinie.

Harvey uniósł kieliszek i skłonił się ironicznie.

- W takim razie ja także zostanę przy porto. Nie chciałbym popsuć dzisiejszego wieczoru naszym uroczym paniom.

- Na tym jeszcze nie koniec - oznajmił Colter i przeniósł wzrok na Celię. - Będą tańce.

- Tańce? - parsknął Harvey. - Po tych wszystkich balach?

- Do rana zmienisz zdanie.

- Mało prawdopodobne - Harvey jednym haustem wychylił kieliszek porto i nalał sobie następną porcję - ale może się myłę.

Celia nie opierała się, kiedy Northington wziął ją pod rękę. Zrobił to delikatnie i na pozór zupełnie obojętnie, lecz stanowczo.

- Pani na pewno się spodoba.

- Tak? Sir John nie wyobraża sobie, że miałby tańczyć walca przy pochodniach.

- W to akurat nie wątpię. Zaprosiłem tancerzy z nadzieją, że nas zabawią. Celia spojrzała na niego spod oka, a potem odwróciła się, słysząc za sobą rześisty brzęk dzwonek i szybką melodyjkę, zagrana na skrzypcach. Na środek tarasu wyskoczyła grupa jaskrawo ubranych kobiet i ciemnowłosych mężczyzn. Muzyka była głośna, skoczna, żywa, płynąca prosto z serca.

Wdzięczne ruchy tancerek i proste dźwięki melodii sprawiły, że Celia zupełnie zapomniała, co chciała powiedzieć. Nawet w najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek w życiu zobaczy coś takiego! Jedna z kobiet, młodsza, odważniejsza i zręczniejsza od innych, zakręciła się tak ognistym ruchem, że jej czerwona spódnica wirowała w powietrzu, odsłaniając do kolan zgrabne smukłe nogi.

- To hiszpańscy Cyganie - szepnął Northington do ucha Celi. Stał tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na szyi. - Co roku obozują na moich ziemiach.

- Pozwala im pan na to? - Czuła się nieco dziwnie, kiedy był tuż przy niej. Do tego ta muzyka, łoskot tamburynu...

- Zawarliśmy umowę - wyjaśnił. - Mogą tu biwakować, nie bojąc się kary, ale w zamian Smythe korzysta z ich usług przy układaniu koni. Santiago - ten siwowłose, który gra na skrzypcach - to prawdziwy mistrz w swoim fachu. Umie sobie poradzić z najbardziej narowistą i złośliwą klaczą.

- Rozumiem - powiedziała. Nie zwracała uwagi na to, że od pewnej chwili Colter delikatnie gładzi ją po dłoni. - Nie wiedziałam, że z pana taki filantrop, milordzie.

- Nie ma w tym nic z filantropii. Za usługi żądam stosownej zapłaty, czy to od Cyganów, czy od pięknych kobiet.

- Zatem o wszystkim myśli pan jednak jak o interesach?

- Nie o wszystkim. - Kciukiem pogłaskał ją po brodzie. - Nie o wszystkim, panienko.

Nagle zrobiło się gorąco. Celia czuła na sobie wymowne spojrzenie Coltera. Nie przyszedł tutaj wyłącznie na rozmowę. Przecież wiedziała o tym od początku. Pragnął jej, a ona nie umiała dość dokładnie określić własnych uczuć. Coś jakby podniecenie, nastrój wyczekiwania... Po stokroć dziwne, zwłaszcza w stosunku do człowieka, który powinien budzić w niej wyłącznie niechęć. Przecież był synem mordercy.

Ktoś wsunął jej w rękę kieliszek z winem. Obejrzała się i zobaczyła stojącego obok Harveya. Spoglądał na nią ze współczuciem. Ale dlaczego? Uśmiechnęła się, nieco speszona, że zauważył jej rozterkę. Jak na kogoś, kto tyle wypił, wydawał jej się teraz zadziwiająco trzeźwy.

- Wina nam na pewno wystarczy - zauważył, kiedy odstawiła pusty kieliszek.

-Następną kolejkę?

Celia zdawała sobie sprawę, że Northington wciąż na nią patrzy. Z uśmiechem pokręciła głową.

- Nasz stary Harvey chyba zaleca się do pani - zauważył Colter. Zbyła to lekceważącym wzruszeniem ramion. Myśl sobie, co chcesz, uznała.

Taras rozbrzmiewał ognistą muzyką. Nagle jedna z kruczowłosych Cyganek wyrwała się z roztańczonego kręgu i stanęła tuż przed gośćmi. Podparła się pod boki i czarnymi oczami wyzywająco spojrzała na lorda Northingtona.

- Każesz nam grać, milordzie, a wcale nie słuchasz. Chodź, znów zatańczymy razem.

Znów? Celia zerknęła na nią spod oka. Cyganka odpowiedziała jej dumnym uśmiechem.

- To znakomity tancerz. Prawda, *señorita*? Niczym prawdziwy Cygan, chociaż się zarzeka, że nim nie jest. Chodź, milordzie.

- *Señorita* zrobi to o wiele lepiej, Marito. Naucz ją kilku kroków.

- Nie! - gwałtownie zaprotestowała Celia. - Nie chcę tańczyć.

- Nie? - Marita odrzuciła w tył gęste czarne włosy i wzruszyła ramionami. - To prawda, że nie każdy potrafi dorównać Cygance. Więcej w nas ognia, więcej pasji... Wszystkie Angielki, które spotykałam, najzwyczajniej były niezgrabne.

- Nie jestem Angielką - sztywno odpowiedziała Celia - i nie jestem niezgrabna.

- Nie? - Czerwone usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu. - To dlaczego stoisz jak pień dębu, toporna i nieruchoma? Nie chcesz tańczyć, bo dobrze wiesz, że nie zrobisz tego jak Cyganka.

Wszyscy patrzyli teraz na zaczerwienioną Celię. Jacqueline roześmiała się wesoło.

- Spróbuj, Celio! - zawołała zachęcającym tonem. - To może być przyjemne.

- Nasze dziewczęta nie powinny brać udziału w takich pogańskich zabawach - oburzyła się pani Pemberton. - Na przykład moja siostrzenica nigdy...

- Ależ ciociu Agatho - cicho przerwała jej Olivia - przecież to nic strasznego.

- Dobrze, spróbuję - powiedziała Celia - ale pod warunkiem, że nie będę sama. Zapraszam też Carolyn i pannę Freestone.

Marita klasnęła w dłonie i podskoczyło do niej dwóch śniadych młodzieńców.

Powiedziała coś szybko, niby po hiszpańsku, ale w dziwnym dialekcie. Jeden z młodych Cyganów natychmiast wziął Celię za rękę, drugi zaś przyprowadził Caro i Olivię.

Pani Pemberton zrobiła zgorszona minę, ale Jacqueline tylko się uśmiechała.

Cygan otoczył Celię ramieniem na wysokości talii. Zachnęła się, ale pokręcił głową i zagadał coś w swoim narzeczu. Wskazał w dół. Celia spojrzała na jego nogi i próbowała zapamiętać kroki. Wydawały jej się bardzo proste. W zasadzie nie różniły się niczym od kroków, które *od* dawna знаła. Inne były jedynie ruchy reszty ciała i rytmiczne przytupywanie.

Z zafascynowaniem patrzyła na Maritę. Cyganka całą duszę wkładała w taniec. W powietrzu wibrował srebrzysty brzęk dzwoneczków, które nosiła na obu rękach, przyczepione do bransoletek. Zachowywała się tak, jakby tańczyła dla kochanka. Strzeliła palcami wysoko nad głową i uwodzicielskim ruchem przesunęła się w stronę Northingtona. Cygan, tańczący z Celią, wydał głuchy pomruk, kiedy Marita na chwilę przywarła do Coltera, a potem zalotnym krokiem wybiegła na środek tarasu, wyraźnie zachęcając go, żeby poszedł za nią.

I naprawdę poszedł! Celia wstrzymała oddech. Northington patrzył wyłącznie na Maritę. Walił obcasami w kamienną posadzkę, klaskał i tańczył z niebywałą gracją, jakby nic innego nie robił od wieków. Celia uświadomiła sobie, że Cyganka musiała znać go nie od dzisiaj. Widziała to po jej oczach i uśmiechu... Byli wcześniej ze sobą, pomyślała z zawiścią. Sama nie wiedząc czemu, tak się tym przejęła, że pogubiła kroki. Zachwiała się. Młody Cygan szybko podtrzymał ją za łokieć.

- *Señorita?* - zapytał cicho i zmierzył ją spojrzeniem. Uśmiechnęła się, żeby ukryć zakłopotanie.

Przeklęty Northington! Przecież to jeszcze jeden podstęp z jego strony. Emanował czarem, jakby chciał pokazać, że żadna z pięknych kobiet nie zdoła mu się oprzeć. Celia doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jak go zignoruje. Nie zasłużył na moje względy ani na uwagę, pomyślała kąśliwie.

Tańczyła z młodym Cyganem. Po chwili spostrzegła, że wystarczy z jej strony troszeczkę skupienia, aby mogła bez trudu powtarzać jego ruchy. Zatopiła się w tańcu. Niczym zwiewny obłok mknęła nad tarasem w rytm skocznej muzyki. A Cyganie grali coraz szybciej, szybciej, szybciej... Celia uniosła ręce nad głowę tak samo jak przedtem Marita. Nagle poczuła się zupełnie wolna od wszystkich ziemskich zmartwień.

Może to dobrze? - pomyślała. Może lepiej nie czekać, co przyniesie jutro, ale żyć wyłącznie tym tańcem, tą chwilą? Och, jestem już zmęczona ciągłymi intrygami. Naiwnie wierzyłam, że pomszczę pamięć matki.

Beznadziejna sprawa. Hrabia Moreland był poza jej zasięgiem, niedostępny nawet dla sprawiedliwości. Nie wybrałaby się w tę niełatwą podróż, gdyby wcześniej wiedziała, że tak jest w Anglii.

Miała łzy w oczach. Broniąc się przed rozpaczą, tańczyła do upadłego - spocona i zdyszana. Wzięła przykład z Marity, wyjęła spinki z włosów i niedbałym ruchem rzuciła je na ziemię. Potrząsnęła głową. Długie jasne loki świetlistą kaskadą spływały jej na ramiona. Chciała o wszystkim zapomnieć. O matce, o przeszłości, o etykietce i o Northingtonie.

Colter przypatrywał się Celi. Wzbierał w nim gniew. Boże, tylko siebie mógł winić za to, co się stało. Skąd miał wiedzieć, że zimna i oschła kolonistka w mgnieniu oka przemieni się w dziką Cyganke? Harvey aż się zakrztusił kolejnym łykiem porto i spoglądał na Celię, jakby ją widział pierwszy raz w życiu, a Cyganie... Dość. Trzeba to przerwać, zanim dojdzie do czegoś gorszego. Młody Mario już tańczy za blisko Celi.

Lady Leverton szeroko rozwartymi oczami patrzyła na młodą kuzynkę. Na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania. Pani Pemberton zerwała się na równe nogi i stanowczym głosem przywołała do siebie Olivię. Colter wyszedł na środek tarasu i ostrzegawczo spojrział na młodego Cygana. Mario w lot zrozumiał, o co chodzi, i bez słowa cofnął się w stronę orkiestry.

- Co, u licha, pani wyprawia? - cicho zapytał Northington, ale w jego głosie pobrzmiwało wyraźne wzburzenie.

- Jak to co? Tańczę, milordzie. - Twarz Celi była mokra od potu, a zielone oczy lśniły. - Zgodnie z pana życzeniem.

Odskoczyła od niego, zanim coś odpowiedział. Ruszył za nią i dopadł ją pod drugą ścianą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy na nich patrzą. Stary

Santiago uśmiechał się od ucha do ucha. Niech diabli porwą tę kocicę! Dobrze wiedziała, co robi.

Celia wyciągnęła ręce ponad głowę, naśladując wcześniejsze prowokujące zachowanie Marity.

- Proszę przestać! - powiedział Colter.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała stalowa nuta. Celia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie kuś mnie, moja mała, bo jeszcze kilka sekund i klnę się na Boga, że nie rękę za siebie!

Muzyka ucichła. Celia zatrzymała się i opuściła ręce.

- Co do tego nie mam najmniejszych złudzeń, milordzie. Przecież jedynie po to pan mnie tu zaprosił.

- A jednak przyjęła pani moje zaproszenie.

- Tak - odparła niemal szeptem. Usta jej drżały, ale nie wiedział, czy z gniewu, czy z podniecenia. - Przyjęłam.

- W takim razie nie warto dłużej zwlekać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hałas, muzyka, śmiechy i gniewna reprimenda, której pani Pemberton udzielała nieszczęsnej Olivii, zlały się w uszach Celi w jeden głuchy pomruk. Patrzyła na Northingtona. Wreszcie nadszedł moment, na który z obawą czekała od przyjazdu. Mimo to była zaskoczona. Spodziewała się, że Northington zechce z nią porozmawiać z dala od ludzi, a nie przy tylu świadkach, w obecności Jacqueline.

- Już w tej chwili mam rzucić się panu w ramiona? - zapytała ze złością. - Czy też może poczekać, aż będziemy sami? Niech mi pan powie, co powinnam zrobić...

Przecież podobno jestem zadurzona!

- A to nieprawda? - spytał z cierpkim uśmiechem. - To nie ja popisuję się na oczach tylu widzów.

- To były popisy? Myślałam, że taniec.

- Dobre sobie! Chyba nie jest pani aż taka naiwna, żeby nie wiedzieć, co się teraz dzieje z mężczyznami. Proszę, tam stoi Mario. A tam Harvey. Wystarczy skinąć, aby obaj przybiegli zedrzeć z pani suknię. Właśnie to chciała pani nam wszystkim udowodnić? Udało się! Nawet stary Santiago nie miałby nic przeciwko miłosnym karesom. Nie. - Gwałtownie chwycił ją za rękę. - Ucieczka w niczym nie pomoże. Jeśli pani odejdzie, to pomyślę sobie, że zachowała się pani na pokaz jak Marita.

- Jeżeli zaś zostanę - powiedziała Celia, siłąc się na spokój - będę miała wrażenie, że jestem równie łatwa jak wspomniana Marita.

Northington milczał przez chwilę.

- Zawsze mnie pani czymś zaskoczy - rzekł w końcu. - W niecodzienny sposób potrafi pani lawirować pomiędzy szczerością a fałszem.

- Liczył pan na to, że zaprzeczę? Otóż nie. Jest pan... uwodzicielski, pociągający i interesujący. Wciąż nie wiem, co się za tym kryje. Może to tylko

pozór? - Wzruszyła ramionami. - Chętnie dowiem się prawdy, lecz nie za cenę mojej reputacji.

- Powiem coś pani z doświadczenia: reputacja przemija jak kolejny sezon. Dziś jest, jutro jej nie ma i na pewno nie grzeje w długie zimowe noce.

- To męski punkt widzenia. W dodatku jest pan członkiem angielskiej socjety.

Wybaczą panu najgorszą zbrodnię.

- Czyżby? Nawet hrabia może znaleźć się na cenzurowanym. Dzisiejszy występ pozwala sądzić, że pani raczej nie dba o opinię.

- Po jednym tańcu nie odmówią mi wejścia na salony. Chyba że pan o to zadba.

- To już zostawiam pani Pemberton. Celia uśmiechnęła się.

- Jej akurat się nie boję. Nie zdradzi, że jej siostrzenica tańczyła z Cyganami.

- Nieważne. - Ujął jej łokieć i odwrócił w stronę pozostałych gości. - O reszcie pomówimy później. Uczynię wszystko, żeby się tutaj pani nie nudziło.

Nie musiała pytać, co ma na myśli. Celia wróciła na swoje dawne miejsce. Carolyn i Olivia gratulowały jej występu.

- Jesteś gibka jak Cyganka! - entuzjastycznie zawołała Caro. - W porównaniu z tobą ruszałam się jak mucha w smole.

Marita była mniej wylewna. Wzruszyła ramionami.

- Nieźle - burknęła. - Chociaż nikt by cię nie pomylił ze mną albo Rosą.

- Nie bój się - odpowiedziała znaczącym tonem. - Nie zajmę twojego miejsca. Była pewna, że Cyganka zrozumiała, co Celia chciała powiedzieć.

Marita zerknęła na Northingtona i pochyliła się w stronę Celi.

- *Señor* woli ognistą krew od kawałka lodu. Zupełnie się ciebie nie boję, *señorita!* - rzuciła półgłosem.

Celia nie zdążyła nic na to odpowiedzieć, bo w tej samej chwili Jacqueline położyła jej dłoń na ramieniu.

- Robi się chłodno, kochanie. Wracamy do salonu.

Niech go diabli wezmą! - pomyślała Celia pod adresem Northingtona. Jak gdyby nigdy nic wziął Maritę za rękę i podszedł do Cyganów. Zaczęli rozmawiać po hiszpańsku. Widać było, że są zaprzyjaźnieni. W luźnej białej koszuli, dopasowanych spodniach i butach z cholewami lord Northington sam wyglądał jak Cygan. Jacqueline, Olivia i pani Pemberton zniknęły w salonie. Celia poszła za nimi. To nawet dobrze, że Northington został na tarasie, pomyślała. Z minuty na minutę bardziej żałowała, że zgodziła się na tę wizytę. Olivia Freestone doprowadzała ją do szafu swoim zachowaniem, a Caro była podekscytowana ponad miarę.

- Och, jak tu pięknie - szczebiotała, wtulona w miękki fotel, popijając wino zmieszane z korzeniami. - Cieszysz się, Celio?

- Tak. Bardzo pięknie. Musicie mi wybaczyć, ale padam z nóg po tym tańcu.

Najlepiej zrobię, jak się położę. Przepróście ode mnie lorda Northingtona.

Nie zwracając uwagi na spłoszoną minę i nieśmiałe protesty lady Leverton, Celia wstała i poszła na piętro do pokoju, który oddano jej na czas pobytu. Czekala tam na nią Janey. Niestety, Lily została w Londynie. Janey, choć miała dobre chęci, spisywała się dużo gorzej.

- Widziałam panią przez okno - powiedziała nieśmiało. - Wspaniale pani tańczyła, panno St. Clair. Najlepiej ze wszystkich.

- Naprawdę? Bardzo ci dziękuję, choć dobrze wiem, że kilka osób nie podziela twojego zdania. Nie, sama się uczesz. Mam prośbę, zejdź potem na dół i pozbieraj moje spinki z tarasu.

- Tak, proszę pani. Te perłowe?

- Właśnie. Jak już pościelisz łóżko, będziesz wolna na dzisiejszy wieczór. Zaraz się kładę.

Chciała być sama, żeby przemyśleć wszystkie ostatnie wydarzenia i znaleźć sposób, by bezboleśnie wyplątać się z tej sytuacji. Źle zrobiłam, że przyjechałam, uznała. Jacqueline mnie do tego namówiła. Musi mieć się na baczności. Ze zgrozą przypomniała sobie, co poczuła, widząc Maritę w tańcu z Northingtonem.

- Ale ja już kazałam nagrzać wodę do kąpieli - powiedziała Janey. Celia rzeczywiście wspominała wcześniej, że pragnie się wykapać przed zaśnięciem.

- Lokaj zaraz przyjdzie.

- Bardzo dobrze. Zapomniałam... Balia jest w pokoju obok, prawda? Janey skinęła głową.

- To wielka izba, proszę pani! Z ogromną balią, do połowy wpuszczoną w podłogę! James... ten lokaj mówił, że to rzymska wanna. Podobno zrobiono ją na rozkaz lorda.

- Przyjdź po mnie, kiedy wszystko już będzie gotowe.

- Tak, proszę pani.

Ktoś cicho zapukał. Janey otworzyła drzwi i do pokoju zajrzała Carolyn.

- Wszystko w porządku, Celio? - zapytała.

- Oczywiście. Jestem tylko zmęczona. A ty?

- Tak... i nie. - Carolyn roześmiała się i weszła do środka. Celia jeszcze nigdy nie widziała jej tak zadowolonej.

- Chodź - powiedziała zachęcającym tonem. - Chcesz o czymś porozmawiać? Przez twarz Caro przemknął cień ulgi. Z radością skinęła głową.

- Właśnie. Nie miałyśmy zbyt wiele czasu dla siebie... - Urwała. - Gdyby nie ty, lord Northington na pewno by nas nie zaprosił. Przyznam ci się, że jestem bardzo ciekawa, czym jeszcze zamierza zaskoczyć gości.

- Ja też - szczerze odpowiedziała Celia i obie wybuchnęły śmiechem. Jednak rozsądniej było zmienić temat rozmowy. Celia usiadła na wysokim krześle przed marmurowym kominkiem.

- Może opowiesz o weselnych planach - zaproponowała - i oczywiście o narzeczonym. Co myślisz o przyszłości?

Caro zajęła fotel po drugiej stronie.

- Melwyn to miły chłopak. Znamy się od dziecka. Wyswatano nas już dawno, więc powiem ci zupełnie szczerze, że nigdy nie myślałam, iż coś się może zmienić. Nie wyobrażam sobie innego męża. Dobrze mi z tym. A ty? Masz jakieś plany?

- Ja? Najwyżej do przyszłego roku. - Celia odruchowo wygładziła spódnice. Nie chciała teraz myśleć o Northingtonie ani o Morelandzie. Ani też o tym, jak zrealizować wyznaczony cel.

- Zazdroszczę ci. Jesteś taka śmiała, odważna. Daleko mi do ciebie. Nie wybrałabym się w taką podróż, nie widziałabym tego, co ty zobaczyłaś...

- Przecież byłaś we Francji - przypomniała jej Celia. - Na pewno znasz świat dużo lepiej ode mnie.

Carolyn tylko machnęła ręką.

- Wszyscy jeżdżą do Francji. A to niedaleko, chociaż i tak zrobiłam się zielona, kiedy przepływaliśmy przez Kanał. Potem większość czasu zeszła nam na zakupach. Nie było w tym nic z przygody. Nie musiałam zamieszkać w nowym, obcym miejscu, wśród nieznanymi ludzi. Brak mi na to odwagi. Moje życie już zawsze będzie nudne i proste. Wiem, co zrobię jutro - to samo co wczoraj. Na to wyznanie Celia nie potrafiła znaleźć rozsądnej riposty. Miała przyznać, że marzy o nudzie i stabilizacji?

- Dla mnie to nie przygoda - wyznała. - Wiesz, jak się czasami boję? Nie mam pojęcia, co by się ze mną stało, gdyby nie Jacqueline.

- Tak. Mama jest wspaniała.

- Podziękuj Bogu, że wciąż masz ją przy sobie - cicho powiedziała Celia. - Jest jeszcze na dole?

- Nie, poszła już do siebie. Podoba ci się lord Northington? - Carolyn zaśmiała się, widząc na twarzy Celi wyraz zaskoczenia. - Och, doskonale wiem, że to nie moja sprawa. Ale dlaczego miałabyś być inna niż wszystkie dziewczęta w Londynie? Nie chcesz zostać hrabiną?

- Co z tego jeśli nawet chcę? To przecież niemożliwe.

- Tylko mi nie mów, że nigdy o nim nie myślałaś. A po co nas tu zaprosił? Przecież nie będzie się zalecał do panny Freestone! Nas zabrał tylko ze względu na ciebie, żeby uniknąć skandalu. To po prostu cudowne!

- Chyba się mylisz.

- Na pewno nie! Och, Celio... Widziałam, jak na ciebie patrzył na ostatnim balu. Zaproszenie przyszło dzień później. Dobrze wiesz, że tutaj poza nim nikt nie bywa... No, może poza nim i Cyganami...

- To chyba najlepiej określa jego intencje - sucho zauważyła Celia. Carolyn zachichotała.

- Powiedz mi... Byłaś... byłaś już kiedyś z mężczyzną?

- Niby gdzie? Ach, masz na myśli... Caro! Co to za pytanie?!

- Ale byłaś?

Celia pożałowała, że w ogóle zgodziła się na tę rozmowę.

- Nie - odparła. - Nie w ten sposób, o którym myślisz.

- To są jeszcze inne sposoby?

Ależ z ciebie naiwna gąska, pomyślała Celia.

- O takich sprawach powinnaś raczej porozmawiać z matką - podsunęła, ale Carolyn stanowczo pokręciła głową.

- Wstydzę się. Mama udaje bardzo nowoczesną, ale pewne rzeczy są dla niej krepujące. Zupełnie nie mam kogo spytać. Raz zagadnęłam starą piastunkę o to, co robić w noc poślubną. Odpowiedziała mi, że przyzwoita panna nie myśli o tym do wesela. Poszłam więc do Charlotte. To moja przyjaciółka, która wyszła za mąż parę miesięcy temu. Skrzywiła się. Powiedziała, że było ciemno, szybko zamknęła oczy i wyobrażała sobie, iż jest w Brighton, tak jak jej poradziła matka.

- Znakomita rada - z przekąsem mruknęła Celia.

- Właśnie. Wiesz więcej od Charlotte. Nie o to chodzi, że w tych sprawach masz dużo doświadczenia, ale po prostu jesteś... pomysłowa.

- Pomysłowa - powtórzyła Celia, nie wiedząc sama, czy się roześmiać, czy obrazić. Przypomniała sobie młode lata, spędzone w sierocińcu. Wszystkie dziewczęta wieczorami mówiły o chłopakach. Niektóre nawet już się całowały. Śmiechu i szeptów było co niemiara. Najodważniejsze bez żenady opowiadały o seksie. Była to lekcja życia, której nie udzieliły im zakonnice.

Carolyn milczała z wyczekującą miną.

- Chyba naprawdę wiem coś więcej od Charlotte - powoli powiedziała Celia. Najtrudniej szło jej na początku. Potem jednak, najlepiej jak umiała, a przy okazji zwięźle, opisała podstawy współżycia małżeńskiego. Carolyn słuchała jak oniemiała. To była dla niej całkowita nowość.

- Nikt wcześniej o tym ci nie mówił? - prosto z mostu zapytała Celia. Caro pokręciła głową.

- Nie. O, rety. To o wiele bardziej... intymne, niż się spodziewałam.

- Jeśli kochasz Melwyna, to wszystko w porządku. Zaznasz z nim szczęścia. Będziesz wyczekiwała na jego pieszczoty, czułe pocałunki...

Carolyn nerwowo skubnęła koronkę przy sukni.

- Prawie go nie znam. Myślisz, że naprawdę zdołam go aż tak pokochać, żeby mu pozwolić...

Celia westchnęła. Nie znała się na fizycznych aspektach miłości. Pamiętała jednak, co czuła w objęciach Northingtona. Pamiętała obezwładniającą falę gorąca... Aż się wstrząsnęła ze zdziwieniem. Skąd u niej ten nagły przypływ uczuć do mężczyzny? I to do Northingtona!

- Myślę - powiedziała powoli, czując na sobie wzrok Carolyn - że w pewnej chwili biorą w nas górę zupełnie naturalne instynkty...

Tak. To było jedyne racjonalne wytłumaczenie. Tylko w ten sposób mogła wyjaśnić to, co się z nią działo w alkwie.

- Łaska boska - z westchnieniem szepnęła Carolyn. - Mam nadzieję, że w odpowiedniej chwili przyjdą mi na ratunek.

Weszła Janey i rozmowa się urwała. Carolyn wstała z fotela.

- Idź się kąpać, Celio, a potem porządnie wypocznij. Dobranoc.

- Spróbuję - odparła Celia. Ucieszyła się, że Caro wreszcie poszła. Dzień był wystarczająco męczący i długi. Janey przyniosła jej ręczniki i nocną koszulę.

- Nie musisz mi pomagać przy kąpieli - powiedziała Celia. Była już jedynie w muślinowej halce. - Przez całe lata byłam zdana wyłącznie na siebie, więc dzisiaj też dam sobie radę. Idź spać, Janey. Już bardzo późno.

Nareszcie sama, pomyślała, kiedy drzwi zamknęły się za pokojówką. Weszła do pokoju obok, zdjęła halkę i pomału zanurzyła się w gorącej wodzie. Balia, a raczej wanna była głęboko wpuszczona w podłogę. Celia z ulgą wciągnęła w nozdrza świeży zapach soli do kąpieli.

Związała włosy w luźny węzeł na czubku głowy i oparła się o krawędź wanny.

Czuła, jak z wolna uchodzi z niej zmęczenie. Zamknęła oczy i zanurzyła się po samą szyję. Z przyjemnością wsłuchiwała się w cichy trzask ognia płonącego w kominku.

Pierwszy raz od długiego czasu mogła się odprężyć i wypocząć. Może pod wpływem wina i zmęczenia poczuła, że odpływa w błogą nieświadomość...

W tej chwili nic nie było ważne. Ani przeszłość, ani dzień dzisiejszy, ani nawet jutro.

Coś ciepłego dotknęło jej policzka. Drgnęła jak dźgnięta nożem i niechcący zaalała sobie wodą twarz i oczy.

- Witaj, syrenko - cicho powiedział Northington. Ledwie go widziała, lecz była przekonana, że się uśmiecha.

Tylko tym razem uśmiech był jego jedynym przybraniem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przerażona Celia zakryła rękami piersi i zanurzyła się głębiej. Chwilę trwało, zanim zdołała zapytać:

- Co pan tu robi? - Zamiast głośno się oburzyć, zaledwie szepnęła. Northington był tak blisko, że wyraźnie widziała jego połyskliwą skórę, ciemnoniebieskie oczy i białe zęby. Gdyby wstał, na pewno zobaczyłaby więcej niż powinna. Strach chwycił ją za gardło.

- Nie wie pani? - spokojnie zapytał Colter. Zabrzmiało to całkiem zwyczajnie, bez złośliwości.

Może właśnie dlatego Celia nie znalazła ciętej odpowiedzi. Tym bardziej że wiedziała, po co przyszedł. Serce waliło jej jak oszalałe.

- Owszem - wymamrotała w końcu. - Chyba wiem.

- Nie spodziewałem się, że znajdę w łazience syrenę, ale to miła niespodzianka...

Och, nie! Niech się pani nie wstydzi. Teraz i tak na to już za późno. Pod wodą wszystko widać.

Łagodnie ujął ją pod brodę i odwrócił jej głowę w swoją stronę. Celia podciągnęła kolana do piersi. Colter zachowywał się spokojnie. Nie było w nim nic z dawnej agresywności. Mimo to Celia z trudem powstrzymywała się, żeby nie wyskoczyć z wanny i nie uciec.

- Proszę - powiedziała roztrzęsionym głosem - nie jestem... Proszę mnie zostawić samą.

- Nie, nie... Przecież naprawdę pani tak nie myśli. - Colter pogładził Celię po twarzy. Zadrżała lekko, co sprawiło, że Colter znowu się uśmiechnął. - Mam rację?

- Nie. W ogóle...

Nagle Colter pochylił się, tak że poczuła żar bijący od jego ciała. Dziwne, przemknęło jej przez głowę. Chcę, żeby mnie całował, by muskał ustami moje ucho, tak jak to robi teraz...

- Cudownie - mruknął i wsunął dłoń pod wodę, szukając jej piersi. - Nie przypuszczałem, że we własnym domu spotkam tak piękną syrenę.

- Nie chciałam pana zaskoczyć. Przyszłam się wykapać... Och, nie... Proszę tego nie robić.

- Tego? - Zamknął jej pierś w swojej dłoni.

Celia poczuła dreszcz rozkoszy. Jej opór topniał z każdą chwilą. Miała wrażenie, że właśnie na ten dzień czekała przez całe życie.

Najlepiej będzie, jeśli w ogóle przestanę o tym myśleć, postanowiła w duchu. Niech on podejmie za mnie decyzję. Northington nagle znalazł się koło niej. Zanurkował i przywarł ustami do jej piersi, a dłońmi pieścił ciało Celi, aż ze stłumionym jękiem do niego przywarła. Wynurzył się, objął ją i przytulił do szerokiego torsu. Celia nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Przymknęła oczy i z zapamiętaniem spijała smak jego pocałunków.

Nagle uniósł ją bez wysiłku i wsunął się między jej nogi. Pozwoliła mu na to. Pod palcami poczuła, jak mięśnie jego ramion sprężyły się w nagłym skurczu. Colter cofnął się, a potem pchnął odrobinę i znów się cofnął. Celia instynktownie wygięła się w jego stronę.

- Nie, nie ruszaj się, kochanie. Jeszcze nie teraz.

Zacisnęła dłonie na jego ramionach. Colter poruszył się i dreszcz rozkoszy przeszył jej gibkie ciało. To w niczym nie pasowało do jej wyobrażeń. Nie odpowiadało temu, co wcześniej mówiła Caro. Colter pocałował ją, wziął w ramiona i wyniósł z wanny. Celia zadygotała, kiedy chłodny powiew owionął jej rozgrzaną skórę.

- Dokąd mnie pan zabiera, milordzie?

Przeszedł na drugą stronę pokoju do drzwi sypialni. Celia już nie musiała pytać o nic więcej.

W pokoju stały masywne meble i duże, osłonięte ciemną draperią łóżko.

- Cała drzysz - powiedział Colter. - Zaraz cię rozgrzeję. Nie, wszystko w porządku. Nikt tutaj nam nie przeszkodzi. - Położył ją na łóżku i nakrył własnym ciałem. - Nie skrzywdzę cię - powiedział cicho. - Nie musisz się mnie obawiać.

- Nie... boję się... - wyjąkała. - To... tylko...

- Wiem. - Pocałował ją w czoło, w zamknięte powieki, w czułe miejsce za uchem. - Otwórz oczy, Celio. Możesz na mnie spojrzeć?

- Oczywiście, że mogę, lecz nie wiem, czy powinnam... Usłyszała jego stłumiony śmiech. Colter pogładził ją po policzku.

- Och, ty mała lisiczko. Wciąż jesteś pełna sprzeczności. Chyba to właśnie pociąga mnie w tobie najbardziej.

Uchyliła powieki.

- Kłamca.

- Cóż, przyznaję, że trochę przesadzam. To też jest ciekawe - położył dłoń na jej piersi - i to - zsunął rękę w dół brzucha, poniżej bioder. - Cudownie! Od początku wiedziałem, że masz gładką i miękką skórę.

Serce waliło jej jak oszalałe, a iskierka, którą rozniecił wcześniej, teraz strzeliła w górę wysokim płomieniem. Miał magiczne dłonie i palce. Do ucha szeptał jej zaklęcia, zapewniał, że jest cudownie piękna i że pragnął jej od chwili pierwszego spotkania.

- Wiedziałem, że jesteś zupełnie inna niż wszystkie - powiedział cicho, gładząc ją po wilgotnym i wciąż drżącym ciele. - Miałbym ci się oprzeć?

- Milordzie...

- Colterze. Po co te formalności, kochanie? Właśnie. Tym bardziej że jesteśmy w zupełnie nieformalnej sytuacji, pomyślała Celia, ogarnięta namiętnością. Colter potrafił rozproszyć jej wątpliwości i obawy.

- Ach nie, kochanie - powiedział, kiedy instynktownie złączyła kolana. - Teraz już nie ma czasu na wahanie. Otwórz się dla mnie... Tak... O, właśnie. Podoba ci się?

- Tak, ale nie mogę myśleć!

- Bo to nie pora na myślenie. Oddaj się uczuciom.

Pocałował ją. Poczwała nagły ucisk i lekko napięła mięśnie, lecz mimo to nie była przygotowana na siłę, z jaką Colter dokonał inwazji. Przeszył ją dreszcz i chyba krzyknęła. W tej samej chwili usłyszała zdumiony głos partnera.

- A to co takiego?! - Colter cofnął się i wsparł na rękach.

Celia zmrużyła oczy, żeby go lepiej widzieć. Zauważyła, że gniewnie zmarszczył brwi i przyglądał się jej z napięciem.

- Jesteś dziewczicą! - rzekł, na dobre rozzłoszczony jej milczeniem. - Mogłaś mi powiedzieć!

- Co to za różnica?

- Jeszcze pytasz? Nie uwodzę niewinnych panien.

- W takim razie musisz zmienić zwyczaje, bo już się stało. Zapadło milczenie.

Wreszcie Colter westchnął z głębi piersi.

- Na to wygląda. Celio, dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

- Cóż... Chyba powinnam.

- Co ty powiesz?! - Colter roześmiał się. - Będę tego żałował, ale skoro zacząłem...

Pochylił się nad nią, otoczył rękami i na nowo zaczął całować.

- Przytul mnie - szepnął.

Celia najpierw ostrożnie, lecz potem coraz śmieiej dopasowała się do jego ruchów.

Wreszcie Colter wydał z siebie głuchy okrzyk i gwałtownie targnął ciałem. Celia już od dłuższej chwili miała zamknięte oczy, zatopiona we własnej ekstazie. To wszystko dla niej było zupełnie nowe i cudowne. Nie przywykła do takich

emocji, ale wiedziała, że następnym razem... Będzie następny raz? - pomyślała z nagłym zdumieniem. Nie! Tak. Nie wiem...

Colter zsunął się z niej i położył obok. Wziął ją za rękę i ciasno przygarnął do siebie.

- Chciałbym zatrzymać cię tu aż do rana - szepnął, muskając ustami jej włosy - lecz nie możemy ryzykować. Prawdę mówiąc, jeszcze sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, więc zapewne nie umiałbym przekonać lady Leverton do swoich racji. Zgadzasz się ze mną?

Popatrzyła na niego i skinęła głową.

- Chyba nie sądzisz, że zamierzam psuć sobie reputację?

- Poszłaś ze mną do łóżka, chociaż byłaś dziewicą, a jednocześnie troszczysz się o reputację. Nie zrozum mnie źle, ale muszę ci zadać pewne pytanie. To dla mnie bardzo ważne. Co tu właściwie robisz?

- Zaprosiłeś mnie.

Przestał ją gładzić po twarzy. Na chwilę spojrzął w bok i mocno zacisnął usta.

- Nie udawaj, Celio. Przecież doskonale wiesz, o co pytam. Flirtowałaś ze mną od początku. Robiłaś to tak umiejętnie, iż byłem przekonany, że mam do czynienia z kobietą doświadczoną. Musiałaś mieć jakiś powód.

- A ty nie? - spytała prosto z mostu. - Powiedzmy sobie szczerze: chciałeś mnie wziąć do łóżka. No to jestem!

- Czego pragniesz w zamian? - Położył jej rękę na brzuchu i uśmiechnął się tak jak dawniej, po swojemu.

- Żebyś szanował moje życzenia i zachował nasz romans w tajemnicy. Zrobisz to?

- To wszystko?

- Tak, to wszystko, czego od pana oczekuję, milordzie.

- Colterze - przypomniał jej. - Wciąż mnie zaskakujesz. Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać.

Wiedziała, że w tej chwili ma nad nim przewagę. Objęła go za szyję i przyciągnęła, tak że jego usta znalazły się tuż przy jej wargach.

- Spodziewaj się niespodzianek, Colterze.

Pocałowała go, a on po chwili wahania odpowiedział jej równie namiętnym pocałunkiem. Niedługo trwało, a znów się znaleźli w miłosnym uścisku.

Tym razem zaczęli dużo wolniej, spokojniej, ale w miarę upływu czasu ich ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze. A kiedy nastąpił koniec, Celia przez chwilę leżała zatopiona w błogiej rozkoszy.

Później wrócili razem do pokoju łazienkowego. Colter starannie obmył Celię.

Zachowywał się tak, jakby robił to już tysiące razy. To też dawało jej pewne ukojenie po niedawnych przeżyciach. Następnie odprowadził ją do drzwi sypialni, zatrzymał się, ujął ją pod brodę i delikatnie pocałował w usta. Celia odruchowo zaciągnęła poły zwiewnego szlafroka, który włożyła po kąpieli. Nagle poczuła się zakłopotana.

- Wydaje mi się - cicho powiedział Colter - że za dzisiejszą nocą kryje się coś więcej, niż chcesz mi wyjawić. Porozmawiamy o tym jutro. Teraz powinnaś odpocząć.

Jutro? To stanowczo za wcześnie! Nie wiem, czy zdołam rano spojrzeć mu prosto w oczy... A Jacqueline? Przecież na pewno pozna, co się stało! Mam nadzieję, że nie pożałuję tej chwili słabości, pomyślała Celia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Celio, kochanie, jesteś bardzo blada! - Jacqueline, zaniepokojona, nachyliła się w jej stronę. - Źle się czujesz?

- Nie, to tylko migrena.

- Wypałaś się?

Celia zmusiła się do uśmiechu.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Gdyby nie ten ból głowy...

- Chcesz, żeby Janey przyniosła ci jedną z moich mikstur?

Siedziały na tarasie. Poranne słońce jeszcze nie rozpędziło resztek nocnej mgiełki, otulającej jesienne kwiaty. Na nakrytym śnieżnobiałym obrusem stole połyskiwały srebrne sztucce. Obok czekały przekąski.

W Kent było dużo cieplej niż w Londynie. Celia zmrużyła oczy przed słonecznym blaskiem i pokręciła głową.

- Nie trzeba, samo przejdzie. Zdaje się, że wczoraj wypiałam trochę za dużo wina.

Nie jestem do tego przyzwyczajona.

- Ale to był cudowny dzień. Tańczyłaś wspaniale! Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Już dawno się tak dobrze nie bawiłam.

- Pani Pemberton jest innego zdania - z lekkim uśmiechem wtrąciła Carolyn i odstawiła na stół filiżankę gorącej czekolady. - Jeszcze w nocy słyszałam, jak wymyślała nieszczęsnej Olivii. Powinnaś być zadowolona, Celio, że twój pokój jest tak daleko od naszych. Z powodu jej krzyków nie zmrużyłabyś oka.

- Co ty powiesz? - Celia starała się zapanować nad drżeniem dłoni, w której trzymała filiżankę. Każde słowo na temat minionej nocy wywoływało w niej wzburzenie. Co miała zrobić lub powiedzieć na widok Coltera? Dobrze, że rano nie zszedł na śniadanie. Renfroe poinformował, że lord Northington przed świtem wybrał się na obchód włości.

- Jego lordowska mość prosi o wybaczenie, ale spotka się z państwem później. Oczywiście stajnie i powozy są do państwa dyspozycji. Szczerze polecam wycieczkę do Houghan - dodał na koniec i pani Pemberton natychmiast wyraziła życzenie, by po śniadaniu wybrać się tam z Olivią.

- Dobrze, że pojechały - orzekła Jacqueline po skończonym posiłku. - Teraz pójde do siebie napisać parę listów. Wy zaś róbcie, co chcecie - zwróciła się do dziewcząt.

- Masz jakieś plany, Celio? - zapytała Carolyn. - Jeździsz konno? Celia dostrzegła jej proszące spojrzenie i skinęła głową.

- Spróbuję. Szkoda tylko, że pani Pemberton zabrała dwukólkę z kucykiem.

- O nic się nie martw. Na pewno znajdziemy spokojną klacz. Pokażę ci, co należy robić.

- Może przejażdżka po świeżym powietrzu rzeczywiście dobrze mi zrobi - uznała Celia, wstając od stołu.

Poszły z Carolyn kamienną ścieżką, wiodącą do stajni. Ranek był rześki i trochę wilgotny, ale słońce przygrzewało coraz mocniej poprzez gałęzie drzew. Zapowiadał się piękny dzień.

Celia zawiązała pod brodą różowe tasiemki czepka. W gruncie rzeczy była zadowolona z propozycji Caro. Choć na krótko zapomnę o wczorajszej nocy, pomyślała. Nie mogła zasnąć niemal do białego rana, a kiedy wreszcie udało jej się zamknąć oczy, przyszła Janey z wiadomością, że zaraz śniadanie.

Dziwne, rozważała Celia. Przed zejściem na dół ze wszystkich stron oglądała się w wysokim lustrze, lecz nie dostrzegła żadnej różnicy. A mimo to czuła się inaczej. Przecież powinien być widoczny jakiś znak, piętno upadłej kobiety. Tymczasem z lustra patrzyła znajoma twarz, może nieco bledsza, ale bez zdradzieckiego poczucia winy.

- Och! - zawołała Carolyn. - Spójrz, co za piękne konie! Szybkim krokiem podbiegła do zagrody.

- Cudowne!

Celia z mniejszym zachwytem przyglądała się zwierzętom. Owszem, umiała w pełni docenić ich klasę, ale wbrew temu, co kiedyś mówiła Colterowi, nigdy nie siedziała w siodle. Koń jej ojca został sprzedany wraz z resztą dobytku. Jej doświadczenie pod tym względem sprowadzało się wyłącznie do przejażdżek wygodnym powozem.

- To chyba ten Cygan - szepnęła Caro, ciągnąc ją za rękaw - Santiago. Hm... Co on tu jeszcze robi?

- Trenuje konie.

Santiago rzeczywiście kręcił się po zagrodzie i przemawiał do zwierząt w swoim śpiewnym języku. Nawet nie spojrzał na stojące za barierą dziewczęta. Na dobrą sprawę nie interesowało go nic poza końmi. Poruszał się rytmicznie, niczym tancerz, jakby chciał przekazać swoim podopiecznym coś z własnej gracji. Po drugiej stronie młody Cygan opierał się o ogrodzenie. Chyba Mario. Obok niego stała Marita. Na widok dziewcząt przeszła wokoło zagrody, żeby porozmawiać.

- Podziwiacie Santiago? - Uśmiechnęła się bardziej drwiąco niż przyjaźnie. Nie odrywała wzroku od Celi. - On ma talent. Każdy z nas od dziecka umie jeździć konno, ale Santiago to wyjątek. Zaklinacz koni.

- Tak - z podziwem potwierdziła Carolyn - to prawda.

- Jeździsz trochę? - zagadnęła Marita. Pytanie skierowane było na pozór do Caro, ale Cyganka patrzyła na Celię.

- Oczywiście! - natychmiast zawołała Caro. - Od dawna, ale panna St. Clair...

- Sama sobie wybieram wierzchowce - przerwała jej Celia, nie chcąc w żaden sposób dać Cygance powodów do dalszych złośliwości. Marita uniosła brwi.

- Coś takiego? W takim razie te konie muszą ci się podobać. Ogniste bestie, nie dla nowicjuszy. - Od niechcenia wzruszyła ramionami. - Trochę na nich jeździłam, na pewno mam więcej doświadczenia od was. Czasami jeżdżę z jego lordowską mością. Często chwalił moje umiejętności.

- Oczywiście - przytaknęła Celia, ale coś ją podkusiło, żeby dodać: - Na pewno był zdumiony, że potrafisz jeździć jak dama.

- Jak dama? - Marita wybuchnęła śmiechem, a w jej oczach pojawiły się złe błyski. - Nic z tych rzeczy! Lord Northington lekceważąco wyraża się o damach. Jeżdżę po męsku, i to tak dobrze, że jego zdaniem mogłabym uchodzić za centaury.

- Naprawdę? - Celia czuła na sobie ciekawskie spojrzenie Caro, ale udało jej się zachować pozorną obojętność. - Wolę być bardziej kobieca, ale ty pewnie nie zwracasz uwagi na takie niuanse.

- I *señor* też nie! - krzyknęła Marita, dłużej nie kryjąc złości. - A zresztą, co ty możesz o tym wiedzieć. Jesteś tylko bladą imitacją kobiety, w połowie złożoną z lodu.

- Wydaje mi się... - nieśmiało wtrąciła Carolyn, wyraźnie zbита z tropu zachowaniem Cyganki - że nie powinnaś w ten sposób zwracać się do gości lorda Northingtona. Na pewno nie byłby zadowolony.

Marita dumnie uniosła głowę.

- Nieprawda. Znam go lepiej niż wy. W nim drzemie prawdziwy ogień, a nie...

- Marita! - Santiago wyrósł przy nich jak spod ziemi. Z twarzą pociemniałą z gniewu szybko powiedział coś po hiszpańsku. Wywiązała się krótka sprzeczka, a po chwili Marita odeszła w swoją stronę, rzucając zjadliwe spojrzenie na Celię.

- Proszę wybaczyć mojej córce. - Santiago odwrócił się do dziewcząt. - Bywa porywczą i czasami nie wie, co mówi. Wybierają się panie na przejażdżkę?

- Tak - odpowiedziała Carolyn. Celia uparcie milczała. - Przy śniadaniu powiedziano nam, że lord Northington nie ma nic przeciwko temu.

Santiago wskazał im drogę do stajni. Głośno klasnął w dłonie i chwilę później zjawił się Mario z dwoma osiodłanymi końmi.

- Och - zafrasowała się Carolyn - wolę damskie siodło. Santiago spojrział zakłopotany.

- Obawiam się, że w tej chwili mamy tylko jedno. Drugie akurat jest w naprawie.
- Wybieram tę. - Celia podeszła do niewielkiej szarej klaczy, czekającej spokojnie w drzwiach zagrody. Pogładziła ją lekko po pysku. Łatwiej było jeździć po męsku niż w niewygodnym i zdradliwym damskim siodle.
- Celio - ze strachem zawołała Carolyn - jesteś pewna?
- To o wiele bezpieczniejszy sposób - odpowiedziała Celia. - Już kiedyś go wypróbowałam.

Mówiła prawdę, ale zapomniała dodać, że miała wtedy zaledwie kilka lat i ojciec trzymał konia za uzdę, prowadząc go powoli po dziedzińcu.

Mario podprowadził klacz do podestu. Celia usadowiła się wygodnie w siodle.

Klacz była bardzo ładna - szara, z ciemnymi, jakby na wpół zamkniętymi oczami, o błyszczącej, starannie wyszczotkowanej sierści. Celia pochyliła się, żeby poprawić spódnicę, która przy wsiadaniu zawinęła jej się powyżej kostek. Potem ujęła wodze w dłonie. Obejrzała się i przypadkowo napotkała ponure spojrzenie Marity.

Spokojnie popatrzyła w inną stronę.

Młody Cygan wrócił kilka minut później, prowadząc osiodłaną na nowo klacz dla Carolyn, która z gracją wspięła się na siodło i starannie udrapowała suknię.

- Gotowe! - zawołała wesoło.

Celia naśladowała jej ruchy. Lekko trąciła piętami boki klaczy i powoli skierowała się w stronę głównej bramy. To nawet nie takie trudne, pomyślała, kiedy leniwym tempem zjeżdżały w dół zbocza. Przez cały czas uważnie obserwowała Caro. Za jej przykładem mocno uchwyciła wodze, wyprostowała się i rozluźniła ramiona, pamiętając przy tym, żeby łokcie trzymać jak najbliżej ciała. Po chwili poczuła się na tyle pewnie, że przejażdżka zaczęła sprawiać jej przyjemność. Cieszył ją powiew wiatru we włosach i ciepło słońca na twarzy. Ustąpiło dokuczliwe ssanie w żołądku.

Klacz pozwalała się prowadzić bez protestu. Carolyn wysforowała się i pojechała ubitą drogą, wiodącą przez posiadłość. W powietrzu czuło się morską bryzę. Czasami widać było chatę z drewna lub kamienia, ukrytą za gęstym żywopłotem. Drzewa poskręcane od wichrów, szalejących nad morzem od jesieni, wyciągały ku niebu sękate konary. Czerwone liście pyszniły się w promieniach słońca. Mają kolor cygańskiej spódnicy, bezwiednie pomyślała Celia. Oczami wyobraźni ujrzała Maritę, tańczącą z Northingtonem. Na pewno byli ze sobą żżyci... Carolyn ściągnęła wodze i zjechała na pobocze drogi. Roześmiana, czekała na Celię. Miała rozwiązane tasiemki i przekrzywiony czepek, oczy jej błyszcząły. Była niewinna, słodka i beztroska, zadowolona z wszelkich drobnych przyjemności, jakie oferowało życie. Potrafiła cieszyć się słońcem i konną przejażdżką. I to wczoraj nazywała nudą? Śmieszne, lecz całkiem zrozumiałe. Przecież poza tym niczego nie znała.

- Jak ci się to podoba, Celio? - zawołała do przyjaciółki. - Wspaniały dzień! Mam ochotę wjechać wprost do morza.

Celia szarpnęła wodze i szara klacz posłusznie stanęła pośrodku ścieżki. Carolyn zrećźnie odwróciła się w siodle i wskazała na wąską przecinkę wśród krzewów, dalej biegnącą wzdłuż skalistego klifu.

- Tam chyba jest dróżka na plażę. Zjedziemy?

Celia nadal nie była pewna swoich jeździeckich umiejętności. Na płaskim terenie radziła sobie nieźle, ale co będzie na stromym zboczu?

- Chyba zapuściłyśmy się za daleko od domu... - zaczęła, ale Carolyn już przecisnęła się przez zarośla i wjechała pomiędzy drzewa. Celia wahała się tylko chwilę. - A niech to! - mruknęła pod nosem i podążyła za kuzynką.

Początkowo nawet nie było stromo. Skaliste zbocze porastały kępy krzewów. W górze popiskiwały mewy, szybujące z wiatrem. Ich chrapliwe głosy rozbrzmiewały w całej okolicy. Carolyn ze spokojem wybierała najłatwiejszą drogę.

W dole rozciągał się szeroki po horyzont pas szaroniebieskiej wody. Powietrze było przesycone solą. Promienie słońca migotały na olśniewająco białych skałach.

Porowaty wapienny klif emanował ciepłem. Szum fal stawał się coraz głośniejszy. Klacz parsknęła głośno i rzuciła łbem, aż zadzwoniła uprząż. Celia mocniej ścisnęła wodze. Koniec ścieżki był już całkiem niedaleko. Carolyn jechała teraz brzegiem morza; wiatr targał jej niebieską spódnicą.

Dzień był naprawdę uroczy. Białe obłoki leniwie płynęły po przejrzystym błękitnym niebie. Celia dotarła do końca ścieżki i wyjechała na piasek. Odetchnęła z ulgą i w tej samej chwili coś huknęło. Klacz skoczyła jak oparzona, niemal zrzucając ją z siodła i pogalopowała prosto przed siebie.

Celia pochyliła się i przywarła do szyi konia. Długa grzywa chlastała ją po czole i policzkach. Przez moment widziała przerażoną twarz Caro i jej szeroko otwarte usta. Prawdopodobnie coś krzyczała, ale słowa uleciały z wiatrem.

Jak to się stało, gorączkowo myślała Celia, oburącz wczepiona w gęstą grzywę. Wszystko zdarzyło się tak szybko... Ze łzami w oczach próbowała powstrzymać rozpędzonego konia.

Szarpała wodze, ale to nic nie pomagało. Białe skały zmieniły się w rozmazaną smugę, a w uszach huczał jej ogłuszający szum wichru i morza.

Kopyta klaczy głucho dudniły w ziemię. Celia poczuła, że mokra grzywa wyslizguje się z jej dłoni. Krzyk strachu uwiązał jej w krtani, kiedy przed sobą zobaczyła majaczący nawis. Boże, co będzie, jak się nie zatrzymam? Mam skakać czy ryzykować, że jednak się uda? Nagle dostrzegła cień na tle białego klifu. Ktoś tam się poruszał... Rozpoznała go w jednej chwili i to dodało jej odwagi.

Nie pamiętała później, co się właściwie stało. Koń uciekł, a ona znalazła się na twardej ziemi, podtrzymywana silnym ramieniem.

- Chcesz się zabić?! - usłyszała burkliwy głos.

Northington.

Zderzenie było tak silne, że upadł na kolana i wydał z siebie głuchy pomruk.

- Leż! - syknął, przyciskając ją ręką do ziemi. Celia jęknęła. Chwycił ją wpół, przyciągnął do siebie i rozkazał: - Leż, mówię! Chcesz, żeby nas zabili? Niczego nie słyszałaś?

Pociągnął ją za najbliższy załom postrzępionej skały.

- Niby co miałam słyszeć?! Zjawileś się... Och!

Drugi strzał zahuczał między kamieniami. Kula pacnęła w ścianę nad ich głowami. Białe odłamki wapnia posypały się niczym płatki śniegu. Celia natychmiast rzuciła się na ziemię.

- Teraz już wiesz, o co chodzi - rzekł Colter i zaklął pod nosem. - Strzelają do mnie, a ty jeszcze mi przeszkadzasz. Skąd się tu w ogóle wzięłaś? I dlaczego?

- Ja... Koń poniósł. Co to za ludzie?.

- Skąd mam wiedzieć? Dobrze chociaż, że twoja kuzynka była na tyle rozsądna, żeby wziąć nogi za pas, a nie wypchać się w sam środek bitwy. Nie ruszaj się. Masz na twarzy kawałek skały.

Delikatnie usunął ostry odłamek. Celia wzdrygnęła się mimo woli, kiedy Colter dotknął jej policzka. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Teraz się boisz? To dlaczego nie pojechałaś za Carolyn?

- Przecież ci mówię, że koń poniósł! - Ze złością odtrąciła jego rękę. - Wcale tego nie chciałam!

- Cóż, ja też nie. - Wyciągnął pistolet zza pasa. Spojrzał w szeroko rozwarte oczy Celi i dał jej znak, żeby nie wstawiała. - Uważaj na głowę. Siedź tutaj, dopóki nie wrócę.

- Dokąd idziesz? - Zapomniała o złości i ze strachem przywarła do Coltera. - Nie zostawiaj mnie!

- Za tą skałą będziesz bezpieczniejsza. Nie zamierzam siedzieć tu do nocy i czekać, aż sobie pójdą. Naprawdę myślisz, że pozwolę strącić im choćby włos z twojej pięknej główki? Zrób, co mówię, i nie dyskutuj ze mną. Nie mamy teraz na to czasu.

Celia potulnie kiwnęła głową. Colter uśmiechnął się. Kocica miała tyle oleju w głowie, żeby w pewnych momentach się nie kłócić. Zdumiał się, kiedy ją zobaczył na skalistej plaży, pędzącą na szarej kłacz, która jego zdaniem była jeszcze za mało ułożona, żeby nadawać się do jazdy.

Zostawił Celię za załomem i chyłkiem pobiegł naprzód, trzymając się przy samej ścianie. Strzały padły z wielkiej jaskini otwierającej się na Kanał. Teraz jednak panowała cisza. Był coraz bliżej, lecz musiał zwolnić, bo ślizgał się po mokrych kamieniach. Wreszcie dotarł do mrocznego wejścia do groty i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Na miękkiej ziemi zobaczył wyraźne ślady butów.

Czekał, ale w jaskini nic się nie poruszało. Wszedł do środka. Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, zobaczył kilka drewnianych skrzyń i skórzanych kufrów, stojących pod ścianą. Bardzo ciekawe, pomyślał. Warto tu będzie wrócić z pochodniami. Poza tym jednak jaskinia była pusta.

Colter zatknął pistolet za pas. Nie może ruszyć w pościg za przestępcami. Najpierw musi się zaopiekować Celią - odwieźć ją do domu i dowiedzieć się, kto ją namówił na tę zwariowaną wycieczkę nad morze. Ciekawe, czy zjawiała się tu przypadkowo, czy jednak miała coś wspólnego z ludźmi, którzy do niego strzelali? Za dużo tych przypadków, uznał.

Celia czekała tam, gdzie ją zostawił, skulona za załomem skały. Zdjęła czepek, więc w jasnym blasku słońca wyraźnie widział jej twarz i włosy. Dostrzegł nawet kilka drobnych piegów na jej nosie. Przyklęknął.

- Uciekli. Zabiorę cię do domu. Pokiwała głową.

- Kto to był? Dlaczego strzelali?

- Prawdopodobnie w czymś im przeszkodziłem. - Colter by się nie dziwił, gdyby to byli przemytnicy. W tej części wybrzeża nie brakowało jaskiń, a od Francji dzielił ich tylko wąski morski przesmyk. Wręcz idealne miejsce do przemytu.

- W czym? - zapytała Celia. Wstała i otrzepała spódnicę. Zauważyła małe rozdarcie na różowym materiale. - Może to kłusownicy?
 - Coś w tym rodzaju. Masz. - Podał jej czepek. - Pojedziemy na moim koniu - dorzucił. - Berb jest już pewnie w połowie drogi do Londynu.
 - Berb?
 - Klacz berberyjska. Specjalna odmiana arabów. - Spojrzał na nią z ukosa. - Jechałaś na niej. Taka szara.
 - Wiem! Zrozumiałam! Nie traktuj mnie jak dziecka! - Wyrwała mu czepek z ręki.
 - A dlaczego? Zresztą nieważne. Możesz chodzić?
 - Oczywiście, że mogę. Trochę się potłukłam, ale niczego nie złamałam.
 - Skąd tu się wzięłaś, Celio? Tylko tym razem nie mów, że to nie moja sprawa. Na litość boską, przecież mogłaś zginąć.
 - Nie wiedziałam, że ktoś będzie do mnie strzelał! - krzyknęła. - Mam ogromnie dużo zastrzeżeń do tutejszej gościnności!
 - Dlaczego nie trzymałaś się głównego traktu? Poza tym mogłaś wziąć dwukólkę z kucykiem.
 - Pani Pemberton zabrała rano pannę Freestone do wsi...
 - Trzeba było z nimi pojechać. Co cię podkusiło, żeby siadać na ledwie ujeżdżonego konia?
- Popatrzyła na niego z przerażeniem. Oczy jej pociemniały.
- Och, już rozumiem. To robota twojej pięknej Cyganki. Jestem tego pewna.
 - Marity? - Uśmiechnął się. - Tak, to do niej nawet podobne.
 - Właśnie. - Celia energicznym ruchem strzepnęła czepek i nasadziła go na głowę. Siedział krzywo, wstążki dyndały luźno koło uszu. - Twoja Cyganka ma dziwne poczucie humoru.
 - Marita nie jest moją własnością.
 - Jej to powiedz. A może jest na odwrót? To ty do niej należysz?

- Zrobiłaś się zazdrosna, kochanie?

- O ciebie? - Roześmiała się na całe gardło. - Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie, milordzie.

- Chyba jednak nie. Celio, nie patrz tak na mnie, jakbyś mnie nie znała!

- Co w tym dziwnego? Przecież cię nie znam. Wczoraj... Po ostatniej nocy... To znaczy...

- Lepiej nie czekaj na przeprosiny. Nie uwiódłbym cię, gdybym znał prawdę.

Szkoda, że zapomniałaś mi powiedzieć, że jesteś dziewicą.

Spuściła głowę, ale zauważył, że poczerwieniała. Może zabrzmiało to brutalnie, lecz do białego rana myślał o niej, zastanawiając się, dlaczego to zrobiła. Nie zdołał wymyślić rozsądnej odpowiedzi.

- Dobrze, zostawmy to na razie - rzekł, oferując Celi swoje ramię. - Jeśli mój koń także uciekł, to czeka nas długi spacer do domu.

Celia milczała. Nie odezwała się ani słowem, nawet kiedy znaleźli konia i Colter podsadził ją na siodło. Sam usiadł za nią i otoczył ją ramionami. Znow przez ten przekłety czepek nie widział jej twarzy.

- Zdejmij to - burknął.

Celia wściekle szarpnęła za wstążki. Jasne włosy luźno opadły jej na ramiona.

Złożyła głowę na piersi Coltera. W tym momencie wydawała się krucha i bezbronna, chociaż uparcie udawała obrażoną.

Łatwiej było uwierzyć w jej szczerłość. Niestety, Colter z własnego doświadczenia wiedział, że należy się wystrzegać ludzi, którzy skrywają tajemnice. A Celia do nich należała.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jacqueline wcisnęła kieliszek koniaku w drżącą dłoń Celi. Carolyn znów była bliska płaczu. Przy poprzednim ataku hysterii uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Northington uciszył ją ostrym słowem. Wicehrabia stał oparty o kominek. Spode łba zerkał na całe zgromadzenie.

- Jeszcze raz chciałbym usłyszeć, skąd się tam pani wzięła - powiedział. Jacqueline rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale on tylko chłodno się uśmiechnął. - Może odzyskam humor.

- Wcale mi na tym nie zależy - odparła Celia i ruchem dłoni uciszyła kuzynkę. Popatrzyła na Northingtona. - Już mówiłam, że chciałyśmy przejechać się po plaży. Carolyn zobaczyła ścieżkę, wiodącą w dół skarpy. A potem sam pan widział, że moja klacz poniosła, słysząc huk wystrzałów.

Jacqueline wzdrygnęła się.

- Dlaczego ktoś miałby do pana strzelać, milordzie? A może to był myśliwy?

- Pod warunkiem, że chciał upolować rybę. Szczerze wątpię, milady. Colter porzucił miejsce przy kominku i zbliżył się do Celi.

- Trochę to dziwne, że ze szczytu skały nikogo pani nie widziała. Dlaczego pani nie uciekła tak jak panna Caro?

Celia dumnie uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Doskonale pan wie dlaczego! Dostałam nieujeżdżonego konia i nikt mi o tym wcześniej nie powiedział. Mogłam zginąć, ale pana to wcale nie obchodzi!

Z ironicznym uśmiechem popatrzył na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Trudno w to wszystko uwierzyć, panno St. Clair. Z tego, co słyszę, Santiago nie wiedział, że słabo pani jeździ konno. Dlaczego pani to ukrywała?

Celia, ciągle z kieliszkiem w dłoni, zerwała się z fotela.

- Oszczędzę panu dalszych powodów do zmartwienia, milordzie. Jutro rano wyjeżdżam. Proszę uznać moją wizytę za zakończoną. - Urwała, a potem dodała ciszej: - W ogóle nie powinnam była przyjmować tego zaproszenia.

- Ależ kochanie... - zaczęła Jacqueline i umilkła, widząc nieustępliwą minę Celi. Rzut oka na Northingtona upewnił ją, że jednak najlepiej będzie wyjechać. - Tak - dodała - chyba powinniśmy wrócić do miasta, milordzie. Celia i Caro są bardzo zdenerwowane dzisiejszą przygodą. Oczywiście nikt pana nie wini...

- Po co uciekać? - spytał spod okna sir John. - Szok zaraz minie i wszyscy pocujemy się o wiele lepiej.

- Mogą panie wyjechać - odparł Northington. - Panna St. Clair ma rację. Jej dalszy pobyt tutaj byłby błędem.

Jacqueline wyczuła w jego głosie coś, czego nie umiała do końca rozpoznać. Złość? Żal? Trudno orzec, zwłaszcza że Northington przybrał maskę obojętności. Pewnie martwi się o nasze bezpieczeństwo, pomyślała. A Celia? Wyglądała na mocno wzburzoną. Oczywiście upadła z konia i przez dłuższą chwilę leżała za skałami, kryjąc się przed ostrzałem. Ale pani Pemberton patrzyła na nią podejrzliwym wzrokiem, kiedy Northington wjechał na dziedziniec. Pierwszy zeskoczył z siodła, a potem zszedł Celię. Zaraz, zaraz... Odrobinę dłużej niż trzeba obejmował ją w talii. Było to dość intymne. Tylko tego by brakowało, żeby Agatha Pemberton rozsiewała plotki po Londynie. Dlaczego Northington w ogóle ją zaprosił?!

Tymczasem Celia ruszyła w stronę drzwi, lecz w tej samej chwili do salonu wszedł Renfroe i chrząknął cicho, żeby zwrócić uwagę Coltera.

- Milordzie - powiedział oficjalnym tonem - ma pan nowego gościa.

- Nie musisz mnie tak zapowiadać, Renfroe - rozległ się tubalny głos i do pokoju wkroczył wysoki siwowłosy mężczyzna. Jacqueline rozpoznała go bez trudu. - Muszę przyznać, że jestem niezmiernie zdziwiony, widząc tu takie tłumy o tej porze roku. Witaj, Colterze. Miło cię znów zobaczyć na starych śmieciach.

Stryj Northingtona, lord Easton, jak zawsze wyglądał kwitnąco i zdrowo. Nieskazitelnym wizerunkiem o wiele bardziej pasował do stołecznych salonów niż wiejskiej rezydencji. Uśmiechał się, jakby był pewien, że wszystkim sprawił miłą niespodziankę.

- Cóż za wytworne towarzystwo! Colterze, przedstaw mnie, proszę. Oczywiście z lady Leverton jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- To wspaniale znów pana widzieć, lordzie Easton - powiedziała Jacqueline. - Bardzo się cieszę z tego spotkania.

Northington przedstawił mu Celię i Carolyn, a potem Harveya, którego Easton pamiętał z dawnych czasów. Po chwili weszła pani Pemberton z Olivią Freestone. Starsza dama wprost promieniała.

- Och, lordzie Easton! To pięknie, że pana nareszcie poznałam, chociaż zapewne pan nie pamięta, iż w pewnym sensie łączą nas wspólne interesy. Mój mąż to Clive Pemberton z...

- ...z Exchequer Bank of England - dokończył za nią Easton. - Rzecz jasna pamiętam. Rad jestem, że mój bratanek obraca się w tak dobrym towarzystwie.

- O ile wiem, nie interesowałeś się moim towarzystwem - sucho zauważył Colter.

- Zawsze się o ciebie troszczyłem, mój chłopcze. Jesteś moim ulubionym bratankiem.

- Chciałeś powiedzieć: jedynym, który jeszcze żyje - odparł Northington. Easton wybuchnął śmiechem.

- Z góry znałem twoją odpowiedź.

- Co cię przygnało tu aż z kontynentu?

- O tym porozmawiamy później. Nie chcę zanudzać gości. - Przeniósł wzrok na Celię. - Panna St. Clair... Wygląda pani znajomo. A może spotkaliśmy się już kiedyś?

- Nie, milordzie - sztywno odpowiedziała Celia. - To raczej niemożliwe.

- Jednak skądś panią pamiętam. Może z Paryża?

- Nigdy nie byłam we Francji, milordzie.

- Celia pochodzi z Ameryki. - Jacqueline pospieszyła na pomoc kuzynce. -Dopiero dwa miesiące temu przyjechała do Anglii. To córka mojej kuzynki i zarazem moja chrześnica.

- Ach, rozumiem - powiedział Easton, lecz przyglądał się Celi trochę dłużej, niż wypadało, zanim podszedł do panny Freestone.

Celia stała spokojnie, ale serce waliło jej jak oszalałe. Jeszcze nie ochłonęła po porannej strzelaninie, a teraz zjawiał się stryj Coltera. W dodatku dobrze znał Jacqueline. Może pamiętał *maman*? Był w takim wieku, że mogli się poznać. Przeprosiła obecnych najgrzeczniej, jak umiała i uciekła do siebie, na górę. Wszystko szło jak po grudzie. Już niczego nie mogła być pewna! Nie powinnam przyjeżdżać do Anglii, pomyślała znowu, nieomal z płaczem. Gdyby z góry wiedziała, jak hermetyczny jest świat szlachty i arystokracji, nie miałaby złudzeń, że pomści śmierć matki. Teoretycznie sprawa była bardzo prosta: wystarczyło pokazać dawne dokumenty, oskarżając Northingtona o zabójstwo starego Petera. W Londynie okazało się, że to nic nie znaczy. Stary Peter był ważny tylko dla niej i *maman*.

W kącie pokoju stał niewielki kufer, który Celia zabrała z sobą z Londynu. Przykucnęła przed nim i uniosła wieko. Dokumenty leżały w torebce przywiezionej z Georgetown. Nie chciała ich nawet na chwilę zostawiać w domu Jacqueline, bo bała się, że pod jej nieobecność mogłyby przypadkowo wpaść w ręce Lily lub innej pokojówki. A to był przecież jedyny dowód zbrodni hrabiego Morelanda. Nie widząc innego rozwiązania, zamierzała mu go pokazać.

Los odbierał jej nawet tę drobną satysfakcję. Lord Easton mógł w każdej chwili poinformować brata, że spotkał córkę Leonie, przybyłą z Ameryki. Moreland domyśliłby się, po co przyjechała. Och, co robić?

Celia wyjęła z kufra aksamitną torebkę i rozprostowała w ręku stary pożółkły papier. Lekko zatrzeszczał pod jej palcami. Atrament wyblakł, ale pismo było wciąż czytelne. Może wystarczy prywatne spotkanie z hrabią? Coś na kształt konfrontacji... Zapewne Moreland zdziwiłby się na jej widok. Choć czy taki człowiek jak on ma sumienie?

Złożyła dokument i z powrotem wsunęła go do torebki. Nie chciał wejść, więc nerwowo zerknęła do środka. Ach, mapa, którą kiedyś pożyczył jej pan Carlisle. Zupełnie o niej zapomniała. Dawno powinna mu ją oddać. Na pewno ma mnie za niewdzięcznicę, pomyślała. Gdy tylko wrócę do Londynu, odeślę ją we wskazane miejsce, bodajże w Shoreditch, i dołączę list z przeprosinami.

Odruchowo przejrzała mapę. Musiała być często używana, bo pan Carlisle podkreślił nazwy pewnych ulic i kilka miejsc zaznaczył krzyżykami. Schowała ją, zaciągnęła tasemki i odłożyła torebkę do kufra. Potem zawołała Janey.

- Pomóż mi się spakować, dobrze? - powiedziała. - Wyjeżdżamy jutro z samego rana.

- Tak, proszę pani. - Janey nie zadawała pytań.

Jak każda dobra pokojówka na pewno już wiedziała o strzelaninie na plaży.

Podejrzewała, że to główny powód nagłego wyjazdu. Tylko częściowo miała rację.

„Jej dalszy pobyt tutaj byłby błędem” - powiedział Northington, patrząc na Celię.

Potraktował ją jak kolejną zdobycz. A ona zarzekała się, że nigdy mu nie ulegnie.

Nie mogła doczekać się powrotu do Londynu. Miała serdecznie dość towarzystwa

lorda Northingtona. Przecież na dobrą sprawę nie padło między nimi ani jedno

słowo o miłości. Celia nie była pewna swoich uczuć. Z początku chciała go jedynie

wykorzystać, żeby dotrzeć do Morelanda. A dzisiaj?

Po powrocie z Kentu do Londynu nie miała zbyt wiele czasu, żeby zastanawiać się nad niesprawiedliwością losu. Płynęły dni, potem tygodnie i miesiące, a na srebrnej tacy przy głównym wejściu do rezydencji Levertonów

codziennie piętrzyły się stosy zaproszeń i wizytówek. Celia z lubością odczytywała je na głos przy śniadaniu, w obecności rozradowanych Jacqueline i Carolyn.

Dostawała zaproszenia na bal, do opery, na galę albo *soiree*... Niestety, ani jeden list nie pochodził od mężczyzny, który winien jej był choćby krótkie słowo pozdrowienia.

Czuła się urażona w swojej kobiecej dumie. Mógłby napisać, myślała nieraz.

Przecież przez krótką chwilę łączyło nas coś więcej niż tylko zwykła znajomość. A może jeszcze nie wrócił do Londynu? Może został zabity przez tych samych ludzi, którzy już raz na niego polowali? W jednej minucie modliła się, żeby był zdrow i cały, a w drugiej odsądzała go od czci i wiary i uważała, że nawet śmierć byłaby dla niego lekką karą.

Wreszcie przed Bożym Narodzeniem ujrzała go podczas balu. Wokół - jak zwykle przy takich okazjach - panował ścisk i hałas. Powietrze było ciężkie od zapachu perfum. Na widok Northingtona Celię ogarnęła radość, lecz zaraz potem zmieniła się ona w rozczarowanie...

Colter był z kobietą - piękną, ciemnowłosą, o znajomej twarzy. Celia nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska. Dowiedziała się tego dopiero od Jacqueline. To była hrabina Cresswood.

Widok Coltera uświadomił Celi, że jednak za nim tęskni, i chciałyby znów popatrzeć w niebieskie oczy, poczuć smak pocałunków i usłyszeć wymówione szeptem do ucha słowo „kochanie”. Colter był bardzo uprzejmy. Przywitał się i powiedział kilka grzecznych komplementów. Celia nie wytrzymała tego napięcia.

- Proszę wybaczyć, że odchodzę - rzuciła - ale ten taniec obiecałam panu Harwoodowi.

Czuła, że Colter spoglądał za nią i dostrzegła lekki uśmiezek lady Cresswood. Na pewno ma mnie za kompletną idiotkę, pomyślała. Nieważne. Nie będę na nich zwracać najmniejszej uwagi.

A jednak tańcząc z Harwoodem i dziesiątkami Innych dżentelmenów, ciągle szukała wzrokiem Northingtona. O mało się nie popłakała, kiedy po pewnym czasie opuścił zebranych. To chyba było dla niej najtrudniejsze. Musiała tańczyć, śmiać się i żartować, kiedy w rzeczywistości serce pękało jej z bólu. Westchnęła z ulgą, kiedy Jacqueline oświadczyła, że pora wracać do domu.

W nocy siedziała długo przed lustrem, ze srebrną szczotką w dłoni, patrząc na swoje odbicie. Wszyscy już spali. Celia nie miała siły nawet się uczesać. Nie czuła ciepła bijącego od kominka. Było jej zimno i przeraźliwie smutno. Kiedy to się właściwie stało? Kiedy zmieniłam się w tę żalostną postać? Na pozór wyglądała zupełnie tak samo: wielkie zielone oczy, jasne włosy, może nieco zbyt pełne usta, wysokie kości policzkowe... Takie jak mamy. Och, *maman*...

Do niedawna Celia była gotowa poświęcić wszystko, byle osiągnąć Morelanda, oskarżyć go o zbrodnię i ujrzeć poczucie winy w jego oczach. Zaprzepaściła swoją szansę. Jak mogła ścigać hrabiego, skoro przespała się z jego synem? Przecież to było zupełnie coś innego! - pomyślała nagle z nowo rozbudzoną siłą. Prawdziwa miłość nigdy nie ma w sobie nic z brutalności.

Miłość. Być może dla niej. Lecz dla Coltera? Na pewno jej nie kocha. Byłaby głupia, gdyby choć trochę w to wierzyła. Poczowała ból i ze zdumieniem spojrzała na swoje ręce. Dopiero teraz zauważyła, że z całej siły ściska szczotkę do włosów.

Niemal wygięła srebrny trzonek. Powoli rozprostowała zdrętwiałe palce. O dziwo, ból pomógł jej odzyskać pewność siebie i uspokoić rozbiegane myśli. Nie wycofam się teraz, kiedy jestem już tak blisko celu. Musi być jakiś sposób na to, żebym mogła się zobaczyć z Morelandem! Znajdę go. Przynajmniej będę miała satysfakcję, że bez względu na okoliczności nareszcie dopięłam swego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nocą w tej dzielnicy Londynu panowała niemal zupełna ciemność. Nawet w dzień mrok błakał się po zaułkach koło katedry Świętego Idziego, wśród nędznych domów i podejrzanych gospód. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zaduch. Był styczeń. Colter wcisnął za pas nabity pistolet i wsunął długi sztylet za cholewę wysokiego buta. Umiejętności, które zyskał podczas licznych bitew, wprawdzie nie znajdowały zrozumienia w „cywilizowanym” świecie, ale już nieraz ocaliły mu życie, nawet tu, w Londynie. Wiele nauczył się w trakcie długich lat wojny z Napoleonem. Natomiast w Ameryce Łacińskiej i hiszpańskiej Kalifornii poznał nową odmianę walki - sztukę przetrwania.

To była wojna bez fanfar i sztandarów, z przeciwnikiem zacząjonym w mroku. Tu można było stracić życie dla kilku nędznych pensów. Nawet dzieci miały puste, nieczułe spojrzenie. Po latach deprawacji ludzkie życie nie przedstawiało dla nich większego znaczenia.

Tyler się spóźnił. Niechlujnie ubrany, wychynął z cienia w błądy krąg światła rzucany przez płonąca pochodnię.

Jeszcze jeden rekrut, ale za to najlepszy. Od początku przedstawiał się jako Tyler. Nie chciał podać prawdziwego imienia i nazwiska. Colterowi to nie przeszkadzało. Już na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim człowieka dobrze wykształconego i takiego, który równie swobodnie czuje się w salonach jak wśród biedaków.

- Szukają mnie konstable z Bow Street Runners - mruknął Tyler na przywitanie.

- Tu nie przyjdą.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- To prawda. Boją się tego piekła.

- Wiesz coś?

- No. Spisek na całego. Wyznawcy nauk Spence'a. Teraz, gdy Watson odszedł, a władzę przejął radykalnie nastawiony Thistlewood, planują coś w rodzaju zemsty za masakrę w Peterloo. Thistlewood nawołuje nawet do rewolucji. Zarzeka się, że w ciągu pół godziny zbierze piętnaście tysięcy ludzi.

- Są uzbrojeni? Tyler kiwnął głową.

- W całym Londynie mają ukryte schowki z amunicją. Ruthven nawet widział plan ich rozmieszczenia, ale nie zdążył go skopiować.

George Ruthven dowodził grupą agentów policyjnych, infiltrujących rebeliantów.

- Plan? Gdzie go można znaleźć?

Tyler poruszył się niespokojnie i spojrzał przez ramię, słysząc donośny śmiech, dobiegający gdzieś z końca zaułka.

- Nie mam pojęcia. Ostatni miał go Carlisle.

- John Carlisle?

- Nie, jego brat, James. Potem plan zniknął. Prawdopodobnie Carlisle go gdzieś ukrył kilka miesięcy temu. Ruthven słyszał ich kłótnię na ten temat.

- Ciekawe...

Tyler znów zerknął w głąb zaułka. Był wyraźnie podenerwowany.

- Podczas ostatniego wiecu Thistlewood powiedział, że w Manchesterze dokonano niewyobrażalnej zbrodni. Wołał, że dusze niewinnych ofiar Peterloo domagają się krwi ciemężycieli. Robi się naprawdę niebezpiecznie.

- Przede wszystkim musimy znaleźć plan rozmieszczenia schowków, o których wspominałeś, Tyler.

- Pracuję nad tym. Masz jakieś pomysły?

- Muszę coś sprawdzić. W razie czego zostawię ci wiadomość tak jak zwykle, w „Swan and Stone”.

Mowry dostanie palpacji serca, jak się o tym dowie, pomyślał Colter.

Klub „White's” należał do zupełnie innego świata niż zaułki wokół, katedry Świętego Idziego. Tutaj w powietrzu unosiła się woń wytwornych cygar i drogich perfum, którymi bez umiaru skraplała się część dżentelmenów. Beau Brummel miał rację - człowiek powinien pachnieć jedynie czystością swoich własnych czynów. Ale i on czasami był skłonny do przesady. Teraz pędził we Francji nędzny żywot wygnańca, bo o jeden raz za dużo obraził regenta.

W gruncie rzeczy książę zasłużył na docinki. O wiele bardziej niż sprawami państwa interesował się sztuką i architekturą. Zamiast niego rządzili lordowie Castlereagh, Liverpool i Sidmouth. Niebezpieczni ludzie.

Mowry siedział sam z wyczekującą miną.

- Ma pan dla mnie jakieś wieści, Northington? - zapytał ściszym głosem. Colter z uśmiechem spojrzał mu prosto w oczy.

- Tak, ale to nic, czego by pan nie wiedział. Ten idiota Arthur Thistlewood nafaszerował cały Londyn amunicją.

Mowry zaklął cicho.

- Gdzie? Jak najszybciej trzeba się tego dowiedzieć. Wiadomość jest z pewnego źródła?

- Tak. Przyznaję się, że w pewnych sprawach nie popieram społecznej polityki rządu, ale to zakrawa wręcz na anarchię. Za wszelką cenę musimy go powstrzymać, bo doczekamy się masakry gorszej niż Peterloo.

- Znów ci przekłęci radykałowie spod znaku Thomasa Spence'a! Sęk w tym, że Spence od początku domagał się rewolucji, a nie reform. Głupiec. Pięć lat temu wyciągnął nogi, a ciągle sprawia nam kłopoty.

- Dla niektórych to tylko pretekst, żeby dać upust brutalności - odparł Colter.

-Zwłaszcza wśród polityków.

Mowry rzucił mu ostre spojrzenie. Northington wzruszył ramionami.

- Ponoć istnieje plan rozmieszczenia schowków, o których wspominałem. Niestety, zaginął.

- Co to znaczy? Dlaczego go jeszcze nie mamy?
- Ostatnio widziano plan u Carlisle'a. Ruthven słyszał, jak bracia się o to pokłócili. - Colter umilkł na chwilę, a potem dodał ciszej: - Wydaje mi się, że wiem, gdzie szukać tego planu.

Mowry nerwowo zabębnił palcami w zielony blat i spod przymkniętych powiek spojrzął na rozmówcę.

- W zeszłym roku, we wrześniu, był pan na pokładzie „Liberty” w drodze z Liverpoolu do Londynu. Wiemy, że podczas tego samego rejsu Carlisle nawiązał znajomość z panną St. Clair. Sam pan widział, że długo ze sobą rozmawiali, chociaż potem zeszli na ląd oddzielnie. Carlisle prawdopodobnie wiedział, że jest śledzony. Kiedy przeszukaliśmy go, zanim wyszedł z portu, nie znaleźliśmy przy nim niczego podejrzanego. Zaczynam myśleć, że to spotkanie na „Liberty” nie było przypadkowe.

- Panna St. Clair nie ma z tym nic wspólnego.

- Skąd ta pewność? - Mowry uśmiechnął się zimno. Z jego spojrzenia nie dawało się nic wyczytać. - Przeprowadziłem nawet małe śledztwo.

- Po co?

- Na przykład po to, żeby się dowiedzieć, dlaczego wybrała się w taką długą podróż. Po tylu latach zapalała nagłą miłością do lady Leverton? Szczerze wątpię. Musiał być jakiś inny powód.

Colter wygodniej rozparł się na krześle.

- Pana zdaniem Carlisle zdołał ją przekonać, żeby poparła jego „rewolucję”?

Przecież to bzdura. Panna St. Clair może mieć nieco inne poglądy od naszych, ale na pewno nie jest aż tak głupia.

- Tak? Niech mi pan powie o niej coś więcej, Northington. Spędziliście razem trochę czasu na wsi. - Mowry ponownie wykrzywił wąskie usta w wilczym uśmiechu. - Sporo się wtedy wydarzyło. Była zdumiona, kiedy pan ją nagle uratował? Może z wdzięczności wyjawiała panu jakieś tajemnice?

O tym też wie?! - zdumiał się Colter. Ten człowiek musi mieć swoich szpiegów w każdym zakątku Anglii. Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, dotychczas o nic jej nie pytałem.

- Niech pan spróbuje. Jeśli nie ukrywa sekretów, to przecież nic złego jej się nie stanie. W przeciwnym razie chcę wiedzieć wszystko. Słyszał pan? Wszystko.

- Zazwyczaj nie wyciągam kobiet na zwierzenia. Żąda pan ode mnie zdrady zaufania, Mowry.

- Nie. Żądam, aby dał mi pan dowód jej niewinności. Pańskie skrupuły są bezpodstawne. Chodzi o dobro Anglii.

Colter zaklął pod nosem. Kłopot w tym, że nie był do końca pewny, czy Celia St. Clair jest niewinna. Wstał.

- Pomyślę o tym.

- Ś wietnie, Northington. Ja także.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Opera „Faust” wystawiana w King's Theater na Haymarket co wieczór gromadziła nieprzebrane tłumy. Sama galeria mogła pomieścić ponad trzy tysiące widzów, a mimo to brakowało wolnego miejsca.

- Popatrz, Celio - powiedziała Jacqueline. - Książę zaszczycił dzisiejsze przedstawienie. To jego herb na drzwiach karocy.

Celia spojrzała w okno. Chwilę później powóz lady Leverton zatrzymał się przy chodniku. Lokaj szybko otworzył drzwiczki i pomógł wysiąść obu paniom. Schodki były mokre i śliskie. Styczniowy deszcz szybko zamarzał w podmuchach zimnego wiatru. Celia mocniej otuliła się pelisą.

W taką pogodę jej eleganckie pantofelki, zdobione złotą nicią i klejnocikami, okazywały się całkiem niepraktyczne.

- Tak, to sam książę - odezwała się Carolyn. W blasku świateł otaczających gmach teatru jej oczy jarzyły się niczym dwie gwiazdy. - Ciekawe, czy coś do nas powie.

- To będzie cud, jeśli w ogóle zauważy nas w tym tłumie - zauważyła Celia. Po chwili jednak okazało się, że Jules Leverton zarezerwował lożę dokładnie naprzeciwko księcia, ze świetnym widokiem na scenę.

Na parterze kłębił się tłum mniej dystyngowanych widzów. Wszyscy mówili jednocześnie. Dziś miała śpiewać słynna diwa Catalani, która niedawno powróciła z triumfalnego tournée po Europie.

- Ostatni raz widziałam ją w „Otellu” - powiedziała Jacqueline. - Śpiewała partię Desdemony. To ogromnie wymagająca rola! Tylko Włoszki umieją ją dobrze zagrać. Och, książę właśnie na nas patrzy! Celio, spójrz, kto z nim przyszedł! Obok księcia siedział Northington. Obaj byli wytworni i eleganccy, ale to Colter ścigał rozmarzony wzrok kobiet. Na pewno zdaje sobie z tego sprawę,

pomyślała Celia. Jak się puszy! Ten jego uśmiech... Nie, mnie już na pewno na to nie nabierzesz! Dlaczego zatem była tak przejęta?

Northington musiał wyczuć jej spojrzenie, bo nagle zerknął w stronę łoża Levertonów. Uśmiechnął się i uklonił. Celia z premedytacją odwróciła głowę. Uważa, że wystarczy jeden miły uśmiech, żeby zapomnieć o miesiącach milczenia? Być może nie czekała na jego oświadczenia ani zapewnienia o wielkiej miłości, ale nie mogła mu wybaczyć nagłej rejterady.

- Ależ to wicehrabia Northington! - szepnęła jej do ucha Carolyn. - Chyba nas widział, Celio!

- Raczej tak, bo siedzimy naprzeciwko niego. Ten obok to przypadkiem nie sir John?

Caro skinęła głową.

- Tak, to on. Dobrana grupa, prawda? - Roześmiała się cicho. - Typy spod ciemnej gwiazdy - dodała żartobliwie.

- Myślałam, że lubisz sir Johna - powiedziała Celia, odwróciwszy się przodem do kuzynki.

- Lubię, lecz złość mnie bierze, ile pieniędzy wciąż wydaje wyłącznie na rozrywki.

- Pod tym względem całkowicie się z tobą zgadzam. Takich ludzi należy tępić, bez względu na ich pochodzenie. - Podchwyciła lekki ton Caro. - Ale księcia chyba do nich nie zaliczasz? - zapytała ciszej, z przekorą w głosie. - Albo Edwina?

- Och, na pewno nie Edwina!

Obie się roześmiały. Celia rzuciła okiem na królewską łożę i stwierdziła, że Northington zniknął. Bardzo dobrze, pomyślała z ulgą. Tylko tego brakowało, żeby gapił się na mnie przez cały wieczór.

Jacqueline wyszukiwała w tłumie kolejnych znajomych.

- O, tam jest Robert Stewart, lord Castlereagh.

Ostatnio dużo stracił na popularności. Zwłaszcza po tym, kiedy przedłożył Sześć Ustaw w Izbie Gmin. Ludzie bucżą na jego widok. To samo zresztą robią na widok lorda Liverpoola. Oskarżają ich o masakrę Peterloo. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że organizatorzy wieców wciąż łamią prawo. Głośno mówi się o tym, że rząd walczy z narodem tak, jakby miał do czynienia z armią Napoleona. Może to prawda, ale ja wciąż pamiętam, co się działo we Francji za czasów terroru.

- Popierasz Sześć Ustaw? - zapytała Celia.

- Powtarzam tylko: nie wolno dopuścić do tego, do czego doszło we Francji.

Przeciętny obywatel nie wie, czym są reformy. Myśli jedynie o tym, czy w odpowiednim czasie dostanie świeżą bułkę. Śmieszne i całkiem niepotrzebne.

Celia ugryzła się w język. Jacqueline była dobrą i miłą kobietą, ale nie orientowała się, jaka głęboka przepaść dzieli biednych od bogatych. Tu nie chodziło o bułki, ale o bezpieczeństwo, przyszłość i zdrowie dzieci, porządniejszy kąć do spania.

- Wszyscy dziś mówią o reformach! - ciągnęła lady Leverton. - Tymczasem spójrzcie, co się dzieje, jeżeli pewnym ludziom dać trochę wolności. Taka Janey... Niewdzięczna dziewczucha. Chcieliśmy nieba jej przychylić, a ona uciekła bez słowa pożegnania! Kazałam Jarvisowi sprawdzić, czy przypadkiem czegoś ze sobą nie zabrała. Jestem więcej niż pewna, że z czasem się okaże, iż brakuje nam srebrnego świecznika lub czegoś w tym rodzaju. - Energicznie potrząsnęła głową. - Ci ludzie muszą znać swoje miejsce, bo inaczej zapanuje terror.

- Mamo! - zawołała Carolyn. - Zapisalaś się do partii torysów?

Wszyscy się roześmieli, bo przecież Jules Leverton był zagorzałym torysem i opowiadał się za całkowitą i suwerenną władzą króla.

- Ktoś tu coś mówi o torysach? - rozległ się znajomy głos w drzwiach łoży.

- Wicehrabia Northington! Co za przyjemna niespodzianka! - ucieszyła się Jacqueline. - Proszę się do nas przysiąść. Właśnie rozmawialiśmy o Sześciu Ustawach przedłożonych przez rząd w Izbie Gmin.

- Jest pani przeciw? - Colter stał tuż za fotelem Celi, tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała. Ogarnęła ją fala wspomnień. Pomyślała o pewnej nocy, o kąpieli...

- Raczej za - odpowiedziała Jacqueline. - Chociaż słyszałam, że pan jest odmiennego zdania.

- Ale na pewno nie z powodów, o których pani myśli. Uważam za niewłaściwe, aby w całym państwie wprowadzać restrykcje. Przecież rzecz dotyczy lokalnych kłopotów. Zbytne uogólnianie nieuchronnie godzi w ludzkie prawa i przywileje. Podejrzewam, że panna St. Clair jako Amerykanka też ma swoje poglądy na ten temat.

Nie patrząc na niego, Celia skinęła głową.

- Tak, milordzie. Mam, choć nie jestem pewna, czy naprawdę chciałby pan je poznać.

- Widzę, że przebywanie wśród torysów przydało pani uszczypliwości. Colter zajął wolne miejsce obok Carolyn. Celia dopiero teraz odwróciła się w jego stronę. Z jego twarzy nie wyczytała nic poza uprzejmym zainteresowaniem. Ani cienia nadziei, że wciąż pamięta tamtą noc w Harmony Hill. Noc, podczas której życie Celi zmieniło się na zawsze, na nim wyraźnie nie wywarła żadnego wrażenia.

- Mówi się, że każde państwo ma taki rząd, na jaki zasługuje. Jestem pewna, że Anglia pod tym względem nie stanowi wyjątku.

- Celny strzał, panno St. Clair. O ile sobie dobrze przypominam, Maistre mówił to pod adresem Francji, lecz jego słowa świetnie pasują do naszej dzisiejszej sytuacji. Czyżby w jego głosie zabrzmiała nuta podziwu? To coś nowego. Do tej pory w ogóle nie liczył się z jej zdaniem. Skąd ta nagła odmiana? Carolyn pochyliła się w stronę matki.

- Patrz, to lord Liverpool! Melwyn liczy na to, że właśnie dzięki niemu uda się zakończyć bunt w naszych irlandzkich włościach.

Tydzień wcześniej jej narzeczony wyjechał z Londynu, żeby sprawdzić, co się dzieje w Irlandii. Dochodziły stamtąd informacje o nasilaniu się społecznych niepokojów. Carolyn bała się o niego, bo wciąż miała w pamięci opowieści matki o rewolcie we Francji. Zerknęła na Northingtona.

- Wie pan już, kto wtedy do nas strzelał, milordzie? Mam nadzieję, że to nie pańscy dzierżawcy.

- Moi dzierżawcy to w większości chłopci, których jedyną bronią mogą być widły. Zresztą w ostatnim czasie miejscowe władze skonfiskowały większość strzelb i pistoletów.

- Więc kto to był? - wtrąciła Celia. - Nie chłopci, nie myśliwi...

- Nie wiem kto, lecz wiem dlaczego. Wkrótce sprawa zostanie wyjaśniona i moi goście nie będą musieli obawiać się o życie.

- Może Cyganie? - nie ustępowała Carolyn. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. - Jak pan myśli? Uważa się ich za złodziei. To bezpieczne, żeby obozowali na pańskiej ziemi?

- Tak bezpieczne jak to, że jesteśmy tutaj, panno Leverton - odparł Colter z cynicznym uśmiechem. - Chociaż mam pewne obawy związane z panną St. Clair.

-Przeniósł wzrok na Celię. - Pani jest mniej rozważna od swojej kuzynki.

- Jeżeli mówi pan o koniu, to chciałabym przypomnieć, że to była robota właśnie pańskiej Cyganki - odcięła się Celia. - Nie musi pan mieć wyrzutów sumienia. W Londynie wcale nie jest bezpieczniej.

- To prawda - z przejęciem przytaknęła Carolyn. - W zeszłym tygodniu przeżyliśmy napad. Coś okropnego! Czterech bandytów zatrzymało nasz powóz w pobliżu Berkley Square. Mogłyśmy zginąć, gdyby nie dzielna postawa służących!

- Bandyci w Londynie? - Northington zmrużył oczy.

- Nie tylko w Londynie, milordzie - wmieszała się Jacqueline. - W samym Mayfair! Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie byliśmy przerażone. Na szczęście zabrano nam tylko sakiewki.

- Czy nic cennego nie zginęło? - Northington znów spojrzał na Celię tak przenikliwym wzrokiem, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

- Nic, czego nie można by odkupić lub odzyskać - odpowiedziała.

- Tak, kilka klejnotów... - Jacqueline westchnęła i pokręciła głową. - Nie miałam ze sobą żadnych naprawdę wartościowych rzeczy. Dopiero co wyjechałyśmy z domu w kierunku Piccadilly. Konstabl był bardzo zdziwiony. Stwierdził, że napady w biały dzień praktycznie się nie zdarzają. Ale o czym tu mówić, skoro po ulicach włóczą się bandy rebeliantów!

Celia wciąż czuła na sobie spojrzenie Northingtona. Miała szczerą ochotę zażądać, by wyjaśnił, gdzie był i co porabiał po pamiętnej nocy. Dlaczego zniknął na tyle czasu? Lepiej niech już sobie pójdzie! - pomyślała rozgoryczona. Colter jednak został nawet wtedy, gdy ściemniały światła i aktorzy wyszli na scenę.

Celia wyraźnie wyczuwała jego obecność i nie mogła skupić się na przedstawieniu. Raz po raz zerkąła w program, żeby nadażyć za rozwojem akcji.

Była to opowieść o słynnym muzyku, który zaprzedał duszę diabłu, chcąc osiąść wiedzę, bogactwo i władzę. Celia znała w głównym zarysie treść przedstawienia, lecz rozpraszała ją obecność Northingtona.

- Teraz zawiera pakt z szatanem. - Colter nachylił się do jej ucha. - Oddaje duszę w zamian za dwadzieścia pięć lat przyjemności. Wysoka cena za tak krótki okres.

- To prawda, milordzie - szeptem odpowiedziała Celia - ale znam ludzi, którzy za znacznie mniej zrobiliby to samo.

- Obraca się pani w dziwnym towarzystwie, panno St. Clair. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie z własnego wyboru, milordzie. Poczwała ulgę, kiedy ogłoszono przerwę. Northington odprowadził ją tylko do foyer. Potem grzecznie przeprosił Jacqueline i odszedł, nawet nie spojrzawszy na Celię.

W foyer było bardzo tłoczno. Klejnoty skrzyły się w rzęsistych światłach. Przyszli tu wszyscy, którzy choć przez chwilę chcieli się pokazać - od kurtyzan do arystokratów.

- Własnym oczom nie wierzę! - zawołała Celia, kiedy Jacqueline wskazała jej panią Poirier, która w asyście swoich podopiecznych rozmawiała z kilkoma znanymi dżentelmenami. - Czy to nie lord Harrow stoi przy niej?

- W rzeczy samej. Nie powinnaś się dziwić. Madame Poirier przyszła tutaj w poszukiwaniu możnych protektorów. Wydaje mi się, że lord Harrow znalazł już coś dla siebie.

Celia z ukrytą fascynacją przypatrywała się tej scenie. W pierwszej chwili nie zauważyła, że ktoś do nich podszedł. Odwróciła się dopiero wtedy, kiedy Carolyn wzięła ją za rękę. Z roztargnieniem spojrzała na jasnowłosego mężczyznę.

Rozpoznała go, gdy się odezwał.

- Pani wybaczy, panno St. Clair. Mam nadzieję, że pani mnie sobie przypomina.

- Tak, oczywiście. Pan Carlisle. Poznaliśmy się na statku. James Carlisle uśmiechnął się z zadowoleniem i pokiwał głową.

- Widzę, że już zdążyła pani na dobre osiąść w Londynie. Czy podoba się pani dzisiejsze przedstawienie?

- Bardzo, panie Carlisle, bardzo. Muszę pana serdecznie przeprosić za to, że do tej pory nie oddałam mapy. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za niewdzięcznicę. Wyślę ją jutro pod wskazany adres.

- Ciągłe ją pani ma? Och, to cudownie! Widzi pani, to prezent. Mógłbym kupić drugą, lecz ta jest dla mnie szczególnie cenna.

- Jeszcze raz przepraszam. Zrobiłam to niechcący. Zapewniam pana, panie Carlisle, że chciałam ją odesłać już następnego dnia po przyjeździe do Londynu...
- Panno St. Clair, proszę nie robić sobie najmniejszych wyrzutów. Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam. Dopiero teraz, kiedy zobaczyłam panią w łoży, pomyślałam sobie, że to dobry pretekst do odbycia rozmowy. Uśmiechnął się szeroko. Celia roześmiała się z wyraźną ulgą.
- Szalbierz z pana, sir!
- Och, tak. Pod tym względem najzupełniej się z panią zgadzam. Może ma pani ochotę na kieliszek ponczu?
- Bardzo dziękuję, ale miałyśmy już wracać do łoży. To moja kuzynka, panna Leverton. Carolyn, oto dżentelmen, o którym ci kiedyś opowiadałam. Był tak uprzejmy, że pożyczył mi plan miasta, kiedy dobijaliśmy do przystani. Po krótkiej wymianie stosownych grzeczności Carlisle pożegnał obie panie. Celia ponownie go zapewniła, że jutro odeśle mapę. Tłum gęstniał. W pewnym momencie ktoś ją z tyłu popchnął. Zachwiała się, lecz James Carlisle w porę szarmancko ją podtrzymał.
- Hola, hola! - krzyknął do niezgrabiasza. Obcy mężczyzna wymamrotał krótkie przeprosiny i czym prędzej odszedł.
- Wszystko w porządku, panno St. Clair? - spytał Carlisle.
- Tak, tak. Nic się nie stało. Przerwa dobiega końca. Do zobaczenia. Odrobinę za długo trzymał jej dłoń w swojej.
- Już liczę dni do naszego następnego spotkania. Celia westchnęła z ulgą, kiedy odszedł.
- Jeszcze jeden wielbiciel? - szepnęła Carolyn. - Tym razem ze statku? Celia żartobliwie pacnęła ją wachlarzem.
- Tylko znajomy. Dosyć natrętny człowiek. Idź sama do łoży, zaraz tam przyjdę - dodała. - Muszę jeszcze wpaść do toalety.

Skręciła w bok długim, dobrze oświetlonym korytarzem. Minęła dwie rozchichotane damy, które wracały na salę i poszła dalej. Po wyjściu z toalety usłyszała wysoki głos madame Catalani, więc przyspieszyła kroku. Na korytarzu zgasły światła. Celia przystanąła niezdecydowana.

Wszystko stało się tak nagle, że nawet nie zdążyła krzyknąć. Poczowała, że ktoś ją chwyta i przyciska do ściany. Silna dłoń zamknęła się na jej gardle. Nie mogła złapać oddechu. Przed oczami zatańczyły jej barwne plamy. Zebrała w sobie wszystkie siły i kopnęła na oślep kolanem. Usłyszała grubiańskie przekleństwo. Ucisk zelżał. Celia powoli osunęła się po ścianie na podłogę. Dyszała ciężko, przykładając dłonie do obolałego gardła. Z ciemności dobiegały dziwne odgłosy. Dobrze wiedziała, że powinna jak najszybciej uciec, ale nogi wciąż odmawiały jej posłuszeństwa. Wstała pomału i chwiejnym krokiem, wodząc ręką po ścianie, poszła w kierunku odległego foyer. Ktoś złapał ją z tyłu. Próbowała krzyknąć, ale wydała z siebie jedynie cichy szept.

- Nic nie mów - usłyszała znajomy głos. - Zaraz cię stąd zabiorę. Northington? Co on tu robi? Co to wszystko znaczy?

Usiłowała wyrwać się z jego uścisku, ale on wciągnął ją w jakieś drzwi, których przedtem nie zauważyła. Wciąż było ciemno, lecz poczuła znajomy smród ulicy. Zimny wiatr owionął jej nagie ramiona. Nie przestała się szarpać.

- Celio - rzekł Northington - uspokój się! Ich jest trzech, a ja tylko jeden. Nie mam ochoty na dalszą bijatykę. Najpierw muszę się zająć tobą.

Nic z tego nie rozumiała. Nie wiedziała, czy Colter próbował ją ratować, czy porwać. Była tak oszołomiona, że nawet nie protestowała, kiedy wsadził ją do powozu.

Jechali ulicami Londynu. Colter wciąż zachowywał uparte milczenie. Powiedział jej tylko, że będzie bezpieczna. Wreszcie powóz stanął na tyłach wąskiego budynku przy ciemnej ulicy. Weszli przez kuchnię. Celia w przelocie zobaczyła kilka rozneglizowanych kobiet siedzących w salonie. Northington wdał

się szeptem w rozmowę. Później wziął Celię za rękę i pociągnął na ciasne schody. Znaleźli się w obszernym i komfortowo wyposażonym pomieszczeniu. Dalej widać było przez otwarte drzwi sypialnię z podwójnym łóżem. Celia wiedziała już, gdzie się znalazła. To był Konwent albo Szkoła Wenus, jednym słowem dom schadzek.

- Nie rób takiej zdziwionej miny - powiedział Colter, widząc jej karcące spojrzenie.

- Tylko tutaj będziesz bezpieczna. Nie rozumiesz, że znalazłaś się w fatalnym położeniu?

W milczeniu kiwnęła głową. Stała nieruchomo, dopóki Northington nie posadził jej w fotelu.

- Masz podarte ubranie - powiedział.

Dopiero teraz zobaczyła, że jej piękna zielona suknia jest cała w strzępach, rozdarta od pachy aż do pasa. Zgubiła też jeden pantofelek.

- Z pewnością madame Poirier coś ci pożyczy. Nie, kochanie, nie musisz zasłaniać się przede mną. Widziałem cię już bardziej rozebraną. Nie pamiętasz? Wyglądasz, jakbyś wpadła pod powóz. Jesteś cała posiniaczona. Możesz mówić? Przekłete łotry! Mam nadzieję, że wszystkich zabiłem.

Celia była nadal oszołomiona. Owszem, słyszała szamotaninę i w bladym świetle dochodzącym z foyer widziała rozciągnięte na podłodze ciała. Co się stało?

Dlaczego? Jak się w to wplątała? W głowie miała gonitwę myśli, lecz wciąż nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Colter przyklęknął przy niej i zaczął ją rozbierać. Skończył dopiero wtedy, gdy została w halce i w pończochach. Ujął jej zimną stopę w obie dłonie, by ją rozetrzeć. To samo zrobił z drugą. Potem przyniósł koc i narzucił jej go na ramiona.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła pokojówka z miednicą gorącej wody i świeżą suknią. Colter podziękował jej i odprawił zdecydowanym ruchem dłoni. Po chwili przyniósł Celi kieliszek koniaku. Kazał jej wszystko wypić.

- To ci przynajmniej przywróci kolory. Wyglądasz niczym widmo. Już po wszystkim, Celio. Odwiozę cię do domu. Na razie nikt nie wpadnie na to, żeby cię

szukać właśnie tutaj. - Uśmiechnął się. - Podoba mi się twoje milczenie. To coś nowego po tych wszystkich kłótniach.

Odpowiedziała mu smutnym spojrzeniem. Wstał, poszedł do sypialni i przyniósł jej szczotkę do włosów.

- Sama musisz się uczesać. Zupełnie się na tym nie znam.

Celia wzięła szczotkę i przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Wreszcie koniak zrobił swoje i poczuła ciepło w całym ciele. Drżącą ręką zaczęła się czesać, ale zaraz przestała. Była bliska płaczu. Przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby otepiała.

Nie wiedziała, dlaczego Colter pośpieszył jej z pomocą i skąd w ogóle wiedział, że coś jej grozi. Nie była jednak pewna, czy naprawdę chce poznać odpowiedź.

Northington westchnął, delikatnie podniósł ją z fotela i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie, nie uciekaj - powiedział cicho. - Nigdzie stąd dzisiaj nie pójdziesz. Wiem, że nie masz na to najmniejszej ochoty.

Chciała zawołać „mam!”, ale nadwężone gardło wciąż odmawiało jej posłuszeństwa. Jęknęła boleśnie, kiedy Colter zdjął koc z jej ramion i rzucił go na podłogę. Potem rozebrał ją do końca. Zadygotała z zimna. Colter ostrożnie wziął ją na rękę i zaniósł do balii. Nie zwracając uwagi na nieme protesty Celi, namydlił jej twarz i szyję. Trochę to przypominało ich wspólną kąpiel w Harmony Hill.

Umył jej plecy.

- Siedź spokojnie, księżniczko - powiedział, kiedy zaczęła się wiercić w balii. -

Musisz wiedzieć, że nie przywykłem do takich operacji. Kilka razy dałaś mi do zrozumienia, że nie uważasz mnie za dżentelmena. Co w takim razie powiesz o tych, którzy cię napadli? Wybacz mi szczerą, ale wyglądasz po prostu okropnie.

Popatrzyła na niego spode łba, ale on tylko roześmiał się w odpowiedzi.

- Czego się spodziewałaś? Kłamstwa? Komplementów? Zobacz, tam wisi lustro. Po kąpieli możesz się w nim przejrzeć. - Przemawiał do niej spokojnym tonem jak do dziecka. - A poza tym, o ile mi wiadomo, to nie lubisz kłamców. Nie chlap na mnie. Zmoczysz mi wyjściową kamizelkę i Beaton mnie zruga. Przecież wiesz, że dżentelmeni są terroryzowani przez lokajów.

„Z ciebie taki dżentelmen, jak ze mnie zakonnica!” - chciała krzyknąć Celia, ale nie zdołała.

Northington cały czas coś do niej mówił, aż do końca kąpieli. Raz lub dwa Celia syknęła z bólu, kiedy przemywał jej skaleczenia. Dlaczego przedtem ich nie czuła? Najgorzej podrapane były ręce. Ciekawe, jak to będzie wyglądało rano.

Nawet dokładnie nie pamiętam, co się działo tam, na korytarzu, pomyślała sennie.

Wypity koniak, gorąca kąpiel i czuły dotyk rąk Coltera sprawiły, że poczuła się ocieślała. Colter ponownie wziął ją na ręce, wyjął z balii i zaniósł do sypialni.

Starannie wytarł ją ręcznikiem i położył na ogromnym łóżku.

Celia domyśliła się, co nastąpi, ale się nie broniła. Po wszystkim, co się dzisiaj stało, potrzebowała bliskości i odprężenia. A poza tym tak długo czekała na tę chwilę...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Celia westchnęła z lubością. Colter masował jej plecy i ramiona. Czowała, jak jego dłonie usuwają z niej resztki bólu i zmęczenia. Gdzie i kiedy nauczył się tej cudownej sztuki? Przesunął ręce niżej, wodząc palcami wokół jej kręgosłupa.

- Masz bardzo napięte mięśnie - powiedział stłumionym głosem. - Spróbuj się odprężyć. Przecież wiesz, że jesteś zupełnie bezpieczna. Nikt cię tutaj nie znajdzie. Poszła za jego radą.

- Masażu uczył mnie pewien świątobliwy Hindus - ciągnął Colter, jakby czytając w jej myślach. - Mówił mi, że wystarczy kilka prostych ruchów, żeby przegnać precz smutki i zmęczenie. Wydawało się to łatwe, a jednak długo trwało, zanim zrozumiałem, w czym rzecz, i nabrałem wprawy. Ocienione baldachimem łóżce tonęło w przyjemnym półmroku. Celia poczuła, że przysypia. Przymknęła oczy, lecz następne słowa Coltera sprawiły, iż nagle oprzytomniała.

- Znasz ludzi, którzy cię napadli? - spytał. - Nie zmuszaj się do mówienia.

Wystarczy, że dasz znak głową.

Zaprzeczyła. Niedawne wspomnienia sprawiły, że zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Na szczęście Colter nie przerwał masażu.

- Wydaje mi się, że wiem, kto ich nasłał, ale najpierw muszę cię zapytać o kilka istotnych szczegółów. Chciałbym, żebyś tym razem była ze mną zupełnie szczerą. Podejrzewam, iż całkiem nieświadomie wpakowałaś się w niebezpieczną sytuację. Celia usiłowała się odwrócić, ale jej na to nie pozwolił. Wciąż leżała na brzuchu, a on wprawnie wodził dłońmi po jej plecach.

- Leż spokojnie i słuchaj. Wiem o kilku sprawach, o których nie mówiłaś nawet swojej kuzynce. - Celia szarpnęła się, więc znów przycisnął ją do łóżka. -Przedemną nie musisz niczego ukrywać. Chcę ci pomóc.

Pomóc? Chciał stanąć po jej stronie przeciwko własnemu ojcu? Chyba się przesłyszała. Jestem pijana, pomyślała. To wszystko przez koniak. Najlepiej zrobię, jak się po prostu prześpię. Na pewno nic mi się nie stanie, dopóki Colter jest tu ze mną. To dziwne, przy nim czuję się bezpieczna. Tak, to na pewno wpływ koniaku...

- Celio? Muszę wiedzieć, jak dobrze znasz Carlisle'a. Co cię z nim łączy? Powiedz mi dla własnego dobra.

Carlisle? A co on ma z tym wspólnego? Chyba że... Nie, to nie on ją napadł. Natychmiast by go poznała. Skąd ten pomysł?

- Wiem, że spotkałaś go na statku - ciągnął Colter. - Znaliście się już przedtem? A może przynajmniej o nim słyszałaś?

Celia pomału pokręciła głową. Głębiej wciągnęła w nozdrza zapach czystego prześcieradła. Woń mydła do prania mieszała się z egzotycznym aromatem. To dom schadzek? Nie tak to sobie wyobrażała. Kapiel, zapachy, świeżo wyprana pościel. Gustowne meble, dzieła sztuki, smak luksusu... Och, Colter znów coś mówi.

- Co dostałaś wtedy od Carlisle'a? Książkę? A może pakiet?

Celia z wolna zapadała w otchłań nieświadomości. Z trudem udało jej się pozbierać myśli. Carlisle... Jak przez mgłę widziała jego twarz i jasne włosy. Co on mi dał? Mapę. Nie, plan miasta. Cóż, to przecież nie książka ani nie pakiet. Nieważne. I po co te wszystkie pytania? Nie mogę mówić. A nawet gdybym mogła, to i tak nic bym mu nie powiedziała. Och, jak mnie głowa boli...

- Celio? Kochanie? Powiedz mi, co dostałaś, a będziesz mogła wyspać się do woli.

Dlaczego on tak krzyczy? Celia próbowała sobie przypomnieć, o czym przed chwilą myślała. Mapa. O, właśnie. Pokiwała głową i wychrypiała:

- Mapę...

Colter zaklął cicho, po czym powiedział spokojniejszym tonem:

- A teraz śpij. O reszcie porozmawiamy jutro. Tak, jutro będzie znacznie lepiej. Głowa na pewno przestanie mnie boleć i zrozumie wszystkie pytania. Już od dawna nie czuła się tak bezpieczna. To niezwykle uczucie, pomyślała. Wręcz niesamowite.

Chyba zasnęła, bo kiedy otworzyła oczy, leżała w łóżku, a przez okno, pomiędzy zasłonami, prześwitywało słońce. Celia zmrużyła powieki. Poruszyła się lekko, z obawy przed powrotem bólu. Na szczęście czuła się o wiele lepiej, jeśli nie liczyć podrapanych rąk i siniaków na całym ciele. Chciało jej się pić, ale koło łóżka nie znalazła karafki z wodą. Koniak też zniknął. Wyglądało to tak, jakby w nocy ktoś posprzątał. Przez otwarte drzwi widziała fragment drugiego pokoju. Białę także zabrano. Wkoło panowała cisza. A gdzie Colter? Wyszedł i zostawił ją tu?

Usiadła i zwiesiła nogi za krawędź łóżka. Otuliła się kołdrą, wstała i niepewnym krokiem podeszła do stolika. Nagle zakręciło się jej w głowie. Przytrzymała się blatu, żeby nie upaść. Na stoliku stała woda i dwie szklanki. Brzęk kryształu zabrzmiał w cichym pokoju niczym trzaśnięcie biczem. Celia zerkała w stronę drzwi. A jeśli ktoś teraz wejdzie? Była przecież naga, owinięta jedynie kołdrą.

Muszę znaleźć ubranie i uciec stąd jak najprędzej, pomyślała. W tej samej chwili przypomniała sobie, że jej suknia poważnie ucierpiała podczas wczorajszej przygody. Wzdrygnęła się i wylała część wody na obrus. Odstawiła karafkę, bojąc się, że ją upuści. Woda był ciepła, ale przyjemnie łagodziła drapanie w obolałym gardle. Celia wypila duszkiem dwie pełne szklanki.

- Dzień dobry, moja gołąbeczko. Widzę, że już wstałaś - rozległ się za nią głos Coltera.

Celia zdołała utrzymać się na nogach, odstawić szklanę i nie puścić kołdry. Colter stał w drzwiach i nonszalancko opierał się o framugę. Zamiast wizytowego stroju, w którym był w operze, nosił teraz ciemny surdut, luźne spodnie i wysokie buty.

Ciekawe, gdzie spał dzisiejszej nocy? Dobrze wyglądał jak na tak wczesną porę. Może nawet za dobrze. A ja? - pomyślała ze zgrozą. Włosy w nieładzie, podkrążone oczy...

- Wstałam - odpowiedziała zachrypniętym głosem i poprawiła spadającą kołdrę. - Powinnam już iść do domu. Jacqueline na pewno się okropnie martwi.

Colter się uśmiechnął.

- Wszystko załatwione. Nawet cień nie padł na twoją reputację, a lady Leverton jest zupełnie spokojna. Teraz musimy pomyśleć tylko o tym, gdzie cię najlepiej schować.

- Schować? - Celia popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Chyba oszalałeś. Dlaczego miałabym się przed kimś chować i co nagadałeś Jacqueline? Powiedziałeś jej, gdzie teraz jestem? Na pewno nie! Kto mnie napadł?

- Jesteś tutaj, bo to jedyne miejsce, w którym nikt nie będzie cię szukał - powiedział Colter, wchodząc do pokoju. - A gdyby nawet, to Webster ma przy sobie broń i zapewniam cię, że potrafi zrobić z niej użytek.

- Jeszcze raz pytam: kto mnie napadł? I kto to jest Webster?! - zawołała Celia. - To wszystko jest zupełnie niepotrzebne. Mam się ukrywać przed kilkoma zwykłymi rabusiami?

- Nie podoba ci się tutaj? Dziwne. To jedna z najbardziej obleganych atrakcji Londynu. Naprawdę ślicznie ci w tej kołdrze, ale powinnaś się już raczej ubrać, bo świecisz gołym ciałem.

Celia poczerwieniała jak piwonia i odruchowo podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Wracam do domu - oświadczyła stanowczym tonem. - Do Levertonów. Znajdź mi odpowiednią suknię, bo moja jest podarta.

- Wczoraj byłaś dużo grzeczniejsza. Przynajmniej nic nie mówiłaś. Jednak rad jestem, że kuracja odniosła skutek. - Celia fuknęła na niego ze złością. Colter skwitował to uśmiechem. - To było ci potrzebne. Przecież nic złego się nie stało. Wiesz, kiedy tak patrzysz na mnie zielonymi ślepiami, naprawdę przypominasz

kota. Jesteś niezłą aktorką. O wiele lepszą niż dawniej. To bardzo dobrze, bo musimy teraz odegrać małe przedstawienie, żeby bezpiecznie uciec.

- O czym ty znowu mówisz? Jaka ucieczka? Jakie przedstawienie?

Colter zdecydowanym krokiem podszedł do masywnej szafy i otworzył ją na oścież. W środku Celia ujrzała wspaniałą kolekcję sukien. Czerwone i żółte jedwabie, satyna, cienki muślin i tafta wisiały niczym zaschnięte kwiaty.

- Masz. - Colter rzucił jej suknię z tafty! - Zobacz, czy pasuje. Jak będzie trzeba, to madame może ją trochę przesyć.

Celia instynktownie złapała suknię, ale zaraz rzuciła ją na podłogę i podtrzymała spadającą kołdrę.

- Nie będę nosić tego paskudztwa! - zawołała. - Jeśli chcesz, żebym w ogóle cię słuchała, to najpierw powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi! W przeciwnym razie nawet na krok nie ruszę się z tego pokoju!

Colter z lekką drwiną uniósł brwi i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Madame z pewnością będzie zadowolona z jeszcze jednej owieczki w swoim stadzie. Choć obawiam się, że już po kilku dniach wytężonej pracy doszłabyś do wniosku, że to jednak nie było twoim powołaniem. - Podszedł dwa kroki bliżej.

-Może ustalmy najpierw twoją ulubioną pozycję. Wolisz na plecach, kochanie, czy...

- Przestań! - Celia cofnęła się gwałtownie. - Po co to robisz? Nie wiem, co się dzieje ani dlaczego mnie tu sprowadziłeś! Niczego nie chcesz mi wyjaśnić!

- Wszystko w swoim czasie, Celio. Musisz mi zaufać. Prawdę mówiąc, nie masz innego wyjścia.

Chwycił za kołdrę i nie zważając na protesty Celii, energicznie pociągnął ją do siebie.

- Co ty wypra... Oooch!

Kołdra upadła na podłogę. Northington złapał Celię w ramiona. Ścisnął ją tak, że nie mogła się nawet ruszyć.

- Błagam - powiedziała zrozpaczonym tonem, chociaż wcale nie chciała, żeby to tak zabrzmiało. - Co się dzieje? Nic nie rozumiem.

- Powiem, kochanie. Obiecuję. - Uniósł ją, podszedł do szerokiego łóżka i położył na zmiętej pościeli. - Czy ktoś już ci mówił, jak ślicznie wyglądasz w rozpuszczonych włosach? Żal bierze, kiedy ciasno je splatasz lub upinasz. Wolę cię taką jak teraz... w jedwabistocie lśniącej aureoli o barwie dojrzałego miodu.

- Delikatnie odsunął kosmyk z jej twarzy. - Otwórz się dla mnie - poprosił. Celia przez dobrą chwilę nie wierzyła własnym uszom, ale potem poczuła jego dłonie na swoich nagich piersiach i zrozumiała, że nie żartował.

- Jeżeli chcesz porządnie zagrać swoją rolę, to przyda ci się przedtem mały trening - rzekł uwodzicielskim tonem i położył się tuż przy niej.

Czuła się okropnie, leżąc całkiem naga u boku ubranego mężczyzny. Chociaż było w tym coś podniecającego. Na wszelki wypadek przecząco pokręciła głową.

Usiłowała się odsunąć, ale Colter jej na to nie pozwolił.

- Nie opieraj się. Znam twoje myśli. Kiedyś już byliśmy razem, więc nie musisz się mnie obawiać. Podobało ci się. Pamiętasz to, kochanie? A teraz będzie jeszcze lepiej. Tylko mi pozwól, że cię pocałuję.

Pochylił się nad jej piersią. Celia poczuła pieśczętę jego ust i przymknęła oczy.

Dreszcz rozkoszy przebiegł jej po plecach. Nie potrafiła dłużej się opierać.

Tym razem Colter zachowywał się zupełnie inaczej. Nie było w nim nic z gwałtowności. Poruszał się powoli, emanując siłą. Kiedy się rozebrał, Celia popatrzyła na niego ze szczerym zachwytem.

Wysoki, muskularny, niemal brązowoskóry, wydawał jej się dawnym wojownikiem - herosem z panteonu greckich lub rzymskich półbogów. Zapomniała, że w gruncie rzeczy należał do obozu wroga.

- Pocałuj mnie, kochanie - szepnął jej wprost do ucha. Machinalnie spełniła jego prośbę. Jeszcze chwila, a uniesiona falą rozkoszy, zapomniała o wszystkich kłopotach i zmartwieniach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Była już prawie północ, kiedy Colter wyprowadził Celię z przybytku madame Poirier. Jak gdyby nigdy nic pomógł jej wsiąść do powozu, a sam wskoczył na kozioł i wziął lejce do ręki. Zachowywał się zupełnie swobodnie. Pewnie robił to już mnóstwo razy, pomyślała Celia. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie patrzeć na boki. Bała się, że ktoś ich śledzi. Drżącymi rękami poprawiła żółtą suknię z szeleszczącej tafty i usadowiła się wygodniej na wąskiej ławce. Na głowie miała ciemną perukę i szeroki czepek. Co prawda wyszli bocznym wyjściem, ale i tak istniała groźba, że ktoś mógł ich zobaczyć.

Najbardziej denerwowała się w salonie, w którym kręciło się kilku mężczyzn i kilka mniej lub bardziej rozebranych kobiet. Na szczęście wszystko poszło dobrze. Oparła głowę na ramieniu Coltera i zachichotała głośno, kiedy jej wsunął rękę za stanik. Tylko jeden z gości przelotnie zerknął w ich stronę, po czym zajął się własną towarzyszką.

Chyba niewiele różnię się od dziewcząt z trzódki madame Poirier, pomyślała Celia. W jej oczach wciąż połyskiwały resztki niedawnych miłosnych rozkoszy, a usta miała nieco opuchnięte od pocałunków.

- Gdybym nie wiedział - rzekł Colter, jeszcze leżąc w łóżku - pomyślałbym, że mam do czynienia z kurtyzaną.

Celia usiłowała zerwać się ze złością, ale on tylko się roześmiał i pociągnął ją znów do siebie. Znów uległa. Budził w niej najprawdziwszą namiętność.

Ale co dalej? Jak teraz miały potoczyć się jej losy? Dlaczego pozwala sobą rządzić? To wszystko działo się stanowczo za szybko. Napad, noc w domu schadzek, a potem ucieczka z Londynu i wiszący nad nią cień zagrożenia. A przecież nie zrobiła nic złego. Jej jedyny grzech polegał na tym, że wzięła plan miasta pożyczony jej przez Carlisle'a.

Właśnie, powiedział Colter. To był błąd. Obiecał, że o całej reszcie opowie jej dokładnie, kiedy znajdą się w bezpieczniejszym miejscu. Uwięziona w ciasnym, zamkniętym powozie, Celia nie mogła opędzić się od ponurych myśli. Zanim ruszyli, Colter wziął ją za rękę i złożył na jej dłoni czuły pocałunek.

- Pilnuj się - szepnął - i za nic w świecie nie zdejmuj czepka. Z bliska ktoś może cię rozpoznać.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że jacyś złoczyńcy byli w stanie ją obrabować albo nawet zabić. I to za co? Z powodu mapy, którą dał jej przesadnie grzeczny James Carlisle! Jeśli to prawda, to dlaczego nie przyszli po nią wcześniej? - spytała Coltera. W odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami. W dalszym ciągu nie знаła prawdziwej wartości planu, więc mogła gubić się w domysłach.

Colter w zasadzie nic jej nie powiedział, lecz sama czuła, że w Londynie nie będzie bezpieczna. Zgadzała się z nim, iż najlepiej na krótko wyjechać. Och, ale co o tym pomyśli Jacqueline? Na pewno jest przerażona jej nagłym zniknięciem. Jeśli teraz się dowie, że tak szybko nie wrócę...

- To potrwa tylko kilka dni - zapewnił ją Colter.

Na trakcie za miastem panowały egipskie ciemności, rozjaśniane jedynie lampami powozu. Co gorsza, przy Hounslow Heath wjechali w gęstą mgłę. Nocą w tej okolicy roiło się od bandytów i rabusiów. Colter musiał dobrze znać drogę, bo trzymał lejce pewną dłońią i raz po raz popędzał konia. Lodowaty powiew wpadał do wnętrza powozu. Celia, chociaż była po uszy owinięta pledem, szczykała zębami. Marzyła teraz o swojej pelisie zapinanej aż po szyję.

Była bardzo zmęczona. Znów dały o sobie znać wydarzenia minionej doby. Mimo to nie mogła zasnąć. Zbyt wiele pytań kłębiło się jej w głowie. Pytań, na które nie potrafiła znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi. Długo trwało, zanim zamknęła oczy. We śnie widziała groźne zamaskowane postacie, które zbliżały się w jej stronę. Powóz stanął i obudziła się nieomal z krzykiem. Spojrzała w okno. Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Ktoś zgasił wszystkie lampy. Usłyszała strzępy

prowadzonej szeptem rozmowy. Potem Colter otworzył drzwi powozu, wyciągnął ręce i pomógł jej wysiąść.

- Pospiesz się - polecił. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Celia mruknęła coś zaspanym głosem. Chciała zaprotestować, ale Colter, idąc energicznym krokiem, zaprowadził ją do drugiego pojazdu. Tu na szczęście były gorące cegły, na których mogła oprzeć zziębnięte stopy, i grubszy pled.

- O nic jeszcze nie pytaj, kochanie - szepnął Colter. - Uwierz mi, że to konieczne. Trzasnęły drzwi i ruszyli w dalszą drogę. Celi wydawało się, że wracają, bo okolica wyglądała na znajomą. Tym razem na koźle obok Northingtona siedział ktoś jeszcze - zapewne woźnica. Po chwili minęli jakąś gospodę. Celia nabrała przekonania, że jadą z powrotem do Londynu.

Sprytny podstęp. Jeżeli ktoś ich śledził, to nabrał przekonania, że wyjechali ze stolicy. Dziwne, że przy Northingtonie czuła się bezpieczna. Do niedawna uważałyby to za niemożliwe. Uśmiechnęła się smutno. Jak do tego doszło, że stałam się kochanką syna zniechęconego przeze mnie człowieka? I co powiedziałyby na to *maman*, gdyby jeszcze żyła?

Gdyby żyła, to pewnie do tej pory nie wyściubiłabym nosa poza Amerykę. Nie znałabym Morelanda ani Northingtona. Celia postanowiła, że zaraz po powrocie do Londynu o wszystkim opowie Jacqueline. Po pierwsze, zasłużyła na to, aby poznać prawdę, a po drugie... Celia pokręciła głową. Osłabło jej pragnienie zemsty. Widać sam los już wcześniej pokarał Morelanda, bo słyszała, że po chorobie został inwalidą i nie wychodzi z domu. W tym przypadku opatrność zatriumfowała nad ludzką sprawiedliwością.

Gdybym nie przyjechała, nie poznałabym Cottera, myślała Celia. Kocha go? Tego nie może wiedzieć, bo nie ma pojęcia, czym jest miłość. Rzecz jasna, coś do niego czuje, lecz jak to nazwać? Czy to miłość, czy tylko pożądanie?

Powóz podskoczył i przechylił się gwałtownie. Celia o mało nie spadła z ławki. Chwyliła skórzaną pętlę, wiszącą za jej prawym uchem. Konie pędziły coraz prędzej. Zerknęła w okno, lecz nie zobaczyła znajomych widoków. W szarzejacej nocy majaczyły łagodne wzgórza i wrzosowiska, poprzecinane pasmami mgły. Jechali już kilka godzin. Wreszcie zatrzymali się pod starym drewnianym mostem. Tam miała miejsce jeszcze jedna przesiadka.

- Za jakiś czas staniemy w gospodzie - odparł Colter na pytanie Celi, ile to jeszcze potrwa. - Niedługo zjesz coś gorącego i wyśpisz się w wygodnym łóżku. Na razie musisz wytrzymać. Nie jest tak źle, prawda, kochanie?

Pocałował ją. Celia zaczerwieniła się, świadoma, że woźnica patrzy na nich z wysokości kozła. Wsiadła do czarnej błyszczącej karety, która z pewnością pamiętała dużo lepsze czasy. Zaczęło padać. Poranne słońce schowało się za zasłoną nisko wiszących chmur. Nie mogli jechać z tą samą szybkością co przedtem, bo twardy trakt zmienił się w grząskie błoto.

Celia skuliła się pod pledem, marząc, żeby ta upiorna podróż wreszcie dobiegła końca. Na szczęście nie czekała długo. Kareta zajechała przed przydrożną karczmę na skraju małego osiedla. Parobek podskoczył, żeby wyprząc konie, a Colter pomógł wysiąść Celi i ramię przy ramieniu, w strugach ulewnego deszczu, pobiegli do gospody.

W kominku płonął ogień. Celia od razu wyciągnęła w jego stronę zziębnięte dłonie. Nie zwróciła uwagi na to, co się wokół dzieje. Dopiero po chwili usłyszała za sobą podniesione głosy.

- O nie, mój drogi panie! - zarzekała się jakaś niewiasta. - Dla takich nie ma miejsca w porządnej gospodzie! Nie dam się przekupić!

Celia obejrzała się i zobaczyła postawną i tęgą kobietę w czystym fartuchu, stojącą przed Colterem. Oberżystka - bo to o niej mowa - wzięła się pod boki i zjadliwym wzrokiem spoglądała na Celię, która w tym momencie uświadomiła sobie, że w jaskrawej sukni i w dziwnym czepku rzeczywiście wygląda jak

ladacznica. Obecni w gospodzie mężczyźni ukradkiem zerkali w jej stronę. A niech sobie myślą, co chcą! Celia dumnie uniosła głowę i odwróciła się w stronę kominka, nie odpowiadając na zaczepki.

Colter chyba zdołał brzęczącą monetą ułagodzić gniew oberżystki, bo po kilku minutach postawiła na stole dwa kubki wina.

- Pokój będzie gotowy za chwilę - powiedziała nadętym tonem - ale na górze, od podwórka.

Prawdopodobnie tuż nad chlewem, dopowiedziała w myślach Celia, lecz nie odezwała się ani słowem. Colter wrócił z kuchni, niosąc dwa befsztyki, chleb i pasztet. Usiadł naprzeciwko Celi.

- Już nigdy więcej jej nie spotkasz - obiecał.

- To wszystko przez tę suknię. Powinna się przebrać. Wprawdzie nie dbam o to, co myśli ta stara krowa, ale wolałabym nie zwracać na siebie uwagi.

- Na razie nie ma na to czasu. Zostaniemy tu jedynie kilka godzin, dopóki nie odpoczniesz.

- Po co ten pośpiech? Nie możemy po prostu iść na policję i...

- To nie jest takie proste. Powiedz mi wszystko, co wiesz o mapie.

- Mówiłam ci już dwa razy. Pamiętam tylko, że była pokreślona. Przy niektórych ulicach widniały krzyżyki. Na nazwy nie zwróciłam uwagi.

- Masz, jedz - Colter sięgnął przez stół i pokroił befsztyk. Ostrze noża błysnęło zimno w przyćmionym blasku ognia padającym z kominka. - Mięso trochę twarde, ale zupełnie niezłe. Połóż je na chlebie, to łatwiej pogryziesz.

Celia wpatrywała się w Coltera nieruchomym wzrokiem.

- Już wiem - powiedziała nagle. - Czytałam o tym w gazetach. Chodzi o tak zwane Sześć Ustaw, prawda? Ludzie są źli. Niektórzy z nich nawołują nawet do ustąpienia parlamentu.

- Anglicy są skorzy do pakowania się w kłopoty. - Podał jej pajdę chleba z mięsem.

- Bierz się do jedzenia. Musisz mieć dużo siły. Będzie ci potrzebna.

Celia pochyliła się nad stołem i powiedziała rozkazującym tonem:

- Chcę wiedzieć, dlaczego ciągasz mnie po całym kraju! Co z tym ma wspólnego Carlisle? Co to za mapa?

Colter gwałtownie poderwał głowę i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Do stu piorunów, mów trochę ciszej, Celio! Lepiej pamiętaj, co ci grozi. Chyba że rzeczywiście uczyłaś się szermierki.

- Skłamałam. Nie brałam żadnych lekcji.

- To ci dopiero niespodzianka - zauważył z przekąsem Colter. - A teraz jedz. Na dobrą sprawę nie wiadomo, kiedy będziemy mogli znów spokojnie zasiąść do posiłku.

Przestała o cokolwiek pytać, bo i tak niczego by jej nie wyjaśnił. Był uparty jak osioł. Tylko raz na nią zerknął i zajął się przeżuwaniami łykowatego mięsa.

- Mam nadzieję, że dużo za to nie zapłaciłeś - powiedziała Celia. Roześmiał się. *J*

- Robisz się zbyt wybredna, moja droga. Gospodyni chciała nas stąd wyrzucić w trosce o moralność stałych klientów. Cieszymy się więc tym, co mamy. Jeżeli jesteś odporna na ocet, to możesz jeszcze wypić łyk wina.

Pokój, który im wynajęto, był wyjątkowo marny, ale na szczęście na łóżku leżała czysta pościel i materac, a nie stary siennik. Celia niezdecydowanie stanęła pośrodku izby przed wygasłym kominkiem. Jęk wiatru świszczącego przez szpary w oknie przyprawiał ją o dreszcze.

- Zdaje się, że za ogień musimy dopłacić - zauważył Colter. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. - Za to widok jest całkiem za darmo. Lubisz świnie?

- Masz znakomity humor jak na kogoś, kto w samym środku nocy uciekał z Londynu. Ja przynajmniej trochę się przespałam. A ty?

- Przywykłem do tego. Żołnierz na polu bitwy rzadko się wysypia.

- Ach, prawda, zapomniałam, że jesteś bohaterem. - Celia usiadła na skraju łóżka. Zatrzeszczało lekko pod jej ciężarem. - Na pewno dokonałeś wielu wspaniałych czynów, łącznie z zabijaniem.

Colter odwrócił się od okna. W półmroku nic nie mogła wyczytać z jego twarzy.

- Tak - odparł cicho. - Nie tylko we Francji, także w Ameryce.

Celia zastygła z pantofelkiem w rękę i nogą opartą o brzeg łóżka. Zdążyła zapomnieć, kto się kryje pod maską dżentelmena. Kilka miesięcy temu, na plaży nad Kanałem, widziała ów diabelski błysk w oczach Coltera, gdy z pistoletem w dłoni szedł na poszukiwanie człowieka, który do niego strzelał. Przywykł do walki, a to czyniło go niebezpiecznym. Jak mogła o tym nie pamiętać? Pantofelek wysunął się jej z dłoni. Schyliła się, żeby go podnieść, a gdy uniosła głowę, Colter znowu patrzył przez zalane deszczem okno.

- Zostań tutaj - powiedział. - Spróbuj odpocząć. Niedługo wrócę.

Nie zapytała, dokąd się wybiera. I tak by jej tego nie powiedział. Zresztą nie była pewna, czy chciałyby to wiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zimny deszcz przypominał kleistą pajęczynę. Lepił się do twarzy i do włosów.

Zanim Colter doszedł do stajni na tyłach gospody, był już mokry. Pod płaszczem niósł dwa nabite pistolety, ze świeżym prochem na panewkach. Z cienia na tyłach stajni wynurzył się jakiś człowiek. Colter rozpoznał go natychmiast. Tyler podszedł bliżej, po drodze omijając parujące grudy końskiego łajna.

- Śledzili cię - powiedział na przywitanie i wskazał głową północ.

- Są gdzieś blisko? - Colter schował się pod okap stajni.

- Jeszcze nie, ale niedługo będą. To nie policja. Leverton ich wynajął.

- Bardzo ciekawe, jak nas znaleźli. Czego się dowiedziałeś? Tyler omiół spojrzeniem puste podwórko.

- Chyba się domyślasz.

- Mowry?

Tyler drgnął, ale przytaknął.

- Tylko on jeden wiedział o twoich planach.

- Później się nim zajmę. Ktoś znalazł mapę?

- Przeszukano pokój dziewczyny. Pokojówka zarzeka się, że nic nie wie. Ruthven staje na głowie, żeby coś ustalić. Za kilka dni odbędzie się następny wiec. Jeżeli odzyskali plan, to Carlisle bez wątpienia się wygada.

- Ustalono tożsamość któregoś z napastników? Raczej nie. Jeden z nich na pewno zginął z mojej ręki, ale mieli wystarczająco dużo czasu, żeby usunąć zwłoki.

Dlaczego Carlisle miałby ją napadać? Przecież zamierzała dzień później oddać mu tę przeklętą mapę.

- Na „Liberty” pospiesznie pozbył się dowodów, bo wiedział, że go obserwujesz.

Potem na pewno wpadł w panikę, kiedy zobaczył, że się znacie. -Tyler oparł się

ścianę. - Bał się, że go uprzedzisz.

- Być może. Coś w tej sprawie ciągle mi nie pasuje. Celia dostała mapę już trzy miesiące temu. Dlaczego czekał do tej pory?

- A ten poprzedni napad, o którym mi mówiłeś? Może to była pierwsza próba?

- Może. - Colter podrapał się po brodzie. - To wcale nie musieli być ludzie od Carlisle'a.

Tyler powoli skinął głową.

Przeklęty Mowry, pomyślał Colter po rozstaniu z Tylerem. Znow się wtrąca.

Pogadam z nim później. Teraz trzeba gdzieś ukryć Celię. W zasadzie mogłem ją oddać pod opiekę Katherine, ale nie chciałem, żeby w najbliższych dniach była w Londynie...

Celia. Zielonooka czarownica. Do czasu poznania Celi nie myślał tak dużo o żadnej kobiecie, i to chyba najbardziej go drażniło. Miał przed oczami jej twarz, słyszał jej miękki głos, czuł zapach ciała, marzył o słodkich ustach... Drażniła go, a jednak nie potrafił o niej zapomnieć. A przecież nie mógł wiecznie trzymać jej przy sobie.

Zwłaszcza teraz. Panna St. Clair stanowiła poważne i, co gorsza, niespodziewane zagrożenie jego dalszych planów. Przypominał sobie jej ufne spojrzenie. Tak, wierzyła, że przy nim będzie bezpieczna.

Podczas ucieczki ani przez chwilę nie skarżyła się na swoje położenie. W milczeniu znosiła trudy podróży. Wykazywała o wiele więcej odwagi i hartu ducha, niż można było po niej się spodziewać. Niczym nie przypominała panien z dobrych domów, z którymi wcześniej miał do czynienia. Tamte szukały w życiu tylko przyjemności. Z Celią było zupełnie inaczej.

Okazała się silna i pewna siebie, wręcz uparta. Nie ulegała przeciwnościom losu.

Northington oddałby niemal wszystko, żeby zgłębić jej tajemnicę. Domyślał się, że nie powiedziała mu czegoś ważnego, co jednak nie miało związku ze spiskiem.

Tego był pewien.

Nad krajem zawisła groźba krwawej rewolty. To już nie były domysły. Colter zaklął pod nosem. Nadchodzący z przeciwka młody stajenny zerknął na niego z

przestrachem i ominął go szerokim łukiem. Colter ponuro uśmiechnął się do siebie. Nie miał pretensji do chłopaka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w takich chwilach wygląda groźnie. Co zrobić z Celią? Wysłać ją do Harmony Hill? Nie, to zbyt niebezpieczne. Jeżeli Tyler mówił prawdę, to jej głównym wrogiem nie był Carlisle, ale raczej Mowry. Jak się przed nim ukryć?

Krople deszczu z monotonnym szumem bębniły w dach stajni. Zza drzwi gospody dobiegały piskliwe dźwięki skrzypiec. Colter już wiedział, gdzie schować Celię. I wiedział też, że wcale jej się to nie spodoba.

Celia nie miała najmniejszej ochoty znów uciekać. Szarpała się, kiedy Colter wyciągnął ją z ciepłego łóżka i wyprowadził w deszczową noc. Owinięta w gruby wełniany koc, narzucony na żółtą suknię, protestowała zaspanym głosem:

- Naprawdę nie możemy poczekać do rana? Nie chcę wyjeżdżać już teraz!

- Ciszej, Celio, na litość boską! - rzekł jej wprost do ucha. Zadrżała, słysząc w jego głosie nutę złości. Niespodziewanie wydał jej się odległy i obcy, jakby mówił do konia, a nie do kobiety, z którą dzielił łożo.

Nie zwracając uwagi na jej opór, Colter wsadził ją na wierzchowca. Usiadła po męsku i chwyciła łęk siodła, żeby się nie zsunąć. Suknia zawinęła się jej aż do kolan, ale Colter nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Wsiadł na drugiego konia i skinął, żeby jechała za nim. Chwilę później byli już za główną bramą i zniknęli w ciemnościach nocy.

Zimny styczniowy wiatr przeszywał ich do szpiku kości. Celia starała się trzymać blisko za Colterem. Końskie kopyta dudniły głucho o ziemię. Deszcz siekł po twarzy, chociaż Celia nisko spuściła głowę i nasunęła czepek głęboko na czoło. Raz po raz wstrząsały nią dreszcze, ale milczała, bo podejrzewała, że Northington i tak pewnie by się nie zatrzymał, by odpowiedzieć na jej natarczywe pytania.

Noc z wolna przechodziła w dzień. Celia miała wrażenie, że jedzie całą wieczność. Bolały ją wszystkie mięśnie. Colter zatrzymał się dopiero o świcie. Dotarli do posępnej górzystej okolicy, między zębate skały porośnięte zeschniętą

winoroślą. Nagie pnącza klekotały na wietrze niczym kości. Wiatr wył ponuro wśród kamieni. Zmęczona Celia drżała jak osika.

Z wolna wjechali pod olbrzymi nawis. Tutaj przynajmniej deszcz nas nie dosięgnie, pomyślała.

Colter pomógł jej zsiąść z konia i zaprowadził ją do niewielkiej groty. Wewnątrz czuło się wilgoć. Colter posadził Celię na kamieniu, a sam zajął się końmi.

Rozkulbaczył je i nakarmił z worka pozostawionego zapewne przez poprzednich mieszkańców jaskini. Ci sami ludzie ułożyli pod ścianą w miarę suche drewno.

Colter przysiadł na piętach i rozpałił niewielkie ognisko.

Kiedy zabłysnął pierwszy płomyk, odwrócił się w stronę Celi.

- Za bardzo dymi - orzekł. - Niedługo muszę je zgasić. Chodź, ogrzej się trochę.

Celia bez słowa usiadła obok niego i wyciągnęła ręce do ognia. W widmowym blasku twarz Northingtona wydawała jej się pozbawiona poprzedniego napięcia.

- Ściągnij z siebie ten koc - powiedział. - Trzeba go wysuszyć.

Nie poruszyła się, bo było jej potwornie zimno. Colter sam musiał zdjąć koc z jej ramion i przytrzymać go nad ogniskiem. Jak on to robi, że w ogóle nie czuje zmęczenia? - zastanawiała się Celia.

- Zostaniemy tu na noc? - zapytała, kiedy rozgrzała się na tyle, że mogła mówić.

Northington spojrział na nią przez zasłonę z dymu.

- To najsuchsze miejsce w całej okolicy.

Celia poruszyła nogami, żeby odkleić fałdy przemoczonej sukni. Spojrzała w bok.

- Mamy coś do jedzenia

- Chleb i mięso. Niezbyt wiele, ale to lepsze niż śniadanie z korzonków i kamieni.

Koc niemal już wysechł. Colter rozpostarł go na tym samym gładzie, na którym przedtem położył swoją pelerynę i zajrzał do juków. Po chwili przyniósł zimne mięso, ser i kawał razowego chleba.

Jedli w milczeniu. Ogień przygasł i pozostały tylko rozżarzone węgle. W grocie zrobiło się ciemno i zimno. Konie stały w pobliżu wyjścia, z nisko opuszczonymi łbami. Chyba spały. Dym nieruchomo wisiał w powietrzu ciemną smugą. Nie pachniał już tak mocno jak przedtem.

Celia usłyszała, że Colter wstał i podszedł do siodeł. Coś tam przerzucał, a potem wrócił do niej.

- Lepiej prześpijmy się parę godzin. Zdaje mi się, że spadnie śnieg, a niedługo musimy znowu ruszać.

Parę godzin? W ponurym nastroju pozwoliła mu się zaprowadzić na tył jaskini, gdzie czekały dwa naprędce sklecone posłania. Z westchnieniem wyciągnęła się na twardej skale. Colter położył się tuż za nią i przyciągnął do siebie.

- Tak będzie nam cieplej, księżniczko - szepnął. Celia wzdrygnęła się, kiedy poczuła jego oddech na swoim karku. On jednak się nie odsunął. Pomału rzeczywiście zrobiło się jej cieplej.

Na zewnątrz nieustannie wiał wicher. Czasami brzmiało to niczym jęk potępieńca.

W jaskini czuć było dymem, końskim potem i wilgocią. Celia zamknęła oczy, czując, że Colter gładzi ją po brzuchu. Poczowała się nieco lepiej - nie trzęsła się już z zimna.

Colter chyba to wyczuł, bo przez dłuższą chwilę powoli wodził dłońmi po jej ciele. Poznawała te ruchy i wiedziała, gdzie przesunie rękę. Wreszcie trącił ją w ramię, jakby dla zachęty. Natychmiast odwróciła się twarzą do niego.

Znów byli razem. Czowała tę samą rozkosz, kiedy dotykał jej nagiego ciała, gdy delikatnie muskał ustami jej twarz, szyję i piersi... Ani się spostrzegła, a już się kochali, zapominając o kłopotach, strachu i zmęczeniu.

Może to było najwłaściwsze? Może to właśnie była wielka tajemnica życia? Może ludzie byli stworzeni dla siebie, żeby porozumiewać się bez słów, jedynie za pomocą czułych gestów?

- Przytul mnie, Celio - usłyszała namiętny szept Coltera i uświadomiła sobie, że z nim dzieje się to samo. Ciasno zamknęła go w ramionach i trwali, złączeni jednym rytmem.

Straciła poczucie rzeczywistości. Nie wiedziała nawet, czy oddycha, czy też stała się widmowym duchem, szybującym w przestworzach. Słuch płatał jej psikusy, więc myślała, że to tylko gra roznamiętnionej wyobraźni, kiedy w pewnej chwili usłyszała głos Coltera:

- Och... Za jakie grzechy muszę cię zostawić?

Potem zasnęli, wtuleni w siebie, jakby stanowili jedno ciało.

Colter wstał pierwszy. Na dworze wciąż panował półmrok i w jaskini zalegały cienie. Obudził Celię. Zaprotestowała sennym głosem, więc bezceremonialnie ujął ją pod pachy i posadził.

- Już prawie dzień - powiedział. - Spaliśmy trochę za długo. Wstawaj, księżniczko. Pomrukując z cicha, pozwoliła, żeby ją ubrał. Rozbudziła się dopiero wtedy, gdy rzucił jej parę męskich spodni.

- A to co? - spytała, marszcząc brwi.

- Włóż je, Celio. Nie mamy czasu na kłótnie. Podarłaś suknię. Na twoim miejscu nie martwiłbym się o wygląd, ale o to, czy mi będzie ciepło. To spodnie jednego ze stajennych z gospody. Pospiesz się. Musimy jechać.

Spodnie były za duże. Celia ściągnęła je paskiem, ale i tak przypomniała chłopca, który dla zabawy przebrał się za ojca. Czowała się dziwnie, chociaż rzeczywiście zrobiło jej się cieplej. Bez żalu patrzyła, jak Colter zwinął żółtą suknię i upchnął ją do juków.

Na dworze było posepnie i szaro. Dawno już zjechali z utartego szlaku i zdążali na przełaj, byle dalej przed siebie. Celia miała nadzieję, że Colter wie, co robi. Minęli las. Na ziemi leżała cienka warstwa śniegu. Słońce nieśmiało przebiło się przez chmury, którymi niebo było zasnuwane aż po horyzont.

Lekki wiatr przyniósł słony zapach morza. W górze latały rybitwy, a rozmiękły grunt z wolna zmieniał się w twarde wapienne skały. Dokąd jechali? Do Harmony Hill? Nie... To byłoby zbyt oczywiste.

Celia skuliła się w siodle. Westchnęła z ulgą, gdy zobaczyła ciepły promień światła, sączący się między drzewami. Dojeżdżali do zagrody. Z bliska okazało się, że to nie zagroda, a obóz. W kępie jesionów stały jaskrawo malowane wozy na kołach.

Pośrodku płonęło duże ognisko. Słup dymu wzbijał się w szare niebo. Celia natychmiast rozpoznała człowieka, który wstał od ognia, żeby ich przywitać.

Zaniepokojona spojrzała na Coltera.

Santiago uśmiechnął się szeroko na widok przybyłych. Powitał ich i dał znak, żeby zsiadli z koni. Celia zawahała się, widząc Maritę, stojącą tuż poza kręgiem światła. Colter jednak nie dał jej czasu do namysłu. Zeskoczył z siodła, podszedł do niej, uniósł jak piórko i postawił na ziemi koło siebie. Opiekuńczym gestem położył jej dłoń na ramieniu, jakby chciał podkreślić, że są razem. Była mu za to wdzięczna, ale już po chwili zrozumiała ze strachem, że chce ją tu zostawić, wśród tych okropnych ludzi.

- Nie - zaprotestowała, zanim pociągnął ją w stronę kolorowych wozów. -Dobrze wiem, co zamierzasz zrobić. Nie zgadzam się! Słyszysz? Nie zostanę tutaj!

Jeden z Cyganów roześmiał się na całe gardło, pokazując zdrowe białe zęby. Celia z przerażeniem patrzyła na Coltera. Szybko chwycił ją za rękę.

- Chociaż raz przestań być niemądra! Chodź, ogrzejesz się i odpocznesz trochę, a ja przez ten czas załatwię sprawy.

- Nie zostanę tutaj - powtórzyła. - Wymyśl coś innego.

- Idź do wozu. Tam porozmawiamy. - Niemal na siłę wepchnął ją po czterech wąskich schodkach i rzucił na odchodnym: - Czekaj tutaj. Najpierw pogadam z Santiago. Zaraz wrócę.

Gdy ponownie się zjawiał, zrozumiała, że nic się nie zmieniło.

- Błagam cię - szepnęła. - Zastanów się, co robisz. Jeśli zostanę tutaj, potem już nie będę mogła pokazać się ludziom na oczy! Nie dość, że mnie porwał z teatru i zabrałeś do... do... domu schadzek, to teraz jeszcze każesz mi mieszkać z Cyganami. Na jak długo chcesz mnie tu zostawić? Nawet nie wiem, kiedy cię znów zobaczę. Zabierz mnie do Londynu. Dam sobie radę.

Siedzieli tylko we dwoje w ciasnym wnętrzu wozu, między łóżkiem, małym stolikiem i szafką wciśniętą pod ścianę. W oknach wisały kolorowe zasłony, ale z porozrzucanych rzeczy można było wnosić, że na co dzień mieszka tu mężczyzna.

- Cicho bądź! - burknął Colter i obrzucił ją groźnym spojrzeniem. - Nie powinnaś obrażać Santiago takim zachowaniem. Nikt tutaj cię nie znajdzie, Celio. Nie możesz wracać do Londynu, skoro nie wiemy, kto naprawdę stoi za napadem. Moje pierwotne podejrzenia okazały się niesłuszne.

- Ile czasu mam z nimi siedzieć? - zapytała drżącym ze zdenerwowania głosem.

- Tak długo, aż uda mi się rozwikłać tę sprawę.

- Przecież to może się ciągnąć tygodniami!

- Nawet dłużej, jeżeli chcesz być zupełnie bezpieczna. Posłuchaj, Celio, nie usiłuję cię przekonać, że będziesz tutaj najszczęśliwsza w świecie. Na pewno jednak nie zaznasz krzywdy. Santiago się tobą zajmie. Mam do niego pełne zaufanie.

- Tak? Zdążyłeś już zapomnieć, że to jego córka próbowała mnie zabić!

- Za dużo w tym emocji, za mało logiki - odparł Colter. - Pomyśl przez chwilę.

Przechwalałaś się przed Maritą, że świetnie potrafisz jeździć.

- Ale na ujeżdżonym koniu!

- Celio, poradziłaś sobie całkiem nieźle. Na pewno nic by się nie stało, gdybyś nie wjechała w sam środek strzelaniny.

Zrozumiała, że go nie przekona. Ze złością zacisnęła usta.

- Wyjeżdżam z samego rana - dodał Colter. - Obiecuj mi, że będziesz grzeczna do mojego powrotu. Żadnych ucieczek, zgoda?

- Niczego nie obiecuję! - Prawdę mówiąc, nie bała się tego, że ją zostawia, ale tego, że ktoś chciał ją skrzywdzić. Jak jednak miała wytłumaczyć Colterowi, że tylko przy nim czuje się bezpieczna?

Złapał ją za ramię i ścisnął tak mocno, że aż syknęła z bólu.

- Do diabła, przecież wiesz, że to nie zabawa! - rzekł z gniewem. - Zostałaś napadnięta. Co będzie, jeżeli oni nadal cię szukają? Chcesz ryzykować życie?

- Nie... Jasne, że nie chcę - odparła. Nie próbowała uwolnić się z jego uścisku. - Właśnie dlatego wolę zostać z tobą - dodała ciszej.

Wzrok Coltera nieco złagodniał.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mogę cię teraz zabrać - odparł. - Tutaj będziesz o wiele bezpieczniejsza - powtórzył. - Muszę działać po swojemu.

Niedługo wrócę. Uwierz mi.

Wiedziała, że nie kłamie, chociaż nie mówi jej wszystkiego. To raczej ona go okłamywała. Przyrzekła sobie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji, powie mu prawdę - o Morelandzie, o Leonie i Peterze, a także o sobie. Nie pominie żadnych szczegółów. Przez ostatnie miesiące żyła na krawędzi kryzysu nerwowego. Ciągłe napięcie zbierało swoje żniwo. Dosyć tego. Musi wszystko wyznać Jacqueline, nie mówiąc już o Colterze.

Ale nie teraz. Później, jak wróci, pomyślała. Kiedy upora się z przeciwnikami i zdrów przyjedzie po nią do obozu. Chciała wiedzieć, kto stał za tymi napadami.

- Dobrze - odpowiedziała. - Przyrzekam, że nie będę próbować ucieczki, ale wróc jak najszybciej, Colterze. Nie potrafię bez ciebie żyć.

Uniósł brwi i odparł:

- Mała kłamczucha. Na pewno nie będziesz tęsknić. W ogóle ci na mnie nie zależy. Skąd wiesz? - spytała w duchu. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo jesteś mi potrzebny. Celia domyśliła się, że Colter jest kimś w rodzaju szpiega albo wywiadowcy, i to jeszcze bardziej utrudniło obecną sytuację. Mieli przed sobą ostatnią noc. Żadne z nich nie wiedziało, kiedy się znów zobaczą. Celia niemal ze szlochem rzuciła się w jego ramiona.

- Jesteś stworzona do miłości - szepnął. - A to w tobie najbardziej kocham. -Zaczął pieścić jej brzuch i piersi. - Lubisz to, prawda? Chciałbym codziennie widzieć, jak mrużysz oczy i prężysz się z zadowolenia. Jak śmiejesz się na mój widok...

Celia jak przez mgłę pamiętała, co było dalej. Słyszała tylko, że namiętnie szeptał jej imię i zapewniał, że wkrótce wróci. Wierzyła mu. Chciała wierzyć. Odjechał następnego ranka, po ostatnim czułym pocałunku. Celia odwróciła się twarzą do ściany, żeby nie widział łez w jej oczach. Żadne z nich nie spało; kochali się aż do pierwszego brzasku. Colter był wyjątkowo namiętny i czuły. Zachowywał się tak, jakby chciał ukoić jej obawy lub pożegnać się z nią na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jacqueline przez dwie kolejne noce nie mogła zmrużyć oka. Chora ze strachu, uspokoila się dopiero wtedy, gdy nadeszła wieść, że Northington wrócił do Londynu. Nie trwało to jednak długo.

- A gdzie Celia? - zapytała męża. - Och, Jules, powiedz mi, że są razem i że nic jej się nie stało. Nie kręć głową, chcę znać całą prawdę.

- Kochanie, musisz być silna - powiedział Leverton. Przeszedł na drugą stronę pokoju i uklęknął na jedno kolano przy żonie. - Northington twierdzi, że nic o niej nie wie. Policja także jest bezradna. Dwa dni temu ktoś widział Northingtona w towarzystwie kobiety, ale niestety, nie ma pewności, że to była Celia.

- Ten liścik... Nie odeszłyby bez słowa. Nie wierzę. Northington musi coś ukrywać. Był z nią, widziałam ich razem w operze. A ten drugi? Jak on się nazywał? Nie potrafię sobie przypomnieć. - Z rozpaczą popatrzyła na męża. - Myślisz, że to ma coś wspólnego z napadem na Mayfair?

- Całkiem możliwe. - Jules mocno ścisnął jej rękę. - Musisz uwierzyć, że nic jej się nie stało. Przysłała list...

- Och, dlaczego nikt nie chce mnie słuchać? Celia nie napisałaby w ten sposób! Została zmuszona do ucieczki. Lily twierdzi, że ktoś przeszukał szafy i kufry w pokoju Celi. Jestem święcie przekonana, że to sprawka Janey. - Popatrzyła na męża, jakby się spodziewała, że w magiczny sposób sprowadzi kuzynkę. - Mam przecucie, że wbrew temu, co mówi policja, te dwie sprawy są ze sobą związane -dodała.

Jules jej nie wierzył. Nie powiedział tego na głos, lecz poznawała to po jego spojrzeniu, po uspokajających słowach i po sposobie, w jaki gładził ją po dłoni. To było ogromnie denerwujące. Jacqueline wyrzucała sobie, że zawiodła Celię i pamięć

o Leonie. Northington na pewno musi coś wiedzieć. Dlaczego nie chciał nikomu nic powiedzieć? Tak łatwo nie ustąpię, postanowiła. Wsparła głowę na oparciu sofy.

- Jestem tym wszystkim zmęczona, mój drogi.

Muszę trochę odpocząć. Bądź tak łaskaw i poproś Hester, żeby przyniosła mi coś do picia.

- Oczywiście, kochanie.

Kiedy tylko Jules wyszedł z pokoju, Jacqueline wstała i podeszła do biurka. Z szuflady wyjęła czystą kartkę, zamaczała pióro w kałamarzu i zaczęła pisać.

Przerywała dwa razy, żeby zastanowić się nad następnym zdaniem.

Po chwili weszła Hester z kubkiem gorącego mleka. Jacqueline kazała jej natychmiast oddać list posłańcowi.

- Daj mu miedziaka, żeby się sprawił jak najszybciej - powiedziała. Pokojówka skinęła głową i zabrała zapieczętowaną kopertę.

Jutro, pomyślała z uporem Jacqueline, sama wybiorę się do Northingtona.

- Obawiam, że jego lordowska mość wyszedł - z kamienną twarzą powtórzył lokaj, przyglądając się Jacqueline. - Już to pani mówiłem, milady. Jeśli zostawi pani bilecik...

- Nie. Muszę się z nim widzieć. Nic mnie to nie obchodzi. - Zdecydowanym ruchem zdjęła rękawiczki i z determinacją spojrzała na lokaja. - Nie pozwolę się wyrzucić.

Proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, że nie wyjdę, dopóki z nim nie porozmawiam. Na pewno mnie przyjmie.

Lokaj skinął głową i oddalił się dostojnym krokiem. Lady Leverton cierpliwie czekała w sieni.

Chciała, żeby spostrzegli ją domownicy. Kilka chwil później Northington pojawił się na schodach, wiodących na pierwsze piętro. Na jego przystojnej twarzy malował się wyraz uprzejmego zainteresowania.

- Moja droga lady Leverton, obawiam się, że przyszła pani do mnie zupełnie niepotrzebnie. Nic nie wiem. Nie potrafię rozproszyć pani wątpliwości.

- Owszem, potrafi pan - odpowiedziała stanowczo. - Nie jestem dzieckiem i nie dam zbyć się byle wymówką. Tu i ówdzie słyszałam rozmaite pogłoski. To także dotyczy pana - dodała znaczącym tonem.

- Bardzo ciekawe. Zapraszam *do* gabinetu. Jeszcze raz spróbuję pani udowodnić, że panny St. Clair tu nie ma.

- Ale na pewno zna pan jej miejsce pobytu. Proszę nie zaprzeczać. Northington zaprowadził Jacqueline do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Zajęła miejsce w fotelu. Colter stanął, opierając się o masywne biurko. Przybrał na pozór nonszalancką pozę, lecz zachował czujność.

- W swoim liście wspominała pani o torebce. Skąd pewność, że mnie to w ogóle zainteresuje?

- Ktoś włamał się do mojego domu wtedy, kiedy byliśmy w operze. Wiem, czego szukano. Mam to. - Uśmiechnęła się, widząc zainteresowanie Coltera. - Nie rozumiem tylko, co w tym szczególnego? Pytam zatem raz jeszcze: gdzie jest Celia? Czy w pełni zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji? Wie, co znalazło się w jej posiadaniu?

- Dużo pytań, lecz mało odpowiedzi. Znam tylko jedną: nie mam pojęcia.

- Wymiguje się pan, milordzie. Powiem panu zatem, skąd wpadłam na pomysł, czego należy szukać. Otóż bandyci, którzy nas napadli w biały dzień przy Berkley Square, nawet nie rzucili okiem na klejnoty. Miałam pierścionek ze szmaragdem i brylantową broszkę. Każdy rozsądny złodziej by to zabrał. Ale torebkę?

Przemyślałam to wszystko i przypomniałam sobie, że najbardziej zwracali uwagę na papiery. A teraz oczekuję od pana szczerzej odpowiedzi: czy to ma coś wspólnego ze zniknięciem mojej kuzynki? I co ważniejsze - czy jest bezpieczna?

Zapadła cisza.

- Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że Celia jest cała, zdrowa i bezpieczna -odparł Colter. - To wszystko. Teraz jednak pani znalazła się w niebezpieczeństwie.

Powinna pani jak najszybciej przekazać swoje znalezisko w odpowiednie ręce.

- Domyślałam się, że pan to powie, ale przysługa za przysługę. - Jacqueline pochyliła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli wybuchnie skandal, to Celia już nigdy nie znajdzie odpowiedniego męża. To właśnie pan ponosi za to główną winę. Myślał pan, że naprawdę niczego nie zauważę? Dobrze, że jej osoba do tej pory nie stała się tematem plotek.

- Jak rozumiem, dąży pani do zawarcia pewnej umowy - zauważył Colter.

Jacqueline odniosła wrażenie, że jednak posunęła się za daleko.

- Tak - odrzekła krótko. Nie potrafiła nic wyczytać z jego nieruchomej twarzy, więc dodała: - Pan zrobi wszystko, żeby przywrócić Celi dobre reputację, a ja powiem panu, gdzie należy szukać „skarbu”.

- A jeśli się zgodzę?

- Dostanie pan do ręki rzecz, dla której wielu ludzi jest skłonnych do morderstwa.

- Skąd mam wiedzieć, że pani się nie pomyliła?

Jacqueline głęboko zaczerpnęła tchu i podjęła kolejną decyzję. Szybkim ruchem rozwiązała rzemyki torebki i wyjęła plan miasta. Spojrzenie Northingtona upewniło ją, że miała rację.

- I cóż, milordzie? - zapytała. - Dojdziemy do porozumienia?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W nocy spadł śnieg. Celia odciągnęła zasłonki i wyrzała na zewnątrz. W wozie było okropnie zimno. W małym piecyku, w którym napaliła przed zaśnięciem, pozostały tylko gasnące węgle. Przesunęła ręką po ciemnych lokach. To Santiago namówił ją, żeby ufarbowała włosy. Nosiła też jaskrawą bluzkę i obfitą cygańską spódnicę. Trzeba przyznać, że czuła się w tym stroju lepiej niż w ciasnych i krępujących halkach. Włosy miała sztywne od barwnika, ale na szczęście już się nie lepily. Nie zaplatała ich jak przedtem. Santiago zapewniał ją, że farba z czasem zblaknie. Ciekawe, czy już po wszystkim? - zastanawiała się, patrząc w okno. Od miesiąca nikt nie zbliżał się do taboru. Nic w tym dziwnego, bo Cyganie obozowali przecież na ziemiach Northingtona. Niekiedy wydawało jej się, że ze szczytu pobliskiego wzgórza widać na horyzoncie dachy posiadłości. Najwięcej czasu spędzała w wozie. Z Maritą rozmawiała tylko raz, i nie było to przyjemne.

Ale przynajmniej czegoś się dowiedziała.

Marita przyszła do niej, gdy w obozie nie było żadnego z mężczyzn. Jedni wybrali się na polowanie, inni zaś poszli do wsi, żeby sprzedać patelnie.

- Uważasz, że zostawił cię tu w trosce o twoje bezpieczeństwo? - zapytała Cyganka. Złośliwy uśmiech wykrzywił jej karminowe usta.

- Ręczył za to twój ojciec - chłodno odpowiedziała Celia. - To sprawa honoru.

Marita syknęła niczym rozzłoszczona kotka i podeszła bliżej. Jej gibkie ciało wibrowało wewnętrznym napięciem. Nie nosiła płaszcza ani peleryny dla ochrony przed zimnem; wystarczyło jej kilka grubych spódnic i wełnianych swetrów.

Zdybała Celię na samym skraju zagajnika, tuż obok stojących w koło wozów. Konie pasły się na zewnątrz obozu, a pośrodku płonęło duże ognisko, wokół którego krzątało się kilka starszych kobiet. Poza nimi, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo.

- Głupia! - orzekła Marita. - Żaden Cygan nie jest bezpieczny, bo szlachetni mieszkańcy Anglii przeganiają nas z miejsca na miejsce. Nasze życie to ciągła wędrówka. Rzadko natrafia się na takich ludzi jak Northington. Szanujemy go, bo poważa nasze obyczaje. Mój ojciec nigdy go nie zdradzi. Żal jednak patrzeć, że tak dobry człowiek na własną prośbę zmierza ku zagładzie.

- O czym ty mówisz? - Celia nie lubiła Marity. Była stanowczo zbyt śmiała.

- Byłaś z nim w czasie strzelaniny? Dobrze pamiętam tamto zamieszanie. Jego lordowska mość strasznie się rozżłościł, że spadłaś z konia...

- Zeskoczyłam, a koń nie był dobrze ujeżdżony. Zresztą sama to wiesz najlepiej.

- Powiedziałaś, że umiesz jeździć. Dlaczego miałam ci nie wierzyć?

- Nieważne. Co wiesz o ludziach, którzy nas napadli?

- Tylko to, że strzelali do ciebie, kochana, a nie do naszego przystojnego lorda. Och, dziwisz się? Myślałaś, że nie masz wrogów?

- Kto miałby do mnie strzelać? - na pozór lekceważąco mruknęła Celia, ale wciąż miała w pamięci tajemniczy napad w operze. Czyżby to byli ci sami ludzie? -Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Jestem tutaj od dawna. Nie siedzę cały czas w obozie. Zdaje mi się, że wiem więcej od ciebie, bo nawet teraz nie chcesz mi uwierzyć. Śledziłam ich - dodała Marita. - Prawdę mówiąc, z początku chciałam śledzić ciebie. Domyślałam się, że nie umiesz jeździć - dorzuciła z sarkazmem. - Z daleka widziałam, co się stało. Mężczyźni lubią sobie wypić. A kiedy piją, to wygadują różności, zwłaszcza w obecności kobiet. Słuchałam, śmiałam się i udawałam, że nic nie rozumiem. Wtedy wszystkiego się dowiedziałam. Znam cię - stanęła tuż przed Celią - i wiem to, czego on nie wie. Myśli, że jesteś z nim szczerą, a ty wciąż kłamiesz.

- Udowodnij to - oschle odpowiedziała Celia. Marita ze złością zmrużyła oczy.

- Zapewne sądzisz, że nie mogę? Grubo się mylisz. Przekonasz się, że nie jestem głupią Cyganką!

Co ona może wiedzieć? - rozmyślała Celia. Nie chciała, żeby Jacqueline i Colter z obcych ust poznali jej tajemnicę. Zamierzała sama przyznać się do kłamstwa, wyznać całą prawdę. Kilka następnych dni była w rozterce. Nie wiedziała, co robić. Wreszcie przyszła krótka wiadomość od Coltera. Chciał się z nią spotkać w ustronnym miejscu, z dala od taboru. Celia, chociaż wcześniej bała się konfrontacji, teraz przyjęła ją z ulgą. Colter wzywał ją nie do Harmony Hill, ale gdzie indziej. „Jedź z Maritą” - napisał w zakończeniu. „Ona cię zaprowadzi”. Pod spodem figurował jedynie inicjał, lecz pieczęć na pewno była prawdziwa. Celia już wcześniej widywała ów herb na sztuccach, papeterii, a nawet na ręcznikach. Santiago popatrzył na nią jakby ze współczuciem. Jego zazwyczaj donośny i dudniący głos brzmiał teraz łagodnie.

- Wyglądasz smutno, pani. Nie martw się. Dziwi cię, że to dostrzegłem? No cóż, wiem, że się czegoś boisz, ale wiem też, iż jesteś odważna. Ta odwaga na pewno da ci siłę. A nasz lord to człowiek honoru.

Celia spotkała się z Maritą następnego ranka na skraju ośnieżonego lasu, poza kręgiem wozów, wyznaczającym granicę obozu.

- Chodź - powiedziała półgłosem Cyganka i wskazała kępę drzew, w której stały konie. - Mam ci któregoś wybrać?

- Dziękuję. Jeśli pozwolisz, zrobię to sama - odparła Celia.

Dosiadła niewielkiej, wyjątkowo spokojnej klaczy. Marita ruszyła przodem. Ścieżka wiła się pośród gęsto rosnących drzew. W lesie panowała niezwykła cisza. Jak w kościele, pomyślała Celia. Śnieg tłumił odgłosy kopyt. Nawet śpiew ptaków rozbrzmiewał jakby z bardzo daleka. W powietrzu wciąż unosił się słony zapach morza.

Okolica wydawała się nieco znajoma. Celia doszła do wniosku, że muszą znajdować się niedaleko Harmony Hill. Po chwili rozpoznała ścieżkę, którą tamtego pamiętnego dnia jechała razem z Carolyn. Wtedy było tu całkiem przyjemnie. Teraz

czarne i bezlistne drzewa sprawiały niemiłe wrażenie. Im bliżej klifu, tym ścieżka coraz bardziej się zwężała.

Na wystającej skale przycupnęła stara kamienna chata, zrujnowana i zapomniana. Wokół było zupełnie pusto. Celia ze zdziwieniem spojrzała na Maritę, która ściągnęła wodze i zjechała ze ścieżki. Cyganka uśmiechnęła się i zawołała głośno, usiłując przekrzyczeć szum wiatru:

- To tam! Czeka na ciebie! Ciągłe się na mnie gniewasz? Sama zobacz, że mówię prawdę!

- Widzę tylko jakąś ruinę. Żadnych koni...

- Z tyłu, głupia. Tam dalej. Kamienna szopa. Dobre miejsce, żeby się schować.

- Owszem, jest szopa, ale też pusta. - Celia pokręciła głową. - Nie wejdę do niej. A gdzie koń? Jeśli Northington tu na mnie czeka, dlaczego nie wyjdzie, żeby się przywitać? Zostanę tutaj.

Marita siedziała na koniu na oklep, nie nosiła pończoch, na nogach miała zniszczone pantofle.

Zwinnie zeskoczyła z wierzchowca na ziemię i podeszła do Celi.

- Dlaczego jesteś taka uparta? - zapytała. - Przecież na pewno napisał „Czekaj na mnie”. Prawda? Ciągłe kłamiesz, więc myślisz, że inni też kłamią!

Celia spojrzała na Maritę. Zimny wiatr targał jej włosy i spódnice. Zadrżała. W górze morski ptak zaskrzeczał przeraźliwie. Niebo zasnuły ciężkie chmury.

Horyzont stał się całkiem ciemny. Nadciągała burza.

- Lepiej wracać, zanim na dobre się rozpada - powiedziała. Marita złapała jej konia za kantar.

- Musisz poczekać. Nie ufasz mi? Sądzisz, że mógłby cię oszukać? Celia miała niejasne przeczucie, że dzieje się coś złego. Szarpnęła wodze i zatoczyła koniem.

- Nie, ale byłam przekonana, że się tu spotkamy. Wracam. Możesz zostać albo jechać ze mną. Wszystko mi jedno.

- Jesteś okropnie niecierpliwa! - Marita przeszła na drugą stronę, żeby ją zatrzymać.

- Poczekaj trochę.

- Nie. Dość mam twoich podstępów i sztuczek. Nie będziesz dłużej bawić się moim kosztem.

Klacz rzuciła łbem, kiedy Cyganka znowu złapała ją za uzdę.

- Przyjechałaś aż tutaj. Kilka minut na pewno cię nie zbawi.

Celia zawahała się. Ostrożność kazała jej uciekać, ale rozsądek podpowiadał, że to nie Marita napisała list opatrzony pieczęcią Northingtona. Nie zdołałaby tego zrobić. Z ciężkim sercem niezgrabnie zsiadła z konia. Właśnie zaczęło padać.

- Dobrze, ale naprawdę tylko kilka minut - powiedziała. - Jeśli Northington zaraz się nie zjawi, wracam do obozu.

Uwiązała konia pod cisem, żeby ochronić go przed deszczem, i poszła za Maritą, która zaprowadziła ją do szopy. Grunt był nierówny; żwir osypywał się pod stopami. Masywne drzwi starej szopy były otwarte na oścież. Trzeszczały lekko w podmuchach wiatru.

We wnętrzu szopy panował półmrok. Celia stanęła w progu, żeby przyzwycząić oczy do ciemności. Poczula ostry zapach dymu i uświadomiła sobie, że ktoś całkiem niedawno musiał tu palić ogień. Kilka kamieni zostało wyjętych ze ściany, tworząc coś na kształt okna. Na klepisku walały się spalone szczapy i czarne kawałki węgla. Celia wyrzała przez zaimprovizowane okno. Przed sobą zobaczyła jedynie bezkresne morze, przesłonięte kurtyną padającego deszczu. Ciemne chmury pełzły po niebie na podobieństwo przyczajonych bestii. Zadrżała. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Być może popełniła błąd, przychodząc tutaj z Maritą, ale nawet Santiago nie miał nic przeciwko temu. Widział herb na pieczęci i znał posłańca z

dworu. Coś jednak tu się nie zgadzało... Takie zachowanie nie pasowało do Coltera. Dlaczego nie mógł sam przyjechać do obozu?

Marita oparła się o ścianę, skrzyżowała ręce na piersiach i spod oka patrzyła na Celię. Na jej ustach błąkał się uśmieszek, ni to kpiący, ni to wyrażający zadowolenie.

- Co się tak na mnie gapisz? - ostro spytała Celia. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś znowu chciała wpędzić mnie w kłopoty.

- Może... - Marita się roześmiała. - Nie jestem jednak aż na tyle głupia, żeby ci o tym mówić. Do kogo masz więcej zaufania? Do mnie czy do jego lordowskiej mości? Przecież wiesz, że to nie ja napisałam list z prośbą o spotkanie.

- W to nie wątpię - burknęła Celia.

Zła jak osa, odwróciła się do okna. Dlaczego Colter kazał akurat Maricie przyjąć na siebie rolę przewodniczki? Przecież równie dobrze mógł to zrobić Santiago albo Mario. Skuliła się, żeby uchronić się przed dotkliwym zimnem. Wiatr wył w szczelinach między kamieniami. Wzdrygnęła się. Och, żeby Colter wreszcie przyjechał... Chciała mu powiedzieć o sobie całą prawdę, choć nie była pewna, jak zareaguje. Wybaczy? Uwierzy dokumentom? A jeśli nawet uzna winę Morelanda, to czy będzie chciał otwartej wojny z ojcem?

Usłyszała za sobą szmer, a potem głośnie skrzypnięcie zawiasów. Odwróciła się, ale było za późno. Huknęły ciężkie drzwi. Marita szybko zawarowała je żelazną zardzewiałą sztabą. W szopie zrobiło się ciemno - jedynie przez okienko sączyła się wątła smuga szarego światła.

- Marita! - Celia podbiegła do drzwi i załomotała w nie pięściami. - Niech cię diabli porwą. Dość tych głupich sztuczek! Natychmiast otwórz drzwi, albo klnę się na Boga, że gorzko tego pożałujesz! Zobaczysz, że kara cię nie minie, ty głupia zła dziewczko!

Krzyczała tak, aż ochrypła i nie była w stanie wydobyć głosu. Tymczasem dzień z wolna zaczął chylić się ku końcowi. Światło w oknie przygasło. Celia

pomyślała z rosnącym przerażeniem, że tym razem „dowcip” Marity może naprawdę źle się skończyć. W tej samej chwili usłyszała za drzwiami męski głos i zgrzyt odsuwanej skobli. Nareszcie Colter przybył, żeby ją uratować. Co za ulga! Potem policzę się z Maritą. Już do końca życia odechce jej się głupich żartów! Skrzypnęły otwierane drzwi. Wzrok Celi padł najpierw na Maritę. Uśmiechała się złośliwie. Co się stało? Celia spojrzała na wysoką postać, która właśnie zamajaczyła w progu szopy.
To nie był Colter.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Smoliste smugi dymu zalegały pod sufitem, wśród ciężkich, okopconych belek.

Zielone światło sączyło się do ciemnego wnętrza przez grube kolorowe szyby. W powietrzu unosiła się woń starego potu i mokrej wełny.

Colter zauważył Tylera na końcu długiego stołu. Uniósł kufel do ust, ale nie pił. To był jedynie sygnał, że mogą spokojnie porozmawiać.

- Połknęli przynętę - mruknął Tyler w głąb swojego kufła, kiedy Colter przepchnął się przez tłum i usiadł na ławie obok niego. - Edwards pokazał im artykuł w „New Timesie”.

George Edwards był jeszcze jednym agentem rządowym, działającym w szeregach opozycji. To on zamieścił w gazecie informację o planowanym spotkaniu kilku najwybitniejszych członków brytyjskiego gabinetu. Posiedzenie miało się odbyć jutro w nocy, w rezydencji lorda Harrowby'ego przy Grosvenor Square 39. Tyle dowiedzieli się ludzie Thistlewooda.

Tyler spojrzał spod oka na swego towarzysza.

- Wyglądasz jak mieszkaniec bagien.

Colter był ubrany w granatowy wełniany sweter, workowate spodnie i płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem. W gruncie rzeczy nie różnił się od innych podejrzanych typów gęsto kręcących się po nabrzeżu. W tej części Londynu nie było zbyt bezpiecznie. Colter wyraźnie czuł ciężar pistoletu, który zatknął za pas.

Wiedział, że sporo ryzykuje, przychodząc w takie miejsce.

Przesunął dłonią po nieogolonej brodzie.

- Mapa była prawdziwa?

Tyler skinął głową, pociągnął łyk piwa, wytarł usta rękawem i czknął głośno.

- Znaleźliśmy broń i amunicję. Na razie nikt stamtąd nic nie ruszał. Wszystkie schowki są pod naszą stałą obserwacją.

Colter dopił piwo i wstał.

- Wiesz, gdzie mnie szukać.

Na zewnątrz baru było o wiele przyjemniej i chłodniej, chociaż w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach pobliskiej przystani. Colter przeszedł wąską uliczką i skręcił w jeszcze węższy zaułek. Domy chyliły się ku sobie, jakby nie miały siły stać prosto.

Tu można było zginąć za nędznego szylinga. Drżące z zimna dzieciaki w łachmanach patrzyły w przestrzeń pustym, osowiałym wzrokiem. Dla nich nic się nie miało zmienić - przynajmniej dopóty, dopóki po Londynie krążyli szaleńcy i mordercy pokroju Thistlewoda, dążący do anarchii.

Mowry czekał na tyłach tawerny na rogu Friday Street. Uniósł brwi, widząc Coltera.

- Northington? Wygląda pan nadzwyczaj groźnie, niczym tutejszy rzezimieszek.

Mam nadzieję, że mimo to jest pan zwiastunem dobrych wieści.

- Thistlewood złapał przynętę. Spodziewa się, że w krótkim czasie zbierze całą armię. Wszystko gotowe?

Mowry kiwnął głową. Jego chudą twarz wykrzywił uśmiech zadowolenia.

- Jak najbardziej. Ludzie czekają już na swoich miejscach. Moi informatorzy twierdzą, że John Harrison chciał wynająć niewielki budynek - dawną stajnię - przy Cato Street. To niedaleko od Grosvenor Square. Prawdopodobnie tam będzie ich punkt dowodzenia. Edwards trzyma rękę na pulsie. Da znać, kiedy dowie się czegoś więcej. A jak tam pańskie plany? .

- Znam tę stajnię. Będę w „Horse and Groom”. Stamtąd zupełnie dobrze widać Cato Street. Wezmę ze sobą Tylera i dwóch innych ludzi.

Mowry pokiwał głową. Przez chwilę bębnił palcami po stole. Koło niego stała butelka i pusty kieliszek. Po pewnym czasie nalał sobie trochę wina.

- Musi się udać - rzekł z błyskiem w oku. - Lepiej nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie zdławimy ich już na początku. Gruchnie wieść, że jesteśmy słabi. Słyszałem - dodał ciszej - iż dla przykładu chcą ponieść przez dzielnice biedoty głowy lorda Castlereagh i lorda Sidmoutha, zatknięte na tyczkach.

- Wyobrażają sobie, że w ten sposób zdobędą poparcie dla nowego rządu. Szykują nam rewolucję pełną gębą, zupełnie jak we Francji. Mam nadzieję, że pan to pamięta? Zwłaszcza rzeź niewiniątek? Żadna władza nie może bez końca dręczyć poddanych. Trzeba dać posłuch pewnym postulatam. Zwłaszcza że zwykli ludzie -nie mówię o szaleńcach - na ogół mają rację.

Mowry spojrzął na niego wilkiem.

- Być może, ale likwidacja monarchii niczego nie załatwi.

- Nigdy do tego nie dążyłem. - Colter wstał z krzesła. - W odpowiednim czasie przedstawię moje poglądy w Izbie Lordów.

- Proszę bardzo. Zapewne doczekamy czasów, kiedy liberałowie będą rządzić krajem, jednak o to bym się nie zakładał. - Mowry uśmiechnął się na pół drwiąco.

Uniósł kieliszek. - Za pana, za pańskie ideały i sympatie.

- Kiedyś wypije pan za to całkiem szczerze - cicho odpowiedział Colter.

Nie lubił Mowry'ego, ale tylko w ten sposób mógł powstrzymać Thistlewooda.

Takich ludzi należało tępić za wszelką cenę.

- A propos - rzucił Mowry, zanim Colter zdążył dotrzeć do drzwi. - Mam nadzieję, że panna St. Clair jest cała i zdrowa.

Northington odwrócił się powoli. Miał taką minę, że uśmiech jak zdmuchnięty zniknął z twarzy Mowry'ego.

- Jeżeli jeszcze raz sprawi jej pan kłopot - powiedział lodowatym tonem - to pana głowę poniosą ulicami Londynu. Proszę o tym pamiętać.

- Grozi mi pan? - odciął się Mowry, choć wiedział, że tym razem przeholował.

- To nie groźba, tak się stanie - odparł Colter.

Zamykając drzwi, usłyszał ciche przekleństwo Mowry'ego. Teraz już na pewno wiedział, kto stał za tajemniczym napadem w operze. James Carlisle mógł przecież poczekać, aż Celia zgodnie z obietnicą odeśle mu plan miasta pod wskazany adres.

Tyler podsłuchiwał w foyer teatru całą ich rozmowę. Wiadomość o tym jeszcze nie doszła do Mowry'ego. Stąd napad, który mógł się skończyć tragicznie dla Celi. Za dwa dni będzie już po wszystkim. Wtedy pojedę do niej i zadam jej parę pytań. A potem... Cóż, z pokorą dopełnię warunków umowy zawartej z lady Leverton.

Uśmiechnął się cynicznie. Lady Moreland na pewno się ucieszy na wieść, że jej syn wreszcie zamierza się ożenić. Ale co na to przyszła panna młoda?

Colter na pewno byłby zdziwiony, gdyby wiedział, że w tej samej chwili Celia przyzywała go w duchu, błagając o pomoc. Oczekiwała, że ją uratuje. Jak to możliwe, zastanawiała się, że wbrew swojej woli wpadłam w bagno? Człowiek, który z nią rozmawiał, miał na ten temat swoje zdanie.

- No cóż, panno St. Clair. Przykro mi, ale jest pani dla nas nieznośnym ciężarem - powiedział przepraszającym tonem. - Oczywiście nie chciałbym teraz być w pani położeniu. Powinniśmy znaleźć rozsądny kompromis.

Celia spojrzała na niego ze złością podszytą strachem.

- Pan chce pomówić ze mną o układach? Pan, któremu obca jest troska o własnego bratanka. To doprawdy zadziwiające.

- Nie jestem zupełnie nieczuły na los Northingtona. To właśnie szczerza troska o jego przyszłość zmusiła mnie do podjęcia drastycznych kroków.

Celia usiłowała zapanować nad zdenerwowaniem i powstrzymać się od ciętej odpowiedzi.

- A zatem słucham. Cóż to za kompromis pan proponuje, milordzie? Philip Worth, lord Easton, rozsiadł się wygodniej na prostym drewnianym krześle, wyciągniętym zza stołu z drugiego końca pokoju. Uśmiechnął się i łaskawie pokiwał głową. Samotna lampa ledwo rozpraszała mrok w niewielkiej izbie.

- Jest pani mądrzejsza, niż myślałem, panno St. Clair. Spodziewam się, że będzie pani równie chętna do współpracy.

Celia nie wiedziała, dokąd ją przywieziono. Ludzie Eastona zabrali ją z opustoszałej szopy i z zawiązanymi oczami wsadzili do powozu. Podróż nie trwała długo. Marita zniknęła - zapewne wróciła do obozu i poskarżyła się, że jej uciekłam, pomyślała Celia. Mam nadzieję, że nikt jej w to nie uwierzy.

- Spróbuję - odpowiedziała. - Pod warunkiem, że poznam szczegóły umowy.

- Oczywiście. - Lord Easton uśmiechnął się jeszcze szerzej i popatrzył na nią z zamyśleniem. Był na pozór miłym starszym dżentelmenem, z gęstą grzywą niemal białych włosów. Otaczała go aura spokoju i dostatku. Czy wszyscy w tej rodzinie są równie podstępni i amoralni? - zastanawiała się Celia.

Nie, Colter na pewno nie, chociaż z początku była przekonana, że niewiele różni się od ojca.

- Jest pani bardzo podobna do matki - powiedział Easton. - Aż tak podobna, że można się pomylić. Zadziwiająco. Leonie Saint Remy była kiedyś jedną z najbardziej pożądanых kobiet w Londynie. Nawet to, że nie miała posagu, nie odstraszało od niej niezliczonej rzeszy wielbicieli. Doskonale ją pamiętam. Potem o mały włos nie doszło do skandalu, kiedy uciekła z tym Amerykaninem. - Easton zachowywał się tak, jakby siedzieli w salonie w Harmony Hill, a nie w ciasnej i

ponurej izbie, przypominającej celę. - Chyba nie muszę pani mówić, skąd się wzięło moje - nazwijmy to szczególne - zainteresowanie pani osobą...

- Nie znam pańskich motywów i intencji, milordzie - cierpko odpowiedziała Celia. - Prawdę mówiąc, proszę mi wybaczyć szczerość, mało mnie one obchodzą.

Wciąż się uśmiechał. Lekceważąco machnął dłonią.

- Cóż, mogłem się tego spodziewać. Chodzi o żal, jaki zapewne pani ciągle żywi do niektórych członków naszej rodziny.

- Żal?! To niewłaściwe określenie tego, co czuję! Wściekłość - to dużo odpowiedniejsze słowo. Obawiam się, że po tym, co przed chwilą usłyszałam, nie pójdę na żadne układy!

- Pożałowania godna decyzja, panno St. Clair. Proszę z łaski swojej jeszcze to przemyśleć. Życie może okazać się niemiłe dla tych, którzy nie potrafią ugiąć się choć trochę. Wiem, o czym mówię, bo już od lat hołduję tej mądrej zasadzie. Ale „ugiąć się”, nie znaczy „poddać”, więc zachowa pani ów bojowy błysk w oczach. Zresztą bardzo mi się on podoba. Coraz lepiej rozumiem Coltera, choć oczywiście nie pochwalam jego zaślepienia.

Celia spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Tylko po to dopuścił się pan porwania? - zapytała. - Żeby mnie odsunąć od Coltera?

- „Porwanie” to brzydkie słowo. Wolałbym raczej „zaproszenie”. Bo też istotnie chciałem prosić, aby po cichu i spokojnie opuściła pani naszą starą Anglię. Ręczę, że wyjedzie pani stąd bogatsza, niż przyjechała. Nie potrzebujemy dramatycznych scen, prawda?

- To on kazał panu to zrobić - powiedziała bezbarwnym tonem. W jej oczach błysnęło nagle zrozumienie. - Northington, to znaczy Moreland. Hrabia. To on za tym wszystkim stoi. Dowiedział się, kim jestem, i chce, żebym wyjechała, zanim wywołam skandal. - Roześmiała się z nieskrywaną goryczą. - Niech pan nie zaprzecza. Któż inny chciałby pozbyć się mnie w ten sposób?

- Właśnie - mruknął Easton, z uśmiechem kiwając głową. - Któż inny?
- Moreland wie, kim jestem, i boi się moich zeznań! - Celia zerwała się na równe nogi i zacisnęła pięści. - Nie zrobię tego! Nie wyjadę! Nikt mnie nie zmusi do milczenia! Myślałam... Och, głupio myślałam, że może kiedyś będę w stanie o wszystkim zapomnieć. To nieprawda! Wiem, że żadne słowa nie wskrzeszą mamy i Petera, ale sprawiedliwości musi stać się zadość!

Easton przyglądał się Celi z pewnym zaciekawieniem. Nie próbował przerywać ani jej zatrzymać nawet wtedy, kiedy podeszła do drzwi. Zresztą nie musiał tego robić, bo na korytarzu postawił strażnika.

- Moja droga panno St. Clair - powiedział wreszcie, widząc, że zmieszana Celia cofnęła się od progu. - Jest pani przemęczona. Jutro wznowimy tę rozmowę. Wierzę, że pójdzie nam o wiele lepiej. Jeżeli nie chce pani wracać do Ameryki, są inne angielskie kolonie.

- Wiem.

Easton wstał z krzesła. Dominował nad nią, ale jednocześnie starał się zachować pozory kurtuazji.

- Muszę jedynie dodać, że bez względu na to, co pani postanowi, czeka panią dość długa podróż. Pytanie tylko, w jakim charakterze opuści pani Anglię.

- Niech pan powie Morelandowi, że w ten sposób nie oczyści swojego sumienia!

- Droga panno St. Clair, nie jestem pewien, czy Moreland w ogóle pamięta o pani istnieniu.

Po tych zagadkowych słowach wyszedł. Celia została sama w małym pokoiku. Słyszała, jak Easton upomniał strażnika, aby pod żadnym pozorem nie spuszczał jej z oka. Potem usiadła, zdezorientowana i bardziej wystraszona niż przedtem. Co znaczyły ostatnie słowa Eastona? Przecież Moreland musi ją pamiętać! To na pewno jego robota, chyba że Colter nią się znudził. To nieprawda! Nie zniżyłby się do

porwania, do grózb i do deportacji. Nie potraktowałby mnie jak zbrodniarki. Celia ukryła twarz w dłoniach. Ogarnęło ją przerażenie. Dlaczego zostawił ją samą?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

George Ruthven już od drugiej po południu czekał w „Horse and Groom”. Po pewnym czasie przysiadł się do niego Northington, wciąż w swetrze i wytartym płaszczu. Tyler został na zewnątrz, żeby mieć oko na stajnię. W budynku po drugiej stronie ciemnej ulicy ciągle połyskiwały słabe światła.

- Zbierają się od samego rana - spokojnie powiedział Ruthven. - Jest tam ich już ze dwa tuziny.

- To trochę mało jak na piętnastotysięczną armię, o której mówił Thistlewood

- zauważył Colter. Siedział z rękami założonymi na piersi i posepnie patrzył w okno.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to nie będziemy musieli czekać na gwardzistów.

Ruthven kiwnął głową i zerknął na Richarda Birniego z magistratu przy Bow Street, który był oddelegowany do nadzoru nad tą operacją. Przybył na czele grupy swoich ludzi i dwunastu oficerów policji. Wszyscy gapili się na ulicę. W mrocznej sali panowało wyraźne napięcie.

Kilka minut później przyszedł Tyler. Skinął na Coltera i powiedział:

- Miałeś rację. John Brunt dostarczył szable, noże, strzelby i pistolety. Przed chwilą dowiedziałem się także o bombach.

- Tego nie było w planie. Zdaje się, że w tej przeklętej stajni brakuje tylko armat. A może właśnie nie brakuje?

- Co robimy? Birnie już wie? Colter obejrzał się przez ramię.

- Nie. Powiedz mu, ale zaczekaj, dopóki nie wyjdę. Tyler zacisnął zęby.

- Jesteś dość dobrze znany. Jeżeli ktoś cię zauważy, to diabli wezmą próbę zaskoczenia.

- Skróć czas czekania do minimum. Liczę na ciebie, Tyler.

Colter zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale wolał uniknąć sprzeczki z policją. Nie było na to czasu.

Wyszedł na zewnątrz. Noc była ciemna i przejmująco zimna. Dym z kominów pełzał tuż nad ziemią, gryząc w oczy i drapiąc w gardle. Po drugiej stronie, nad bramą stajni, płonęła pojedyncza lampa. Na pierwszym piętrze ktoś szczelnie zasłonił okna. Zagrody były bliżej rogu, nieco ukryte za ceglanymi budynkami. W sąsiedniej bramie, też pod lampą, chwiały się na nogach włóczęga.

Colter miał tylko jedną szansę.

Bocznymi drzwiami wśliznął się do stajni. Przez chwilę stał bez ruchu i nasłuchiwał. Czuł woń suchego siana i końskiego łajna. W ciemności dostrzegł przyczajonego wartownika. Ukrył się w mroku tuż obok głównego wejścia i wyglądał na ulicę.

Colter poczuł przypływ adrenaliny. Znowu był na polu bitwy. Z nożem w ręku ostrożnie podkraść się do wartownika. Robił to już we Francji, wśród parnych bagien Luizjany i nawet na spalonych słońcem pustyniach Kalifornii. To była walka podjazdowa, partyzancka, obliczona na wywołanie zamieszania w liczebniejszych oddziałach przeciwnika. Wróg nigdy nie wiedział, z której strony spodziewać się ataku. Czarne sylwetki nagle wyskakiwały z mroku, żeby za chwilę zniknąć, zostawiając za sobą trupy.

To dziwne, że człowiek czuje prawdziwy smak życia dopiero wówczas, kiedy znajdzie się na krawędzi śmierci, pomyślał Colter. Od dnia, w którym na stałe powrócił do Anglii, towarzyszyła mu, jedynie nuda i ustawiczne zniechęcenie. Miał tylko parę minut, by znaleźć bombę, zanim Ruthven i Birnie przystąpią do akcji. Pojmanie wartownika poszło bez najmniejszego trudu. Podszedł bliżej, przyłożył mu nóż do szyi, tuż poniżej ucha, i szepnął:

- Odrzuć broń. Powoli i po cichu. Jeśli nóż trochę mi się osunie...

Nie musiał mówić nic więcej. Spiskowiec w milczeniu skinął głową. Strach zmusił go do posłuszeństwa.

- Jak się nazywasz?

Jeniec wymamrotał coś niezrozumiale, więc Colter mocniej dźgnął go czubkiem noża.

- Ings... James Ings! - rozległ się chrapliwy szept.

- A teraz, panie Ings, niech mi pan pokaże, gdzie trzymacie bomby i inne zabawki. Tylko bez sztuczek, wszystko skończone. Zaraz zjawią się policjanci, a jest ich co najmniej dwa razy więcej niż waszych. Dam panu pewną szansę: albo uczciwy proces, albo szybka śmierć tu i teraz.

Blask latarni oświetlił pobladłą twarz Ingsa.

- Bomba jest tutaj... Miałem jej użyć, gdyby nas odkryto...

Po chwili jeniec leżał związany na ziemi. Colter znalazł bombę i wyjrzał na ulicę. Ruthven właśnie nadciągał ze swoim oddziałem. Northington w milczeniu wskazał im drabinę. Ruthven tylko błysnął zębami w uśmiechu. Policjanci po cichu wspieśli się na górę. Potem zapanowało zamieszanie.

- Stać! Policja! - zawołał Ruthven. - Rzucić broń!

Thistlewood i Davidson sięgnęli po broń, ale natychmiast zostali otoczeni. Inni próbowali ładować pistolety. Ktoś kopniakiem przewrócił stół, lampa upadła niebezpiecznie blisko sterty siana. Colter przesunął się i przygniótł stopą rękę jakiegoś leżącego spiskowca. Wyłuskał mu z palców broń, wyprostował się i zobaczył, że William Davidson próbuje uciec.

- Uwaga! - krzyknął.

W tej samej chwili Davidson pchnął szpadą w pierś jednego z policjantów. Ranny zatoczył się.

- Boże... - jęknął. - Ja... - Osunął się na ziemię.

Colter przeskoczył go i całym ciężarem ciała przygwoździł Davidsona do podłogi, ale otrzymał cios w szczękę. Gwiazdy zatańczyły mu przed oczami, lecz

nie puścił Davidsona, który szarpał się jak oszalały, nic jednak nie mógł zdziałać. Zdyszany Colter postawił go na nogi i oddał w ręce policjantów. Po chwili zobaczył Tylera. Odruchowo potarł obolałą szczękę.

- Zdaje się, że przynieśli całą broń i amunicję - mruknął. - Nam pozostało tylko zabrać to na posterunek.

- I złapać tych, którzy uciekli - pośpiesznie dodał Tyler i wzruszył ramionami, widząc ostre spojrzenie Northingtona. - Kiedy Smithers upadł, Thistlewood skorzystał z zamieszania i umknął. Edwards mówi, że brakuje także Brunta, Adamsa i Harrisona.

- Co ze Smithersem?

- Zdaje się, że umiera.

Colter rozejrzał się po pobojowisku. Ranny policjant leżał na plecach, w kałuży krwi, i charczał coraz ciszej. Pozostali, zdenerwowani, spoglądali po sobie.

- Ruszajmy w pogoń - cicho powiedział Tyler. Colter kiwnął głową.

- Złapiemy ich. Pójdą na szubienicę. - Popatrzył na Tylera. - Chyba wiem, gdzie się schowali.

Nietrudno było znaleźć kryjówkę garstki uciekinierów. Colter stwierdził, że Tyler jest świetnym kompanem, bystrym i szybkim w decyzjach i działaniu. Nieco poturbowanych jeńców oddali w ręce władzy.

- Powieszają ich - lakonicznie zapowiedział Tyler i z napoczętym kuflem piwa w ręce oparł się o szynkwias.

- Lub deportują. - W gospodzie było pełno dymu. Czekali na Mowry'ego w głównej sali, chociaż wiedzieli, że spotkanie odbędzie się raczej w pokoju na zapleczu.

Tyler pokręcił głową.

- Thistlewood i Davidson na pewno pójdą na szubienicę. A razem z nimi Brunt, za ukrywanie broni. Szkoda tylko, że John i James Carlisle'owie z tego się wywinęli.

- Za mało dowodów. Władze nie chcą przegrać kolejnej rozprawy z wyznawcami Spence'a, więc na razie wystarczy im Thistlewood.

Mowry potwierdził te przypuszczenia.

- Sidmouth jest zadowolony - powiedział z nieukrywaną satysfakcją. - W końcu uratował głowę. - Rozparł się na krześle i ujął w dwa palce kieliszek wina. - Wygląda na to, że udało się zażegnać poważne zagrożenie - dodał. - Szkoda, że nie wszyscy trafili przed trybunał, lecz pozostałych z pewnością też kiedyś złapiemy. Przyjdzie czas, że popełnią błąd, a wtedy będziemy ich mieli. - Zerknął na Coltera. - Ich poglądy nie trafiają do przekonania nawet wigom.

- Trzeba odróżniać poglądy od metod działania - sucho zauważył Northington. - Porozmawiamy o tym innym razem. W tej chwili mam pilniejsze rzeczy do załatwienia.

- Ach, tak... Chodzi o pannę St. Clair. Wszystko w porządku?

- Niedługo się okaże.

- Oczywiście. - Uśmiech Mowry'ego stał się odrobinę bardziej złośliwy. - Na pewno na pana czeka. Spodziewam się, że w przyszłości będzie bardziej szczerą.

Cholerny Mowry, niczego nie mówi wprost! - ze złością pomyślał Colter. Wszystko musi owijać w bawełnę. .

- Jeżeli ma pan dla mnie jakieś informacje, to z chęcią posłucham - odrzekł. - Nie jestem w nastroju do żartów.

- Cóż, nie chcę powtarzać niesprawdzonych plotek, Northington. Niech pan działa własnymi metodami. - Mowry wstał i spod oka popatrzył na Coltera. - Na pana miejscu, przed wyjazdem z Londynu zajrzałbym do Barclaya. On zawsze był bardzo rozmowny.

Skąd Mowry o tym wszystkim wiedział? Wszędzie miał swoich informatorów.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby pan przestał wtrącać się w moje sprawy, Mowry. Każdy człowiek ma pełne prawo do prywatności.

- Do czasu, aż nie popadnie w konflikt z prawem.

- To oskarżenie?
- Nie, raczej dobra rada. Prawa ręka chyba powinna wiedzieć, co robi lewa. Królewski Urząd Podatkowy nie lubi przemytników, zwłaszcza takich, którzy strzelają do kutrów ochrony wybrzeża.
- To nie ma nic wspólnego ze mną. Mowry zmarszczył brwi.
- Pewne rzeczy należy udowodnić. Jego królewska mość pobiera cło od wszystkich towarów trafiających na angielskie rynki. Nawet od tych, które wnoszone są tylnymi drzwiami.
- Nadejdzie dzień, że ojciec nas wszystkich pograży, uznał w duchu Colter.
- Insynuuje pan, że jestem zamieszany w przemyt? Że szmugluję towary z własnych statków? Bzdura. Nie ryzykowałbym dla tak mizernych zysków. To wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.
- Obawiam się, że nie wszyscy w pańskiej firmie są tego samego zdania. Niech pan to sprawdzi, Northington. Będzie pan zaskoczony. Chciałbym, żebyśmy dobrze się zrozumieli. W takich przypadkach nie tylko główni winowajcy tracą głowy. Prawo wymaga ofiar. Akurat tego nie muszę panu mówić.
- Właśnie - grobowym głosem przytaknął Colter. Mowry uśmiechnął się zimno.
- A zatem żegnam, panowie. Do następnego spotkania. Zabrzmiało to niemal jak groźba.

CZEŚĆ CZWARTA

*„Wszystko za miłość,
albo ten świat zginie!”*

John Dryden

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Od rozmowy z Eastonem minęło parę godzin, a Celia wciąż nie mogła zasnąć. Była zbyt przygnębiona i zdenerwowana. Co będzie, jeśli mnie deportują? -rozmyślała ze strachem. Dokąd popłynę? Do Indii, do Australii, czy jeszcze gdzie indziej? Nie liczyła na łaskę Eastona. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta okrucieństwa. Ten człowiek nie zwykł cofać się przed niczym - jak wszyscy z jego rodziny. Promienie słońca zaczęły prześwitywać przez szpary w murze. W izbie nie było okna, więc Celia nawet nie mogła marzyć o ucieczce. Niespokojnie krążyła po niewielkim pomieszczeniu, zastanawiając się, co robić.

Za drzwiami rozległy się głosy. Przybrała dumną postawę, gotowa do następnej rozmowy z Eastonem, ale to nie był on. Ze zdumieniem spojrzała na znajomą twarz. - Sir John! - krzyknęła z ogromną ulgą, rzucając mu się w ramiona. - Jak pan mnie tutaj znalazł? Och, nieważne. Dobrze, że pan przyszedł! Ciągle nie mogę uwierzyć... Harvey łagodnie uwolnił się z jej objęć.

- Panno St. Clair... Celio... To nie jest tak, jak myślisz. Uwierz mi, wolałbym, żeby było zupełnie inaczej, ale nie jest. Niestety, nie mogę ci w niczym pomóc. To nie zależy ode mnie.

- O czym pan mówi? Lord Easton także panu groził? Och, przecież nie może nas wszystkich usunąć z Anglii! Co panu powiedział? Na pewno nie wszystko! Sir John wyglądał na lekko zmieszanego.

- To nie zależy ode mnie - powtórzył bezradnie tonem. - Szkoda, że się w to wplątałaś...

- Ale w co, na litość boską?! Zupełnie nie wiem, co się dzieje i co to ma ze mną wspólnego! Chodzi o mapę?

- O jaką mapę? - Popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Nie słyszałem o żadnej mapie. Powiedziano mi tylko, że masz potężnego wroga.

Teraz z kolei ona nic nie rozumiała.

- Wroga? Mowa o Morelandzie? To chyba nic dziwnego?

- Dziwne czy nie... Dość, że już się stało. Tym razem zdenerwował ją na dobre.

- Tak, stało się! - wykrzyknęła. - Dziesięć lat temu! Moreland wciąż próbuje umknąć przed sprawiedliwością!

- Błagam! - niemal z rozpaczą zawołał Harvey. - Nie chcę nic więcej wiedzieć.

Celio, muszę cię zabrać.

- Nie pytając nawet dlaczego? Nieważne, z kim pan się zadaje? W tej samej chwili w drzwiach stanął lord Easton.

- Panno St. Clair - powiedział uprzejmym tonem - wpada pani w histerię. W ten sposób pani sobie na pewno nie pomoże.

- Kilka słów prawdy nie ma nic wspólnego z histerią, milordzie. Dlaczego pan mi nic nie powie?

- Harvey zna rozkazy. To wystarczy. Lepiej dla niego, żeby wiedział jedynie tyle, ile trzeba.

Celia dopiero teraz w pełni zrozumiała, że sir John wcale nie przyszedł jej na ratunek, lecz działał w zмовie z lordem Eastonem. Znalazła się w pułapce, z której nie było wyjścia. Zebrała resztkę sił, jakie jej jeszcze pozostały, dumnie uniosła głowę i chłodno spojrzała na Eastona.

- Trudno - powiedziała. - Wygrał pan, milordzie. Wyjadę z Anglii. Wczoraj obiecał mi pan, że będę mogła sama wybrać miejsce przeznaczenia.

- Oczywiście - przytaknął. - Pod warunkiem, że nie za blisko. Francja nie wchodzi w rachubę.

- Wrócę od Ameryki. Pod tym względem pan się nie mylił - to przecież moja ojczyzna. Poza tym jest tam dużo czystsze i świeższe powietrze.

Easton uśmiechnął się.

- Z chęcią przyznaję pani rację - odparł. - Londyńczycy od lat psują atmosferę, ale nic na to nie poradzę. Czas ucieka, a pani musi przygotować się do długiej drogi. Na szczęście blisko stąd do Dover. Najpóźniej po południu znajdzie się pani na pokładzie statku, wypływającego w rejs do Ameryki. Niewielka suma bez wątpienia umili pani podróż.

- Chce pan kupić moje milczenie? Nie, dziękuję. Niepotrzebne mi pańskie pieniądze - odparła Celia. - Nie przyjmę zapłaty za śmierć dwojga ludzi, których naprawdę kochałam. Można mnie wyrzucić z Anglii, ale za zbrodnię Morelanda nie ma żadnego zadośćuczynienia.

Easton wzruszył ramionami.

- Niech pani myśli, co chce - rzekł - ale ostrzegam: jeśli kiedyś spróbuje pani wrócić do Londynu, nie będę tak łagodny. Moi ludzie podejmą nieco... hm... ostrzejsze kroki.

Celia wiedziała, że dalszy opór nie ma sensu. Ten człowiek był na pewno zdolny spełnić swoją groźbę.

- Doskonale rozumiem, milordzie - powiedziała, spoglądając na niego wyzywająco. Trzęsła się ze zdenerwowania. Niech go piekło pochłonie! Niech diabli wezmą Morelanda! Była przekonana, że w ten sposób chciał ją utrzymać z daleka od własnego syna. Szkoda, że w przeszłości nie miał podobnych skrupułów i nie porzucił zbrodniczych zamiarów wobec Leonie.

Mam wyjechać po cichu, jak skarcony piesek, rozmyślała Celia. O, niedoczekanie! Musiała udawać, że zgadza się na wszystkie żądania porywaczy. Mimo to z pogardą spojrzała na Harveya.

- Wszystko będzie dobrze - bąknął nieśmiało wyraźnie zakłopotany, kiedy lord Easton wyszedł, żeby poczynić ostatecznie przygotowania do podróży. - Wracasz do domu. Do Ameryki.
- Budzi pan we mnie odrazę, sir - odpowiedziała sztywno. Harvey zaklął pod nosem, ale nawet na niego nie zerknęła.
- Nie, do diaska! - zawołał głośniejsz, chwycił ją za rękę i odwrócił przodem do siebie. Przestał udawać dżentelmena. - Na Boga, nie patrz na mnie, jakbym był żebrakiem od świętego Idziego! Nie chcesz mojej przyjaźni, więc sprawię, że się będziesz bała! Myślisz, że mi się to podoba? Nie! Ale też jestem w pułapce.
- Nieprawda. Wcale nie musi pan tego robić, sir Johnie. Easton poszedł. Dlaczego nie pomoże mi pan teraz uciec? Przecież to nic pana nie kosztuje. Harvey roześmiał się chrapliwie, puścił ją i nerwowym ruchem przesunął ręką po włosach.
- Nic mnie nie kosztuje? Kochana Celio, za coś takiego zapłaciłbym najwyższą cenę. Nie masz pojęcia... Nie, nie możesz wiedzieć, czym jest ciągły spacer na skraju przepaści. W życiu liczy się tylko pieniądz. Honor i godność? Bez majątku to tylko puste słowa.
- Pod tym względem nasze poglądy wyraźnie się różnią. - Celia delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Harvey popatrzył na nią zaskoczony. - Chociaż w rzeczywistości wiele nas łączy - powiedziała ciszej. - Chyba pan wie, że przybyłam tutaj bez niczego, a jednak pozyskałam wiernych i dobrych przyjaciół. Nagle odkryłam, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż pieniądze. Nawet ważniejsze od zemsty.
- Harvey zmrużył oczy.
- Wygląda na to, że obracamy się w nieco innych kręgach, Celio. Ja nie potrafię żyć na kredyt, z dobroci krewnych lub znajomych. Muszę mieć to, co mi się należy.
- Nawet za cenę zdrady przyjaciela?

- Jesteś piękna i miła, Celio, ale nigdy nie uważałem cię za przyjaciółkę.
 - Miałam na myśli Northingtona. Harvey wykrzywił usta.
 - Northington chadza własnymi drogami. Grywamy razem, czasem chodzimy na dziewczęta, lecz nie jesteśmy przyjaciółmi. Być może kiedyś byliśmy sobie nieco bliżsi. Potem wybuchła wojna krymska i Northington bardzo się zmienił. Kiedy wrócił, dowiedział się o śmierci dziadka i starszego brata. Stary wicehrabia niespodziewanie odziedziczył tytuł hrabiego, a Northington stał się jego jedynym spadkobiercą. Że też mnie nic takiego się nie trafiło! Northington nawet się nie ucieszył. Przeciwnie, to był dla niego dramat. Mówił, że musi pożegnać się z wolnością i zmienić dalsze plany. Oddałbym co najmniej dziesięć lat życia, żeby być na jego miejscu!
 - Rzeczywiście się różnicie.
 - Kpij sobie ze mnie, Celio, ale to przecież i tak niczego nie zmieni. Nie wierzę mu, bo nikt nie odrzuca majątku i władzy. Northington już wkrótce sam zostanie hrabią, i to bogatym! Mimo ostatnich strat kompania żegluga Morelanda jest warta miliony. W tej sytuacji nikt nie zwraca najmniejszej uwagi na drobne uchybienia. Niewielka suma tu, nieco więcej tam. Ani przez chwilę nie myślałem, że sprawy zajdą tak daleko. Początkowo byłem święcie przekonany, że wezmę swoje i w odpowiednim momencie się wycofam... Ale to cię zupełnie nie obchodzi.
 - Raczej nie - odparła chłodno.
- W tym wszystkim kryło się coś więcej, niż początkowo przypuszczała. Sir John posunął się do zwierzeń. Co też mógł jej powiedzieć? Harvey ze smutnym uśmiechem pokręcił głową.
- Jesteś piękna, Celio. Rzeczywiście bardzo piękna. Może w innych okolicznościach to ja byłbym z tobą zamiast Northingtona. A teraz zostaniesz sama. Trochę szkoda. Nie, pomyślała Celia. Harvey nie wchodzi w grę. Zresztą Coltera też nie wybrała. On był jej przeznaczeniem. Może to trochę dziwne, lecz prawdziwe. Przez

ostatnie dni miała dużo czasu, żeby znaleźć odpowiedź na kilka najważniejszych pytań. Owszem, kocha go i - co najważniejsze - wie dlaczego.

Kocha go... Kiedy to się stało? Chyba już dosyć dawno. Tylko przy nim naprawdę czuła się bezpieczna. Tylko on budził w niej pełne zaufanie.

- O czym myślisz, Celio? - cicho zapytał Harvey. - Zastanawiasz się, czy mielibyśmy wspólną przyszłość? „Nie w naszej mocy ganić albo kochać, bo los ważniejszy jest niż nasza wola” - zacytował. - Święte słowa.

- Marlowe - odpowiedziała Celia. - Czytałam go. Napisał to już dawno temu, a poza tym poetom nie zawsze można wierzyć.

- Nie sądziłem, że jesteś aż tak cyniczna.

- Niewiele pan o mnie wie, sir Johnie. - Oparła się o stół i skrzyżowała ręce na piersiach. - Northington zresztą też. Nie jest pan ciekaw, dlaczego Easton tak bardzo chce usunąć mnie z Anglii?

- Przecież przed chwilą sam powiedział, że mam posłusznie wypełniać rozkazy i nie zadawać niepotrzebnych pytań. Płaci mi tyle, że umiem zapanować nad ciekawością.

- Wygodna postawa.

- Troszczyć się nie tylko o własne bezpieczeństwo. Chociaż przyznaję, że to także leży mi na sercu. Przywykłem do życia w luksusie. Lubię dobre wino i grę w wista, a nienawidzę chować się przed wierzycielami. Ojciec grozi, że pozostawi mnie bez szylinga przy duszy. Czcze przechwałki, bo już sam zdążył roztrwonić poważną część majątku. Muszę zatem zarabiać na siebie.

- To na pewno harówka.

- Myśl sobie, co chcesz, ale raczej nie próbuj mnie pouczać. Masz szczęście, że jesteś kuzynką lady Leverton.

- Stracił pan kogoś bliskiego - powiedziała Celia pod wpływem impulsu. Sir John drgnął jak ugodzony nożem i zaczerwienił się aż po nasadę jasnych włosów.

- Tak - przyznał. - I to właśnie przez brak pieniędzy.

- Bywają gorsze rzeczy w życiu, sir Johnie. To jeszcze nie powód...

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Nie masz pojęcia, co znaczy taka strata! Mogłem jedynie stać i bezradnie patrzeć, jak moja ukochana wychodzi za innego. To ją zabiło, ale ja miałem jeszcze mniej szczęścia, bo wciąż żyję. Wciąż żyję, lecz każdego dnia po trochu umieram! Nie, Celio, nic o tym nie wiesz.

- Myli się pan, sir Johnie. Wiem więcej, niż się panu zdaje.

Przez chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem, a potem odwrócił głowę. Easton wrócił o wiele szybciej, niż się spodziewała.

- Harvey - polecił - od razu zabierz ją do Dover. Statek pewnie wypłynie późnym popołudniem. Do tej pory panna St. Clair ma przebywać w swojej kajucie. Liczę na to, że potrafisz ją upilnować.

Celia pojęła znaczenie tej wypowiedzi. Praktycznie pozostawała więźniem dopóty, dopóki statek nie odbije od brzegów Anglii. Mimo to nie porzuciła nadziei na ucieczkę. Za daleko zabrnęłam, żeby teraz ze wszystkiego zrezygnować! - pomyślała. Ze zdawkowym uśmiechem przyjęła rękę Harveya i wsiadła do czekającego przed domem powozu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Powrót miał wyglądać zupełnie inaczej. Colter jak burza wpadł do Harmony Hill, z furią trzaskając drzwiami.

- Renfroe! - ryknął.

Lokaj jak spod ziemi pojawił się w holu, ale na pewno już od kilku minut wiedział o powrocie pana. Któryś z parobków musiał wcześniej widzieć jeźdźca na szczycie wzgórza.

- Pan mnie wzywał, milordzie? - Jak przystało na doskonałego sługę, Renfroe zachował niezmacony spokój. Colter rzadko objawiał zniecierpliwienie, a z reguły nie krzyczał na domowników.

Jednak tym razem było inaczej.

- Widziałeś ostatnio Eastona? - spytał Northington. - Na litość boską, pozwoliłeś mu tutaj wejść bez mojej zgody?! Myślałem, że masz więcej oleju w głowie!

- Poprosiłem go, żeby natychmiast stąd wyjechał, milordzie. Niestety, minęło co najmniej pół godziny, zanim się dowiedziałem o jego obecności. - Renfroe chrząknął nerwowo. - W tym czasie w domu byli jedynie James i Smythe. Nie bardzo wiedziałbym, co zrobić, gdyby lord Easton znów odmówił...

- Więc to nie pierwszy raz? Tuż pod moim nosem. Był tutaj częstym gościem, prawda? A ja niczego nie wiedziałem. Sam sobie jestem winny. Za bardzo pochłaniały mnie inne sprawy. - Colter skinął na lokaja. - Chodź ze mną. Powiesz mi dokładnie, kiedy tutaj bywał. Jeśli czegoś nie pamiętasz, to spytamy Barbarę albo Jamesa. Chcę mieć spisane wszystkie daty.

- Tak jest, milordzie.

Na dobrą sprawę Colter mógł się tego spodziewać już od października, kiedy znalazł w jaskini tajemnicze kufry. Mowry o wszystkim wiedział. Podobnie Barclay,

który przekazał mu szczegółową listę szmuglowanych towarów. To zakrawa na ironię losu, pomyślał Colter. Podejrzywałem ojca o zagarnięcie statku i sfalszowanie spisu straconych towarów, a tymczasem to Easton kierował przemysłem. Nic dziwnego, że Moreland tak się denerwował. Ciągłe powtarzał, żeby przypadkiem nic o tych sprawach nie mówić Philipowi. Nie chciał go spłoszyć.

Stary łotr z tego Eastona. Ojciec będzie zadowolony, że wreszcie go przyłapał. Prawdę mówiąc, jeden nie lepszy od drugiego - z tym że Philip tym razem miał trochę mniej szczęścia. Tak czy owak, był winny. Co gorsza, sfalszował list do Celi. Santiago zbladł jak ściana, kiedy Colter zapytał go o Celię.

- Nie ma jej z panem, milordzie? A ten list? Przecież przyniósł go jeden ze stajennych. Przysięgam, że puściłem ją na pański rozkaz! Gdybym nie był pewny... Więcej światła na tę zagadkę rzuciła rozmowa z Maritą, chociaż na początku dumnie uniosła głowę i odmówiła odpowiedzi na wszelkie pytania. Zmiękła dopiero wtedy, gdy ojciec jej zagroził porządnym laniem.

- Tak! - krzyknęła. - Zabrałam ją ze sobą. Tę nędzną dziewczkę, bladą i wychudzoną. Zrobiłam to na prośbę twojego przyjaciela! - Łzy załśniły w kącikach jej oczu. - Myślałam, że tego pragniesz.

Colter zaklął pod nosem. Marita, wystraszona Jego srogim spojrzeniem, opisała dokładnie spotkanie z Eastonem i przebieg rozmowy. Philip Worth podobno był szczerze zmartwiony postępowaniem lorda Northingtona.

- Powiedział, że na pewno szybko się nią znudzisz, wrócisz do mnie i będzie nam tak dobrze jak zeszłego lata. Pamiętasz?

- Tak, pamiętam - chłodno odparł Colter - ale chyba moje wspomnienia znacznie różnią się od twoich. - Przeniósł wzrok na starego Cygana. - Nigdy nie splamiłbym honoru twojej rodziny, przyjacielu.

Santiago z powagą pokiwał głową.

- Moja córka wciąż żyje w świecie marzeń - powiedział po hiszpańsku. - Wkrótce wydam ją za mąż, to się uspokoi. Błagam o wybaczenie.

- To nie twoja wina. Nie mogłeś o niczym wiedzieć.

Za to Philip Worth wiedział, gdzie znaleźć pieczęć i jak ukryć przemycane dobra. A Celia ciągle czekała na ratunek. Zapłakana Marita opowiedziała im o domu na przedmieściach Dover i o statku. Colter nie słuchał dłużej. Zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu, aby stanąć w porcie, nim statek odpłynie.

Droga wiodła krawędzią postrzępionego klifu. Białe skały błyszczały po ostatnich deszczach. Port Dover leżał w niewielkiej zatoczce. O tej porze roku przyływ był mniej więcej co dwanaście godzin. Statki wychodziły w morze wczesnym rankiem albo wieczorem. Chryste, pomyślał Colter, nie pamiętam!

Na tle szarych chmur zamajaczyły ciemne mury ogromnego zamku, górującego nad portowym miastem. Colter popędził konia. Jeszcze kilka minut... Na kredowych skałach kładły się wieczorne cienie. Już wiedział, że się spóźnił. Ze szczytu skały zobaczył na horyzoncie kilka statków, wychodzących w morze pod pełnymi żaglami.

W porcie nikt nie pamiętał jasnowłosej panny ani człowieka, który mógłby być podobny do Eastona. Colter ruszył na poszukiwanie domu, o którym mówiła Marita. Miał nadzieję, że może tam zastanie Celię. Właściciel domu pod groźbą pistoletu przyznał, że istotnie przebywała u niego pewna młoda dama.

- Ale już sobie poszła! - zapewnił ze strachem, zezując na ziejący czernią otwór śmiercionośnej lufy. - Poszła - powtórzył. - A wraz z nią obaj dżentelmeni.

- Obaj? - spytał Colter. - To coraz ciekawsze. Opisz mi ich, człowieku, a nie dość, że uratujesz życie, to może jeszcze zarobisz szylinga.

Nie trwało długo, nim Colter domyślił się, kim był ów tajemniczy kompan Eastona. Harvey. No tak, mogłem się tego spodziewać. Niepoprawny utracjusz, gracz i hazardzista. Człowiek, który postawiłby ostatniego pensa, żeby się założyć o to, czy kot przejdzie na drugą stronę drogi.

Zgnębiony Colter wrócił do Harmony Hill jedynie po to, żeby zmienić konia, i czym prędzej podążył na północ, do Londynu. W drodze przypomniał sobie słowa starego Hindusa, który przed laty uczył go sztuki masażu. Karma, powiadał Hindus.

Przeznaczenie. Zgodnie z odwiecznym prawem obecne czyny decydują o naszym przyszłym życiu. Człowiek szlachetny odrodzi się w wyższej postaci. Łotr może stać się nawet zwierzęciem.

A czym ja będę? - zastanawiał się Colter. Najwyżej węgorzem. Dotychczas nie zrobiłem nic, żeby zasłużyć na coś więcej. Te rozważania pomagały mu nie myśleć o Celii. Ze łzami w oczach błagała go, żeby jej nie zostawiał. Miała rację. Gdyby jej posłuchał, na pewno nie doszłoby do najgorszego. Przy nim byłaby bezpieczna. Tylko siebie mógł winić za jej krzywdę.

Philip Worth nie zjawił się w swoim londyńskim domu. Lokaj zarzekał się, że go nie widział.

- Przysięgam, milordzie. Jeżeli nawet jest gdzieś w mieście, to tutaj ani razu nie zaglądał.

Colter był wściekły. Na jego widok drżała nie tylko służba Eastona. Nawet Beaton wyglądał na mocno przejętego, chociaż starał się zachować niewzruszoną minę.

- Proszę wybaczyć, sir, ale już dawno nie widziałem pana w takim stanie

- powiedział, kiedy Colter wrócił do domu po drugiej, ale równie bezowocnej jak pierwsza wizycie u Harveya. - Pański lokaj z Harmony Hill...

Zabłocone ubranie Coltera rzeczywiście przedstawiało wiele do życzenia.

- Renfroe nie jest zwykłym lokajem - wpadł mu w słowo Northington. - To

przyjaciel rodziny. Nie, daj mi inne buty. Tych nie warto zakładać na taką pogodę.

- Milordzie. - Beaton z uporem postawił przed nim świeżo oczyszczone obuwie, wypolerowane na wysoki połysk.

Colter obrzucił go złym spojrzeniem, ale już nie protestował. Beaton sięgnął po śnieżnobiały fular i zdecydowanym krokiem podszedł do swojego pana.

- Sam to potrafię zrobić - burknął Colter, lecz chwilę później żal mu się zrobiło wiernego lokaja i poddał się jego zabiegom.

- Każ sprowadzić mojego konia - polecił na zakończenie i wybiegł z garderoby, nie zwracając uwagi na nieme pytanie w oczach Beatona. Poszedł do gabinetu, wziął czystą kartkę, napisał na niej kilka słów i wręczył ją lokajowi, który właśnie wszedł z wiadomością, że koń czeka.

- Gdybym nie wrócił, musisz dopilnować, żeby to pismo dotarło we właściwe miejsce.

Beaton wyciągnął rękę po dokument, lecz z zakłopotaniem popatrzył na Northingtona.

- Jeśli mogę, milordzie...

- Nie - cicho odpowiedział Colter. - Nie możesz. W tej sprawie nie ma już nic do powiedzenia.

Dom Morelandów przy Curzon Street znajdował się w niewielkiej odległości od rezydencji Levertonów. Colter pomyślał, że w powrotnej drodze zajrzy do Jacqueline. Był jej to winien. Miał nadzieję, że dowie się czegokolwiek o Celi. Drzwi otworzył mu nowy lokaj, Garner, który zastąpił wiekowego Karnsa.

- Nie zostanę tu długo, Garner - mruknął Colter i szybkim krokiem minął przedsiónek. Poszedł prosto na piętro, do pokoju ojca.

Drzwi były lekko uchylone. Pchnął je, dał krok do środka i stanął jak wryty. Z sypialni dobiegał znajomy głos. Rozpoznał go natychmiast, chociaż musiał podejść bliżej, żeby rozróżnić poszczególne słowa. Celia.

Brewster niespokojnie pochylał się nad chorym. Poprawił mu poduszkę i ciaśniej otulił ciepłym kocem. Celia przyglądała się temu w milczeniu. Serce waliło jej jak młotem, ręce drżały, a gardło miała ściśnięte. Patrzyła na człowieka, którego wspomnienie od tylu długich lat prześladowało ją we śnie i na jawie; człowieka, który odebrał jej radość życia.

Teraz był słaby, chory i bezbronny. Nie miał sił, żeby się podnieść, ale zacisnął dłoń na złotej gałce laski. Mroczne spojrzenie świadczyło o tym, że rozpoznał nieproszonego gościa.

Celia chciała dać upust nienawiści, którą tłumiała w sobie przez minione lata. Nie zdołała jednak wykrztusić ani słowa. Za dużo nerwów ją kosztowało, żeby się wreszcie tutaj dostać. Stała twarzą w twarz z wrogiem - i oniemiała. Los obszedł się z nim dużo gorzej niż ludzka sprawiedliwość.

Zaczerpnęła tchu.

- Myślę, że popełniłam błąd, przychodząc tutaj - powiedziała w końcu. - Lepiej już sobie pójdę...

- Nie! - burknął Moreland. - Po co chciałaś się ze mną widzieć? Do stu piorunów, należy mi się wyjaśnienie. - Zabębnił laską w podłogę. - Podejdź bliżej, dziewczyno, niech ci się lepiej przyjrzę.

Głos miał zadziwiająco silny, zupełnie jak za dawnych czasów. Dziwnie kontrastowało to ze zniekształconą twarzą i przywoływało niemiłe wspomnienia. Celia ostrożnie podeszła do łóżka chorego. Padło na nią światło szarzejącego dnia. W pokoju zapanowała głucha cisza. Moreland siedział nieruchomo, a potem złożył usta do bezgłośnego okrzyku.

Pamięta mnie! Tyle czekałam na tę chwilę, lecz nie potrafię się nią cieszyć, pomyślała Celia. Wiem tylko, że mnie rozpoznał, że zna dziecko, któremu zniszczył życie.

Moreland chciał się unieść, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa i tylko zakołysał się lekko.

Laska wysunęła mu się z sękatych palców i z głośnym stukiem upadła na podłogę. Tym razem jego głos brzmiał chrapliwie, jakby słowa przechodziły z trudem przez gardło:

- Leonie! Czy... to możliwe...

Celia stała jak posąg. Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

- Nie - jęknęła niemal płaczliwie.

- Chyba jednak cię nie zna, moje dziecko - powiedział ktoś za nią. Celia oderwała wzrok od hrabiego i popatrzyła na elegancką kobietę w średnim wieku, która właśnie weszła do pokoju. Zachowanie nieznajomej damy nie pozostawiało żadnych wątpliwości. To była żona Morelanda. Za nią, w drzwiach, stał Colter. Celia rozpromieniła się na jego widok, ale on obrzucił ją nierozumiejącym spojrzeniem.

- Mój mąż wziął cię za kogoś innego - powiedziała hrabina dźwięcznym głosem. - Leonie Saint Remy była najpiękniejszą kobietą w Londynie. Obiektem pożądania wielu mężczyzn. Mój mąż miał na jej punkcie obsesję. Myślałam, że to kiedyś minie, lecz stało się całkiem inaczej. Potem uciekła z pewnym Amerykaninem.

Podejrzewam, że z twoim ojcem. - Lady Moreland uśmiechnęła się leciutko. -

Biedna kobieta, mój mąż nie tolerował sprzeciwu. Upór Leonie doprowadzał go do szału. Prawda, milordzie? - zwróciła się do Morelanda, lecz nie dostała żadnej odpowiedzi. Załzawionymi oczami patrzył gdzieś daleko w przestrzeń.

- Lady Moreland... - zaczęła Celia, ale hrabina przerwała jej ruchem ręki.

- Nie musisz nic mówić. Jest mi ogromnie przykro z powodu twojej matki. Musiałaś przeżyć dramatyczne chwile. Niestety, mimo wielu prób nie mogłam cię odnaleźć.

Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że pewnie też nie żyjesz. -Przerwała i

ciepłym wzrokiem spojrzała na Celię. - Teraz cieszę się, że cię widzę. Jak pewnie wiesz, chciałam tę sprawę zachować w tajemnicy przed synem. Tak, Colterze -

zwróciła się do Northingtona - próbowałam ci tego oszczędzić. Wszystko byłoby po mojej myśli, gdyby panna St. Clair nagle nie przyjechała.

Colter wszedł do pokoju.

- Philip działał z twojego polecenia? - spytał ostrym tonem.

- Tak. Początkowo uważałam to za dobry pomysł. Panna St. Clair wróciłaby do Ameryki dużo bogatsza, a ty nigdy byś się nie dowiedział, że twój ojciec jest

mordercą. Panno St. Clair proszę nie robić tak zdumionej miny. Myślałaś, że nikt o tym nie wie? Cóż, ja wiedziałam. Moreland sam mi o tym powiedział. Zimny drań. Chciał zrzucić z siebie część winy i obarczyć mnie własnymi wyrzutami sumienia.

- Jak udało się to pani ukrywać przez te wszystkie lata? Hrabina znowu popatrzyła na syna.

- To nie jest coś, o czym można swobodnie rozmawiać przy obiedzie. O

Morelandzie i tak krążyło wiele plotek. - Spojrzała wrogo na męża. - Sprawiałam, że zapłacił za wszystkie swoje zbrodnie. Zabił tamtego starca, zniszczył Leonie Saint Remy i przyczynił się do śmierci Anthony'ego. Och, Colterze, to nie dziadek dał ci kontrolny pakiet aukcji kompanii żeglugowej! To ja zmusiłam twojego ojca, żeby podpisał wszystkie dokumenty. Stracił to, co za pośrednictwem Anthony'ego wydarł własnemu ojcu w przeddzień śmierci. - Uśmiechnęła się niewesoło. - To była najlepsza zemsta. W chwili słabości przekazał ci całą firmę, ale potem zaczął kraść i oszukiwać własnych inwestorów. Gdyby nie Philip, to w krótkim czasie doprowadziłby nas do bankructwa. Musiałam zatem zastosować poważniejsze środki. To było zło konieczne.

- Na miłość boską, dlaczego nic nie powiedziałaś?! Dlaczego ukrywałaś prawdę? - dopytywał się Colter.

- Nie chciałam dodatkowo pogarszać stosunków między wami. Straciłam już Anthony'ego. Myślałaś może, że ze spokojem przyjmę śmierć drugiego dziecka?

- Boże... *Ma mere...*

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Celia poczuła się niezręcznie. W pokoju panowało napięcie. Chory hrabia nie powiedział już ani słowa, tylko wydawał z siebie dziwne pomruki i chrząknięcia. Lokaj próbował go uspokoić. Przytknął do jego ust kubek z wodą, ale Moreland gwałtownym ruchem odtrącił jego rękę. Szarpał się, jakby za wszelką cenę chciał wstać.

- Myślę, że powinniśmy posłać po lekarza, Brewster - powiedziała hrabina Moreland.

- Zanim przyjdzie, pozostanę z panem hrabią - odparł lokaj.

- Tak chyba będzie najlepiej.

Celia nie była w stanie dłużej przebywać w jednym pokoju z hrabią Morelandem.

Odruchowo spojrzała za siebie, zanim doszła do drzwi. Patrzył na nią rozognionym wzrokiem. Zawołał chrapliwie:

- Leonie!

To było ostatnie słowo, które wypowiedział przed śmiercią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zimny wiatr hulał po wapiennych skałach i z cichym poświstem omiatał szerokie łąki i pastwiska Harmony Hill. Świat wciąż pozostawał we władaniu zimy, choć tu i ówdzie pojawiały się pierwsze oznaki nadchodzącej wiosny. Drobne krokusy rozchylały fioletowe płatki.

Celia stała przy oknie, spoglądając na ogród. Od kilku dni czekała na powrót Coltera. Dlaczego tak się zmienił? Zachowywał się uprzejmie, lecz obojętnie, bez cienia emocji. Celia wolałaby, żeby się nawet złościł, ale okazał, że ma w sobie trochę ludzkich uczuć.

Po prostu wyjechali do Gretna Green, tuż ZA granicę Szkocji, i wzięli ślub.

Ceremonia była krótka, w pełni legalna i - jeśli wierzyć Jacqueline - od dawna wyczekiwana Celia do dziś nie mogła uwierzyć, że stało się to tak szybko. Colter zabrał ją z domu zmarłego ojca i wdowie pozostawił wszelkie formalności związane z pogrzebem.

Nieśmiałe protesty przyszłej żony uciszył pocałunkiem i miłosnymi pieszczotami.

Zanim zjawili się w Gretna Green, Celia była pogodzona z losem. A jednak od tamtej pory coś się w Colterze zmieniło, myślała z narastającym smutkiem, patrząc w okno. Nie patrzy na mnie tak jak dawniej. Szkoda, że nie znam

jego myśli. Nocami czuła od niego mocną woń whisky lub koniaku. Chciała z nim szczerze porozmawiać i zwierzyć mu się ze wszystkich swoich dawnych wątpliwości - z tego, co czuła, widząc poniżenie matki. Przy pierwszej próbie Colter przerwał jej stanowczo.

- On już nie żyje, Celio - powiedział. - Nie mówmy o tym.

I tak by mnie nie zrozumiał, uznała. Nie wiem, czy kiedyś pokonamy dzielące nas różnice. Dlaczego mnie poślubił? Z poczucia winy czy z miłości? Musiała znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale nie mogła szukać jej u Coltera.

Wysłała więc list do Jacqueline, zapraszając ją do Harmony Hill. Wiele nadziei wiązała z tą wizytą.

Powóz z herbem Levertonów właśnie zajechał na dziedziniec. Celia natychmiast zeszła na dół.

- *Mapetite* - powiedziała Jacqueline. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znowu widzę. Zaraz siądziemy jak dawniej przy filiżance gorącej czekolady i opowiesz mi, jak wygląda życie młode hrabiny u boku przystojnego męża.

Celia czekała cierpliwie, aż służba opuści pokój. Siadły do stołu. Celia naląła czekolady do filiżanek z sewskiej porcelany.

- Co słyszeć u Carolyn? - zapytała beztroskim tonem, chcąc rozładować napięcie. - Jak się miewa drogi Jules? Wszystko w porządku?

- Och, tak. Caro prosiła, aby cię przeprosić, że nie mogła przyjechać razem ze mną. Jest pochłonięta przygotowaniem do ślubu. Król przysłał jej wspaniały prezent: srebrną urnę z wygrawerowanym własnym herbem. Co prawda, nie wiem co z nią zrobić, ale zawsze się może przydać. Na przykład jako wazon. - Jacqueline wypła łyk czekolady i z lekkim brzękiem odstawiała filiżankę na spodeczek. Ręka jej trochę drżała. - A co u ciebie?

- Sama nie wiem. Mam ci mnóstwo do powiedzenia, ale nie wiem, od czego zacząć. Jacqueline pochyliła się nad stołem i położyła rękę na jej dłoni.

- Wiem już o wszystkim, *ma petite*. Znalazłam dokumenty, wskazujące na Morelanda jako na zabójcę. Wtedy jeszcze Northingtona. Szkoda, że nic nie powiedziałaś tuż po przyjeździe do Londynu. Potem Northington... Och, to znaczy... teraz on jest hrabią Morelandem. - Zupełnie się zaplątała. - W każdym razie chciał się z tobą żenić. Bardzo mu się spieszyło.

- Tak, to prawda. - Celia zauważyła, że Jacqueline znów umknęła wzrokiem.

- Ciekawe dlaczego? A może ty mi powiesz?

- Dlaczego? To chyba oczywiste, *ma petite*. Jest niecierpliwy, władczy... i zakochany. Żebyś ty widziała, jak szalał z niepokoju przed twoim powrotem!

- Jacqueline, powiedz mi prawdę. Dobrze wiem, że coś przede mną ukrywasz. Co się stało? Colter jest całkiem inny niż dawniej.

Lady Leverton, zafrasowana, pokiwała głową i postawiła filiżankę i spodek na srebrnej tacy.

- Chciałam ci tylko pomóc, Celio - powiedziała. - Przysięgam. Zdawało mi się, że tak będzie najlepiej i chyba się nie pomyliłam. Przecież od razu widać, jak bardzo się kochacie.

- Boże... - Cichy szept Celi zawisł w powietrzu. - To nie z miłości? Ożenił się ze mną, bo musiał? O, nie! Jak mogłaś? Jak mogłaś mi to zrobić? - Nic dziwnego, że Colter tak szybko wyjechał, pomyślała Celia. To okropne. - Wiesz, co narobiłaś?! -zawołała.

Jacqueline zerwała się ze zgrozą, potracając tacę i zrzucając dzbanek na podłogę. Czekolada chlusnęła na jej żółtą spódnicę i pochlapała Celię. Lady Leverton nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

- *Ma petite*, przecież to dla twojego dobra! Ludzie zaczęli gadać o tobie. Najpierw zniknęłaś bez słowa wyjaśnienia, potem znalazłaś się u Morelanda. Nic nie rozumiesz? Byłabyś skończona. A przecież Northington bardzo cię kocha. Błagam, nie miej mi tego za złe!

- Nie mam do ciebie żalu, Jacqueline. Nigdy nie zdołam ci odpłacić za całą dobroć, jaką mi okazałaś. Sęk w tym, że teraz nie wiem, czy Colter pojął mnie za żonę z miłości, czy tylko dlatego, że tak mu nakazywał honor. I pomyśleć, że kiedyś oskarżałam go o brak honoru.

Celia wybuchnęła niemal histerycznym śmiechem i szybko zakryła dłonią usta. Jacqueline podeszła bliżej i wzięła ją za rękę. W jej oczach zalśniły łzy.

- Nieraz ci powtarzałam, że mój Jules jest jak najlepszego zdania o Northingtonie. Przecież wiesz, że on się nigdy nie myli co do ludzi. Och, moje biedne dziecko. Po wszystkim, co przeżyłaś... Powinnaś wcześniej powiedzieć mi o Leonie. Z pewnością bym cię zrozumiała. On też zrozumie.

- To nie tak. Colter dowiedział się o zbrodniach Morelanda, a mimo to mnie poślubił. Teraz już wiem dlaczego. Padło tyle złych słów, także z ust jego matki. Och, szkoda, że nie widziałaś wtedy jego twarzy! Moreland zmarł na naszych oczach. Lekarz stwierdził, że to był nagły nawrót choroby, ale ja myślę, iż zabiło go poczucie winy. Może więc miał sumienie? - Celia wstała z fotela i podeszła do ognia, aby rozgrzać nagle zziębnięte ręce. - Potem... Och, wszyscy zachowywali się tak... elegancko. Hrabina zaprosiła mnie nawet na herbatę. Colter stał z nieruchomą twarzą i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Na pewno zastanawiał się, po co przyszedł. Mimo to o nic mnie nie spytał.

- Bo nie musiał, kochanie - współczującym tonem odparła Jacqueline. - Ma przenikliwy umysł. Domyślił się, że chciałaś zobaczyć Morelanda.

- Zrozumiał, dlaczego przyjechałam do Anglii. Dowiedział się, że przez cały czas kłamałam. Okłamywałam jego, okłamywałam ciebie. Jak teraz mamy żyć z tym brzemieniem?

Jacqueline przyłożyła ciepłą dłoń do policzka Celi.

- Kiedy wróci, musisz z nim szczerze porozmawiać. Będziecie mieli to za sobą.

- Jeżeli wróci... Nie wiem, dokąd pojechał i co zamierza zrobić.

- Oczywiście, że wróci! Celio, nie możesz ciągle się zadrećzać. Owszem, skłamałaś, ale przyznaję, że był ku temu powód. Powtarzam: jak najszybciej porozmawiaj z mężem. Na pewno cię wysłucha i wszystko się ułoży.

Celia odruchowo wygładziła poplamioną spódnicę i zmusiła się do uśmiechu.

- Chyba masz rację. Okazałam się tchórzem. Teraz jednak będę z nim zupełnie szczerą. Skoro mamy być razem, nie możemy mieć przed sobą sekretów.

- Jesteś mądra i dzielna, moje drogie dziecko. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Nie każdemu starczyłoby odwagi, aby zrobić to, co ty przeprowadziłaś. Leonie byłaby z ciebie dumna. Jesteś taka jak ona.

- *Maman* nigdy nie kłamała.

- Leonie Saint Remy była realistką. Czasem kłamała, choćby dla ocalenia życia.

Myślisz, że pozwolono nam wyjechać z Francji? Nie. Musiałyśmy uciekać przed terrorem. Musiałyśmy wciąż kłamać, kraść i oszukiwać, żeby przeżyć. - Jacqueline wzięła Celię za rękę. - Nie chcę już o tym mówić. Gdy Colter wróci, wyznaj mu całą prawdę.

Tak, pomyślała Celia. Uczynię to bez względu na konsekwencje. Nie mam wyboru. Muszę powiedzieć prawdę dla dobra naszej miłości. Od tego zależy nasza przyszłość.

A jeśli nie?

- Pozwól, że zadzwonię teraz po Jamesa - powiedziała do Jacqueline. - Niech ktoś posprząta ten bałagan. - Uśmiechnęła się na widok szczerego zmartwienia, które pojawiło się na twarzy kuzynki. - Nie przejmuj się. Żebyśmy obie miały tylko takie zmartwienia...

- Ale to był piękny dzbanek. Z Chelsea? - spytała lady Leverton, z zainteresowaniem oglądając plamy na dywanie. - Ciekawy wzór.

Nikt się nie zjawił na wezwanie Celi. Otworzyła drzwi i wyjrzała z pokoju. W holu panowała głucha cisza. Renfroe zniknął. Nie było także Barbary ani Jamesa, którego Colter pozostawił we dworze dla ochrony.

Celia z lekkim zdumieniem podeszła do podwójnych drzwi, wiodących do kuchni. Jej kroki głośnym echem odbijały się w pustym pomieszczeniu. Wszechobecna cisza wprawiała ją w nerwowe drżenie. Wydawało jej się, że cały dom zamarł w upiornym oczekiwaniu. Na co?

Zeszła po kilku schodkach, minęła krótki korytarzyk i znalazła się w kuchni. Nagle usłyszała jakby stłumiony płacz, więc przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Zanim dała następny krok, niczym duch zjawił się przed nią Renfroe. W oczach starca połyskiwało przerażenie.

- Co się stało? - spytała.

Wyciągnęła do niego rękę, lecz w tej samej chwili kątem oka spostrzegła za sobą poruszenie. Nie zdążyła się odwrócić. Usłyszała jedynie głośny jęk lokaja, a potem coś uderzyło ją w głowę tuż nad skronią. Zatonęła na ścianę. Resztkami sił próbowała zachować równowagę. Kuchnia zatańczyła przed nią niczym pokład statku targanego porywem burzy, a potem zapadła ciemność.

Colter w ponurym nastroju jechał wąską drogą, wiodącą skalistym brzegiem kanału La Manche. Zimny wiatr niósł od strony morza deszcz drobnych słonych kropel. W dole leżało Broadstairs - kilka kamiennych domków, rozrzuconych na piaszczystej plaży i przyklejonych do stromego zbocza. Na drewnianym pomoście wznosiła się wieża wartownicza Urzędu Celnego, skąd obserwowano morze w poszukiwaniu przemytników.

Harvey siedział w gospodzie „Albion” nad kuflem zimnego piwa. Nie zdziwił się specjalnie na widok Coltera.

- Wiedziałem, że przyjedziesz - powiedział i wskazał mu puste krzesło po drugiej stronie stołu. - Długo mnie szukałeś?

- Nie bardzo - odparł Northington. - Wystarczyło, że zajrzałem do każdej tawerny stąd do Dover.

Harvey przetarł zaczerwienione oczy. Nie patrzył na Coltera.

- Chcesz satysfakcji?

- Owszem, myślałem o tym - przyznał Colter
- Wcale ci się nie dziwię. - Harvey podniósł kufel do ust i pociągnął solidny łyk piwa. - Nie muszę być trzeźwy - dodał po chwili. - I tak nie mam z tobą żadnych szans.

Colter zmrużył oczy. Nie był już tak zły jak przedtem, ale wciąż chciał poznać odpowiedzi na pewne pytania.

- Ślad zaprowadził mnie do Dover. Wygląda na to, że Easton uciekł z Anglii i ukrył się we Francji. Dlaczego z nim nie wyjechałeś?

Harvey westchnął z głębi piersi.

- Uważasz, że się przyjaźnimy? Szczerze ci powiem, że nawet go nie lubię. Był mi po prostu potrzebny. Człowiek, który potrafił spłacić moje długi.

- A ty? Od razu narobiłeś nowych?

- Właśnie. - Harvey uśmiechnął się z wyraźnym zakłopotaniem. - Zostało mi zaledwie tyle, żeby mieć na parę kufli piwa.

- Dostałeś niezłą sumkę za to, żeby wysłać Celię do Ameryki. Dlaczego nie wyjechała?

- Cóż. - Harvey z namysłem pokiwał głową. - To było głupie z mojej strony, ale nie mogłem tego zrobić. Powiedziała mi, że za pewne rzeczy przyjdzie nam zapłacić dopiero na tamtym świecie. Byłem już w życiu łotrem, złodziejem i bandytą, lecz mimo wszystko jeszcze tak nisko nie upadłem, żeby skrzywdzić kobietę, która dosyć już wycierpiała. Wiedziałem, co czuje.

- Gdzie on jest, Harvey? Pytam o Eastona. Znasz jego kryjówkę?

- Chyba tak.

- Powiedz mi, gdzie go szukać, a załatwię ci łagodniejszy wyrok.

- Nie, stary. Dobrze wiem, co się z takimi dzieje. Nie chcę czekać na śmierć przywiązany do słupa w momencie odpływu. Z dwojga złego już raczej wolę się z tobą strzelać. To lepsze niż powolne konanie pod wodą.

Colter wstał i z rezygnacją popatrzył na Harveya.

- Już konasz powoli. Mógłbyś chociaż trochę się zrehabilitować. Sir John chwiejnie podniósł się z krzesła. Był bardzo blady.

- Na szczęście nie doczekam jutra. Chodź, najlepiej będzie, jak załatwimy to od razu. Nie chcę, żeby ktoś później ci wytykał, że zabiłeś pijaka.

- Nie, Harvey. Wolę zostawić cię przy życiu. W ten sposób będziesz konał nawet dłużej niż przy palu.

W oczach sir Johna zamigotały rozpaczliwe błyski.

- Niech cię diabli, Northington! - wyszeptał chrapliwie. - Niech cię diabli!

- Gdzie on jest, Harvey? Powiedz mi. Sir John namyślał się przez chwilę.

- Wciąż w Anglii - powiedział cicho. - Czeka na moment twojej nieuwagi. Colter zaklął pod nosem. Już wiedział, gdzie szukać Philipa Wortha. Nocą, pod milionami gwiazd świecących na czarnym jak smoła niebie,

pojechał na południe od Broadstairs. Czekąca go daleka droga - przez Ramsgate i Sandwich, aż do Dover. Dopiero stamtąd mógł skręcić do Harmony Hill, gdzie czekała Celia. Już żona, bo dotrzymał swojej części umowy.

Nie poślubił jej tylko dlatego, że tak chciała lady Leverton.

S łodka Celia, zielonooka czarodziejka, dumna i odważna, niepodobna do innych kobiet. Był głupi, że do tej pory tego nie dostrzegał. Cóż go obchodził rzeczywisty powód jej wizyty w Anglii? A ojciec okazał się wyjątkowym łotrem. Niewiele brakowało, żeby go ukatrupił własnymi rękoma, pomyślał Colter.

Ś mierz hrabiego uchroniła ich od kolejnej rodzinnej tragedii. Może już pora, żeby powiedział Celi, ile wstydu najadłem się w życiu przez niego? Skąd ta dziewczyna znalazła tyle siły, aby odważnie stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który tak okrutnie postąpił z jej matką? Pora, żeby otwarcie przyznał, jak bardzo ją podziwiam. I jak kocham. A potem zaczniemy od nowa.

Najpierw musi obronić ją przed Philipem Worthem. Mimo swoich wad Moreland miał rację, podejrzewając go o działalność na szkodę kompanii. Łotr

zawsze rozpozna łotra, pomyślał Colter. Lord Easton okazał się człowiekiem bez skrupułów, a teraz wyciągał łapę po Celię.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Celia obudziła się z koszmarne go snu. Spojrzała spod przymkniętych powiek i zobaczyła przed sobą arystokratyczną twarz i grzywę siwych włosów.

- Och, widzę, że wreszcie dochodzisz do siebie - powiedział Philip Worth z przekąsem. - Zacząłem się obawiać, iż uderzyłem cię zbyt mocno. To by mi pokrzyżowało dalsze plany. Skoro jednak jesteś cała i zdrowa, to przysiądź się do nas. Właśnie zaczęliśmy ciekawą rozmowę.

- Świnia! - ze złością zawołała po francusku Jacqueline. - Drań! Zakała ludzkiego rodu!

- Milady - niewzruszonym tonem odpowiedział Easton - prawdę mówiąc, niewiele mam do stracenia. Ważą się moje losy. Będę z panią zupełnie szczery: nie zamierzam jeszcze umierać. Fortuna jest kapryśną damą i odwróciła się ode mnie, ale przynajmniej uratuję głowę. Przy odrobinie uległości nic się pani nie stanie.

- Uśmiechnął się złośliwie i popatrzył na Celię, ciągle leżącą na kanapie. - Na dobrą sprawę dawno powinnaś być w drodze do Ameryki - rzekł Easton. - Wymknęłaś się, więc zastosowałem nieco skuteczniejsze środki. Nie chciałem tego. Gdybyś była grzeczna, nic by się nie stało.

Mówił spokojnie, ale w jego głosie wyraźnie brzmiała groźna nuta.

- Mąż pana zabije - szepnęła Celia.

- Ależ ja właśnie usiłuję temu zapobiec, moje dziecko! Jak myślisz, po co tu przyjechałem? Gdyby nie Colter, siedziałbym spokojnie we Francji. On jednak ma większe wpływy, niż przypuszczałem. Każdy port był dla mnie zamknięty, a urzędnicy i oficerowie skrupulatni jak nigdy przedtem. Żaden z nich w obawie przed

aresztowaniem nie chciał przyjąć ode mnie małej sumy. Ledwie się wywinąłem. Czuję w tym rękę Mowry'ego.

- A to dzisiejsze przedstawienie? Co chce pan osiągnąć? - z nieukrywanym gniewem zapytała Celia.

Easton trzymał w ręku pistolet, jakby w ten sposób chciał swoim brankom dać do zrozumienia, że nie ma mowy o ucieczce.

- Potrzebuję gwarancji, iż będę mógł bezpiecznie opuścić brzegi Anglii - wyjaśnił. - Potem was uwolnię. Jestem głęboko przekonany, że Colter bez wahania przystanie na tę propozycję.

- To szaleństwo - syknęła Jacqueline. Easton wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Nie, lady Leverton. To tylko konieczność, chociaż równie dobrze możemy to nazwać aktem desperacji. Niech pani się strzeże zdesperowanych ludzi, bo czasami są rzeczywiście zdolni do wszystkiego. Ten pistolet może wypalić w każdej chwili. Celia wstała. Easton natychmiast wymierzył broń w jej stronę.

- Tylko jedna z nas zginie, jeżeli pan strzeli - powiedziała.

- Ach, nie - odparł. - To dwustrzałowiec. Znakomity nowoczesny model. A poza tym jestem silniejszy, więc na dobrą sprawę mogę zaoszczędzić ołowiu i prochu. Teraz podejdź tu, dziecko. Skoro jesteś już w tak bojowym nastroju, to weź szarfę swojej kuzynki i przywiąż ją mocno do krzesła. Powtarzam: mocno. Chyba że chcesz, abym uciekł się do pewniejszego środka.

Celia, zżymając się ze złości, wypełniła jego polecenie. Odczepiła niebieską szarfę od sukni Jacqueline, wykręciła jej ręce do tyłu i przywiązała ją do oparcia krzesła. Zaciskając węzły, rozmyślała nad planem ucieczki.

Easton musiał już wcześniej ogłuszyć Jamesa. Renfroe zniknął po spotkaniu w kuchni.

Celia mogła jedynie mieć nadzieję, że obaj mimo wszystko żyją. Wyprostowała się i spojrzała na Eastona.

- Może pan sprawdzić - powiedziała. Przyjrzał jej się z lekkim uśmiechem.
- Rogata dusza - rzekł. - Zupełnie jak matka. Też miała diabła za skórą. - Pochylił się, sprawdził więzy Jacqueline i z uznaniem pokiwał głową. - Świetnie. A teraz daj mi swoją szarfę - powiedział do Celi. - Związał jej ręce z przodu, po czym starannie okrył ją wiśniową peleryną. - Idź pierwsza. Pamiętaj, żadnych sztuczek, bo strzełę. Być może cię nie zabiję, ale ból będzie taki, że zapragniesz śmierci.

Celia posłusznie wyszła na korytarz, a stamtąd na dziedziniec. Jeszcze w drzwiach czuła na sobie wystraszone spojrzenie Jacqueline. Easton kazał jej wsiąść do powozu, zaprzęzonego w dwa najlepsze konie ze stajni Coltera. Smythe stał obok, ale Celia mimo wszystko nie miała odwagi, żeby mu dać znać, co się dzieje.

Gdzie podziewa się Santiago, kiedy jest potrzebny? - zastanawiała się z rosnącym przerażeniem. Easton z trzaskiem zamknął za nią drzwiczki, skoczył na kozioł i odebrał lejce z rąk Smythe'a. Stary sługa znał go od dawna, więc niczego nie podejrzewał.

Dzień szybko chylił się ku końcowi. Zimny wiatr wpadał do wnętrza powozu i szarpał pledem, którym była okryta Celia. Zaraz za bramą posiadłości skręcili na wschód, w kierunku wybrzeża. Łąki były usiane drobnymi żółtymi kwiatkami.

Przez drogę przemknęła siewka. Powóz zmierzał do nieznanego celu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Celia, choć była przekonana, że Easton nie zechce z nią rozmawiać.

- Ciekawość bywa niebezpieczna, milady - odparł, z naciskiem akcentując ostatnie słowo.

- Ma pan rację, lecz zemsta bywa jeszcze gorsza - powiedziała. - Wiem coś o tym.

Ręce wciąż miała ukryte pod wiśniową peleryną. Wiatr wył przeciągle, a koła powozu zgrzytały na wapiennej drodze.

- Jeśli pan mnie uwolni, poproszę Coltera, żeby wycofał wszystkie zarzuty przeciw panu.

- Moja mała, naiwna hrabino. To już od niego nie zależy. - Mocniej ujął lejce i strzelił z bata, żeby zmusić konie do jeszcze szybszego biegu. - Myślisz, że tylko on jest przyczyną moich niepowodzeń? Chodzi o przemyt i o ucieczkę przed kutrem straży przybrzeżnej. Ta historia wywołała spore zamieszanie. W rezultacie rzecz nie jest już w rękach Coltera, ale jego zwierzchnika. Colter zaś musi użyć wszelkich argumentów, żeby mnie wypuszczono z Anglii i tu właśnie zaczyna się twoja rola. Powóz zakołysał się gwałtownie na wybojach. Celia wyciągnęła związane ręce i przytrzymała się skórzanej pętli przy drzwiach, żeby nie spaść z ławki. Easton burknął coś pod nosem, szarpnął lejce i ostro wszedł w zakręt. Dalej pojechali już w miarę gładko.

W gasnącym świetle dnia morze wydawało się zupełnie szare. Od chwili, gdy znaleźli się na drodze do Dover, wciąż było widać spory fragment Kanału. Celia przypomniała sobie, jak ostatni raz jechała tędy z Maritą.

Mam wrażenie, jakby całe moje życie upływało w ustawicznym strachu, pomyślała. Widma przeszłości, obawy o przyszłość... A jednak wciąż żyję. Była w niej siła ducha, z której istnienia do tej pory nie bardzo zdawała sobie sprawę. To ona właśnie ratowała ją w najtrudniejszych sytuacjach.

Nawet Colter ostatnio mnie opuścił, przemknęło Celii przez głowę, ale zaraz uznała to za niedorzeczność. Mimo wszystko musiała działać. Tym razem nie było w pobliżu sir Johna, który mógłby zawieźć ją do Londynu. Trzymając dłonie schowane w fałdach peleryny, próbowała rozluźnić aksamitną szarfę, krępującą jej ręce w nadgarstkach. Po kilku próbach więzy zaczęły ustępować. Jeszcze mały wysiłek... i już była wolna!

Rzuciła okiem na Eastona. Położył pistolet na koźle, tuż przy sobie. Musiałaby wyciągnąć rękę nad jego kolanami, żeby chwycić broń. Niemożliwe. Czekwała zatem. Po zapadnięciu zmroku powóz jechał wolniej niż przedtem. W światłach latarni było widać jedynie mały fragment wyboistej drogi. Celia ostrożnie przełożyła rękę przez drzwiczki i zwiesiła ją po drugiej stronie, mniej więcej na wysokości klamki.

Drzwi dawały się otworzyć tylko z zewnątrz. Palcami namacała klamkę i czekała na właściwy moment. Przecież nie mogła wyskoczyć w pełnym biegu. Easton na szczęście niczego nie zauważył, zajęty powożeniem. Celia z napięciem patrzyła na pobocze. W tym miejscu wapienne skały ustąpiły szerokiej i rozmięklej łące, porośniętej wysoką trawą. Teraz!

Easton akurat ściągnął lejce, zbliżając się do zakrętu. Celia błyskawicznie nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi i skoczyła w ciemność. Ciężko upadła na ziemię. Grunt był grząski, ale i tak jęknęła z bólu. Z trudem chwytając oddech, zerwała się na równe nogi i na oślep pobiegła przed siebie, w tę stronę, skąd dochodził szum morza. Za sobą słyszała gniewne okrzyki Eastona. Na pewno nie mógł gonić jej powozem. Musiał wsiąść.

Wzdymana wiatrem peleryna przeszkadzała jej w szybkiej ucieczce. Celia pospiesznie rozwiązała wstążki i zrzuciła ją z ramion. Wiśniowa płachta niczym skrzydło ogromnego ptaka uleciała w powiewach wichru. Celia pędziła jak spłoszony zając, wysoko unosząc spódnicę. Czuła już kolkę w boku i dyszała niczym miech kowalski, ale nie ustawała w biegu. Potknęła się kilka razy i chyba tylko cudem nie upadła na kamienie. Wreszcie poczuła pod stopami miękki piasek plaży.

Wydma, porośnięta kępami ostrej trawy, wznosiła się lekko w górę. Celia poruszała się na czworakach. W ustach i oczach miała pełno piasku. Wreszcie rzuciła się na ziemię za rozłożystym krzewem, przetoczyła na plecy i przez kilka minut leżała nieruchomo, patrząc na rozgwieżdżone niebo i słuchając szumu wiatru. Wokół panowała cisza. Kiedy uniosła głowę, nie zobaczyła wokół siebie niczego oprócz pustkowia.

Colter już z daleka dostrzegł powóz stojący na drodze do Dover i usłyszał donośne krzyki. Ściągnął wodze i wyszarpnął pistolet zza pasa. Easton odwrócił się w stronę jeźdźca. W świetle latarni rozpoznał go natychmiast.

- Skąd się tu nagle wzięłeś?! - zawołał zdumiony.

Colter zeskoczył z konia i zbliżył się do Eastona. Przez cały czas mierzył do niego z pistoletu.

- Gdzie ona jest?

Zapadła chwila ciszy, a potem Easton wzruszył ramionami.

- O kogo pytasz? Przecież widzisz, że poza mną nikogo tu nie ma.

Colter ostrożnie zerknął do powozu. Zobaczył tylko wełnianą derkę. Nic nie wskazywało na niedawną obecność Celi.

- Przyjechałeś z Harmony. Znów byłeś na tyle głupi, żeby nachodzić Celię. Jeśli choć włos spadł jej z głowy...

- Możesz mi wierzyć, że kiedy ostatnio ją widziałem, była pełna energii i życia - przerwał mu Easton i uśmiechnął się po dawnemu. - Och, Colterze, czyżbyś naprawdę poznał w końcu, co to miłość? Przyjmij moje najszczerze gratulacje, zwłaszcza że przecież jesteście już po ślubie.

- Tak, dziękuję. A teraz trzymaj ręce nad głową, żebym je mógł wyraźnie widzieć. I nie rób żadnych podejrzanych ruchów. Prawdę mówiąc, wolę cię zobaczyć na szafocie niż leżącego z kulą w głowie pośrodku wiejskiej drogi. Mniej musiałbym tłumaczyć.

- Po co te ostre słowa? Przecież widzisz, że nie mam broni, nawet szpady. Nigdy mi przez myśl nie przeszło, iż w walce mógłbym cię pokonać.

Colter popędził go mchem pistoletu.

- Pojedziesz na moim koniu. To ty kazałeś Harveyowi zaszyć się tak daleko? Chciałeś zyskać na czasie. Dlaczego nie uciekłeś?

- Podejrzewam, że wiesz dlaczego. Mogę wziąć pled z powozu? Zmarznę w siodle.

- Sam ci go podam. Tylko stój spokojnie. - Colter zbliżył się do pojazdu i po omacku zabrał pled, ani przez chwilę nie odrywając wzroku od Eastona. Obmacał koc, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim ukrytej broni.

- Chłopcze, co dalej? - zapytał Easton. - A może każesz mi iść stąd aż do Harmony?
- Przyznaję, że przez moment miałem taki zamiar. Ale nie. Przejedziemy się razem powozem... A to co?

Podniósł z podłogi zieloną aksamitną szarfę i dostrzegł nagły niepokój na twarzy Eastona.

- Gdzie ona jest, Philipie? - spytał groźnie. - Gadaj prawdę, na Boga, albo zastrzelę cię na miejscu!

- Zabijesz bezbronnego? To przecież nie fair. Daj mi pistolet i stańmy na dwadzieścia kroków. - Philip spojrział na niego uważnie. - To lepsze niż dyndać na konopnym sznurze ku uciesze gawiedzi.

Colter wiedział, że jeśli nawet zabije Eastona, nie pomoże Celi.

- Powiedz mi, co się z nią stało - wycedził półgłosem. - Chyba że chcesz, bym pokazał ci kilka zręcznych sztuczek, z których słyną Apacze. O pewnych rzeczach nie słyszała nawet hiszpańska inkwizycja. Nikt cię nie znajdzie na tym pustkowiu...

- Prawdziwy dzikus z ciebie - z pogardą rzekł Easton. - Twój ojciec miał rację...

- Mój ojciec był łotrem - wpadł mu w słowo Colter. - A teraz mów. Gdzie ją zostawiłeś?

- Skoro nalegasz...

Uniósł rękę i tylko błysk stali w porę uświadomił Colterowi, co się dzieje. Rzucił się w bok i kciukiem odwiódł kurek swojego pistoletu. Dwa strzały huknęły jednocześnie. W powietrzu zapachniało spalonym prochem. Philip Worth stał jeszcze przez chwilę, ze zdumieniem patrząc na Coltera. Potem osunął się na ziemię tuż koło powozu. Konie parsknęły nerwowo i rzuciły się do przodu, ale hamulec utrzymał je na miejscu. Colter podszedł do nieruchomego ciała.

Strzał był celny. Na białej koszuli rozlewała się ciemna plama krwi. Colter przyklęknął, wiedział, że Philip nie żyje. Niech go piekło pochłonie. Za szybko i za łatwo zginął.

Gdzie szukać Celi?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Celia próbowała zebrać myśli. Szum morza brzmiał w jej uszach niczym odległy pomruk burzy, ale niebo było zupełnie czyste, połyskujące tysiącami gwiazd. Było zimno. Mokry wiatr hulał nad plażą, jęczał wśród traw i chlapał drobnymi kropelkami słonej wody. Celia zdawała sobie sprawę, że nie może tu tkwić bez końca, zdana na łaskę żywiołów.

A poza tym był jeszcze przecież lord Easton.

Usiadła z jękiem. Ostre źdźbła trawy poprzecinały jej skórę na dłoniach. Wstała pomału i chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Nogi raz po raz zapadały się w głębokim piasku. Szła i szła, uważając tylko, żeby nie zwichnąć kostki. Daleko przed sobą widziała migoczące światła. Port? Wieś rybacka? Może tam znajdzie kryjówkę przed Eastonem? Wciąż miała pewną szansę, że zdoła mu uciec.

Była u kresu sił. Trzęsa się jak osika. Zmęczone mięśnie coraz bardziej odmawiały jej posłuszeństwa. Wlokła się noga za nogą, z trudem łapiąc powietrze przez szeroko otwarte usta. Nagle, wiedziona impulsem, odwróciła się i na tle nieba ujrzała wysoką ciemną sylwetkę. Ktoś podążał jej tropem.

Spodziewała się, że lada moment usłyszy huk wystrzału. Zebrała resztki sił i rzuciła się do ucieczki. Biegła zygzakiem. Nie przystanęła nawet wtedy, kiedy zgubiła but w grząskim piasku. Prześladowca był coraz bliżej. Może zawołał, ale krew łomotała jej w skroniach tak, że nic nie słyszała. Myślała tylko o ucieczce. Dobrze wiedziała, że ją dopadnie. To było nieuniknione. Kilka chwil później

poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię. Odwróciła się, zacisnęła pięści i zaczęła tłuc napastnika, gdzie popadło. Nie miała siły, żeby krzyczeć, lecz mogła jeszcze walczyć. Tymczasem napastnik mocno przyciągnął ją do siebie. Nie bronił się, lecz tylko ją przytrzymał. Obezwładniona, bez wahania ugryzła go w rękę i usłyszała bolesny okrzyk:

- Na Boga, Celio! Ty dzika kotko. Uspokój się! To ja, Colter. Już o mnie zapomniałaś?

Z wolna pojęła znaczenie słów. Westchnęła z ulgą i niemal bezwładnie zawisła mu w ramionach.

- Uciekaj, Colterze! - wyszeptała. - On cię zabije... Musisz... To Philip... -bełkotała.

- Cicho, kochanie. Lord Easton na pewno nikogo nie zabije. - Tulił ją z całej siły. Wplótł palce w jej włosy. Celia uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. Nie sądziła, że jeszcze go zobaczy.

- Już wszystko w porządku, najdroższa. Nikt cię nie skrzywdzi. Jestem tutaj i zostanę przy tobie na zawsze.

Kolana ugięły się pod Celią. Colter delikatnie posadził ją na ziemi.

- Krwawisz... To jego sprawka? Boże, gdybym tylko mógł, to zabiłbym go po raz drugi!

- Nie! Tylko nie mów, że go zabiłeś. Powieszają cię za to!

- Wątpię, kochanie. Leż spokojnie. Do stu piorunów, całe nogi masz jak pocięte nożem! - Ostrożnie strząsnął piasek z jej zziębniętych i przemoczonych stóp. - Celio, nie kłóć się ze mną. Zaniosę cię do powozu. Nie powinnaś chodzić w tym stanie.

Nie zważając na jej protesty, wziął ją na ręce i brzegiem morza, brnąc w piasku, ruszył w powrotną drogę. Celia objęła męża za szyję i położyła głowę na jego ramieniu. Drżała z zimna, zmęczenia i zdenerwowania. Dopiero teraz poczuła dotkliwy ból w poranionych rękach i nogach. A jednak było jej tak dobrze!

Jak przez mgłę pamiętała pozostałe wydarzenia tamtej nocy. Nie wiedziała, jak znalazła się w wielkim wygodnym łożu, w czystej pościeli, pod czujnym okiem Barbary i zatroskanej Jacqueline. Liczyło się tylko to, że jest bezpieczna i że Colterowi nic się nie stało.

Obudziła się wczesnym rankiem z niespokojnego snu, zakończonego zduszonym okrzykiem. Otworzyła oczy i zobaczyła siedzącego w fotelu Coltera, trzymającego w ręku kieliszek koniaku.

- Śpij, kochanie - powiedział. - Musisz porządnie wypocząć.

To wystarczyło. Skoro był przy niej, rzeczywiście mogła znowu zasnąć. Z westchnieniem ulgi opadła na poduszki.

- Ty też powinienes się trochę przespać. Pokręcił głową.

- Później.

Chciała go jeszcze o coś zapytać, lecz nie zdążyła, bo zasnęła. Chyba dodali jej coś na sen do gorącego mleka.

Trochę później, kiedy leżała, nie otwierając oczu, słyszała przyciszone głosy:

- Przecież przeze mnie mogła zginąć - powiedział Colter, wyraźnie przejęty. - Pyta pani, co teraz czuję?

- Tak, milordzie - spokojnie odparła Jacqueline. - To dla mnie bardzo ważne.

- Dlaczego? Przecież wypełniłem swoją część umowy. Nastąpiła chwila milczenia.

- Wcale pan tak nie myśli - odezwała się smutno Jacqueline.

- Nie. Nie! - zawołał Colter. - Proszę mnie nie słuchać. Sam nie wiem, co wygaduję.

Widziałem ją... tam na plaży. Uciekała jak zagonione zwierzę. Zdyszana, zakrwawiona, a jednak znalazła w sobie dość siły, żeby ze mną walczyć. To wspomnienie zachowam do końca życia. Byłem świadkiem, jak doświadczony żołnierz uciekał z pola bitwy. Ona była tak dzielna...

- Kocha ją pan - cicho stwierdziła lady Leverton.

- Oczywiście, że kocham! Myśli pani, że w przeciwnym razie przystałbym na tę umowę?

- W takim razie niech pan jej to powie, kiedy się obudzi. Widzi pan... kobiety lubią słyszeć, że są kochane. Nie wystarczą nam tylko drobne wyrazy pamięci. Słowo „kocham” ma dla nas dużo większe znaczenie, chociaż czasami niezwykle trudno je powiedzieć. Ufam, że pan da sobie z tym radę.

Zapadła cisza. Celia czekała na odpowiedź Coltera.

- Tak - rzekł. - Powiem jej, co naprawdę czuję. Celia uśmiechnęła się i znów zasnęła. Tym razem nic jej się nie śniło. Spała jak kamień, wolna od wszelkich koszmarów. Obudziła się dopiero późnym popołudniem. Zapalono już lampy i pokój wypełniony był ciepłym światłem. Celia z lekkim rozczarowaniem spojrzała na pusty fotel, stojący koło łóżka. Colter zniknął.

Westchnęła, lecz w tej samej chwili poczuła, że ktoś rusza się tuż przy niej. Natychmiast odwróciła głowę i ujrzała Coltera. Leżał obok i uśmiechał się po swojemu.

- Szukasz kogoś, kochanie?

- Tak, ale już znalazłam.

Wyciągnęła do niego rękę. Zamknął jej dłoń w swojej i delikatnie przesunął kciukiem po palcach.

- Mam nadzieję, że na zawsze.

- Och, Colterze! - To było wszystko, co w tej chwili mogła powiedzieć. Wstrzymała oddech, kiedy mąż pogładził ją po policzku.

- Miesiąc minął od naszego ślubu - powiedział, przerywając niezręczne milczenie. - Winien ci jestem długą podróż poślubną. Na pewno znasz ten zwyczaj. Zwiedza się niezwykle miejsca, próbuje egzotycznych potraw.

- Nie, nie słyszałam o tym.

- Naprawdę? Widać w Ameryce panują inne obyczaje. Dziwny kraj pełen dziwnych ludzi. Wiem to z własnego doświadczenia. - Uśmiechnął się. - Kupiłem całkiem nowy statek - parowiec - a kompania Morelanda szuka nowych rynków zbytu i kontaktów w Stanach Zjednoczonych.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Pomyślałem, że naszą wielką podróż zaczniemy od rejsu przez ocean. O ile sobie dobrze przypominam, mówiłaś mi, że jeszcze nigdy nie byłaś w hiszpańskiej Kalifornii. Popłyniemy tam? Już dałem znać moim współpracownikom, że przynajmniej przez rok nie będzie mnie w kraju. Co ty na to? Podoba ci się taki pomysł?

- Tak. - Celia czułym ruchem pogładziła męża po twarzy. Nie wyobrażała sobie dalszego życia bez niego.

- Celio... - szepnął, chwycił ją za rękę i przycisnął do ust. Nagle spoważniał i odezwał się niskim, gorączkowym tonem: - Dotąd nikogo tak nie kochałem. Wybacz mi, jeśli ciągle popełniam błędy. Nigdy nie poczuwałem się do odpowiedzialności za czyjeś uczucia. Żyłem wyłącznie na swój rachunek. Nie wiem, jak we właściwy, piękny sposób zapewnić cię o mej miłości.

- Twoja szczerość zupełnie mi wystarczy - odparła. Przesunęła dłonią po jego twarzy i zauważyła, że nawet nie zdążył się ogolić. - Piękne słowa są niepotrzebne. Jeśli naprawdę myślisz to, co mówisz...

- Tak! - zapewnił ją z mocą. - Kocham cię, Celio, moja zielonooka żono. Kocham cię ponad życie.

Mówił cicho, lecz z wielkim uczuciem. Każde słowo zapadało Celi prosto w serce i sięgało w najgłębsze zakamarki duszy. Przez moment patrzyła mu prosto w oczy, a potem pochyliła głowę i przycisnęła czoło do jego piersi.

- Ja też cię kocham, milordzie. Mój mężu.

Z lekkim westchnieniem mocniej wtuliła się w jego ramiona. Złe wspomnienia na zawsze odeszły w przeszłość. Teraz oboje musieli myśleć raczej o tym, co im przyniesie wspólne jutro.

Colter całował ją, najpierw powoli, a potem coraz bardziej namiętnie. Poczula jego dłonie na swoim ciele i przysunęła się jeszcze bliżej.

- Słodka Celio - słyszała tuż nad uchem szeptem wypowiedane słowa. -Zawsze będę cię kochał.

- Wiem - odpowiedziała, drżąc z podniecenia, w przewidywaniu tego, co miało nastąpić. - Bądź pewny, że ja też nigdy cię nie opuszczę.

EPILOG

*„Miłość wszystko zwycięża;
poddajmy się więc miłości!”*

Wergiliusz

Słońce prześwitywało przez gęste gałęzie drzew i złotymi plamkami kładło się na trawie porastającej groby. W oddali było widać dach Białego Domu. Na cmentarzu na przedmieściach Georgetown panowała cisza i spokój.

Celia klękła przy mogile matki. Colter w milczeniu stał dwa kroki za nią. Chciał coś powiedzieć, żeby choć trochę jej ulżyć, lecz dobrze wiedział, że nie pomogą jej żadne słowa. Po chwili Celia wstała i z uśmiechem spojrzała na męża.

- Mówiłam jej, że jestem z tobą ogromnie szczęśliwa i że nigdy jej nie zapomnimy. Wyciągnął rękę i mocno przygarnął żonę do siebie. Poczł znajomy zapach werbeny, bijący od jej włosów.

- Robi się późno - powiedział - a planowaliśmy iść do jeszcze jednego grobu. Dasz radę?

- Ależ oczywiście! - zapewniła go zdecydowanym tonem. - Jestem w ciąży, a nie obłożnie chora.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie dopuszczę, aby coś ci się stało.

- Nie wszystko zależy wyłącznie od ciebie, Colterze. Pamiętaj jednak, że jestem z tobą szczęśliwa. Najważniejsze, że się kochamy. Wprawdzie nie wiemy, co nas czeka, ale potrafimy dobrze wykorzystać każdą chwilę, którą los pozwoli nam spędzić razem.

- Z tobą to nie takie trudne - odpowiedział z uśmiechem.

Trzymając się za ręce, podeszli do grobu starego Petera. Celia położyła na mogile wiązanke świeżych kwiatów. To był dla niej pewien szczególny moment oczyszczenia, a zarazem pożegnania z ludźmi, których darzyła niezmienną miłością.

- Możemy iść, kochany. - Celia znów ujęła rękę męża. - Jestem gotowa. Im należy się odpoczynek, a my powinniśmy z wiarą zwrócić się ku przyszłości.